

**NIC BEZ DUDY
(NIKOMU)**

SIĘ NIE UDA

**- PISZE
STANISŁAW
JANECKI**

**ODBUDOWA
ZAMKU KRÓLEWSKIEGO
NIEDOCENIANY SUKCES POLAKÓW**

**DRAMATYCZNE KULISY
PRZEJĘCIA TEATRU
DRAMATYCZNEGO
PRZEZ RADYKALNĄ LEWICĘ**



**BERNARD MARGUERITTE:
JESTEŚ EUROPEJCYKIEM?
WALCZ Z (OBECNĄ) UNIĄ!**

SIECI

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 8 (482) 2022
21-27 lutego 2022

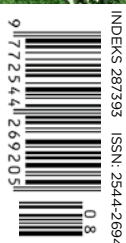
CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

**LEGENDARNY GENERAL
ROMAN POLKO MÓWI NAM:**

CZY ROSJA POKONA UKRAINĘ?

JAK SILNA JEST

POLSKA ARMIA



28 lutego

w tygodniku **SIECI**

dodatek patriotyczny z okazji Narodowego Dnia Żołnierzy Wyklętych

Fot. Archiwum IPN

- Przypominamy historię Biegu Tropem Wilczym
- Rozmawiamy z Jackiem Pawłowiczem, dyrektorem Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL
- Przedstawiamy sylwetkę Dragana Sotirovicia „Draży”, Serba o polskim sercu, zastępcy dowódcy pułku AK, kawalera Orderu Virtuti Militari
- Prezentujemy prace nad pomnikiem Żołnierzy Niezłomnych w Mielcu, który zostanie odsłonięty w maju

PARTNERZY DODATKU:



Wolność i suwerenność albo kasa?

B yły już zapowiedzi „wzięcia Polski głodem”, były liczne groźby i próby szantażu, nadszedł czas na działania prawne. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej orzekł, że tzw. mechanizm warunkowości jest legalny i można wstrzymać unijne fundusze krajom, które nie spełniają oczekiwań praworządności Komisji Europejskiej. Tylko czy Komisja Europejska jest w stanie uszanować praworządność i demokratyczne decyzje wyborcze obywateli?

Kto ma rozstrzygać, co jest praworządnością? Dominujące w UE siły polityczne od lat narzucają pozostałym krajom własną agendę polityczną, naszpikowaną ideologicznie. Mamy się jej podporządkować bez względu na własny interes narodowy. Za rządów PO szło gładko. Partia Tuska błyskawicznie wdrażała najbardziej szkodliwe dla Polski dyrektywy i nie sprawiała najmniejszych „kłopotów wychowawczych”. Problem się zaczął, gdy straciła władzę, a rządy przejęli konserwatyści. Przejęli je – przypomnijmy – w wolnych demokratycznych wyborach. Teraz się okazuje, że w imię rzekomej unijnej praworządności demokracja i wolność wyboru nie mają żadnego znaczenia. Ważniejsze jest nadwyrężone i naciągnięte unijne prawo.

Szantaż finansowy wisi nad Polską już wiele lat. Teraz zaczyna być wdrażany. Szefowa Komisji Europejskiej stwierdziła, że przyjmuje orzeczenie TSUE z zadowoleniem i zapowiada, że KE „będzie działać z determinacją”. Fundusze będą więc wstrzymywane za każdą nie-subordynację, która na razie odbywa się na polu wyłącznie ideologicznym i uznaniowym.

I właśnie w tym kontekście należy czytać niedawny spot Donalda Tuska, wymachującego unijnym banknotem i nazywającego idiotami polityków odwołujących się do interesów narodowych. Przedstawione przez Tuska palety z euro Polska dostanie tylko pod jednym warunkiem: jeśli PiS zostanie odsunięte od władzy przez Platformę, a ta będzie grzecznie spełniać oczekiwania Niemiec i polityków UE. Przekaz jest prosty: wolność i suwerenność albo kasa. Przekaz haniebny.

Marzena Nykiel

Ten wyrok to zła wiadomość

A le gra nigdy się nie kończy. Warto przeczytać dokładnie uzasadnienie wyroku, bo są tam fragmenty potwierdzające to, o co strony polska i węgierska walczyły od początku, co legło u podstaw przyjęcia w grudniu 2020 r. przez Komisję Europejską konkluzji (wewnętrznych zasad stosowania przez KE rozporządzenia o praworządności), czyli jego wąskie, ograniczone do spraw budżetowych, rozumienie.

Dziś mamy pewność, że także wedle TSUE procedury związane z mechanizmem praworządności mogą być użyte wyłącznie wtedy, gdy wystąpił skutek w postaci nienależytego zarządzania finansami lub istnieje udowodnione poważne ryzyko powstania takiej sytuacji.

Cytuję: „Omawiane rozporządzenie ma na celu ochronę budżetu Unii, i to jedynie w przypadku, gdy w państwie członkowskim dojdzie do naruszenia zasad państwa prawnego, które wpływa lub stwarza poważne ryzyko wpływu na prawidłowe wykonywanie tego budżetu”.

W ten sposób Trybunał potwierdził, że celem rozporządzenia jest wyłącznie ochrona budżetu.

Oczywiście „ryzyko wpływu” to pojęcia nieostre, ale w połączeniu z przyjętymi wcześniej przez samą KE zasadami (konkluzje na szczycie grudniowym w 2020 r.) dają możliwość walki, ustalenia drugiej linii obrony przed ewentualnym bezprawnym blokowaniem funduszy.

Tym bardziej że przejrzystość wydawania środków unijnych przez Polskę nigdy nie budziła poważnych zastrzeżeń. Odwrotnie, polski system wolny jest od patologii w odróżnieniu od wielu państw. Potwierdzają to także unijne rankingi.

Co ważne: w hipotetycznej sytuacji, w której KE rozważałaby uruchomienie postępowania na mocy rozporządzenia o praworządności, musiałaby ona znaleźć poparcie dla swoich działań obejmujące minimum 55 proc. państw członkowskich reprezentujących przynajmniej 65 proc. ogółu ludności. Nie musi to być wcale takie oczywiste wobec zmieniającej się dynamicznie sytuacji politycznej na kontynencie. Gdyby jednak nawet tak się stało, polski rząd może zaskarżyć takie działania do TSUE – który związany będzie tutaj wyłożoną właśnie wąską interpretacją rozporządzenia, ograniczoną do ochrony budżetu unijnego.

Zaufania do instytucji unijnych zostało niewiele, ale tę złożoność sytuacji i możliwość dalszej obrony przed politycznym bezprawiem ubranym w szaty praworządności warto jednak dostrzec.

Michał Karnowski




32

**Ślub? Dziękuję,
poczekam**
Dorota Łosiewicz


39

**Ordynator w Senacie,
czyli Grodzki na równi
pochylej**
*Wojciech Biedroń, Jakub
Augustyn Maciejewski*


72

**Czy to już koniec
polskich skoków?**
Cezary Kowalski

NA POZĄTEK

- 6** **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8** **CIECIA W MIAMI (OSOBA)**
Krzysztof Feusette
- 9** **UNIA NA RATUNEK TUSKOWI**
Dorota Łosiewicz
- 10** **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12** **PODŻEGACZ WOJENNY NR 1**
Jan Pietrzak
- 12** **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13** **PO JAK PZPR**
Bronisław Wildstein
- 14** **WALIZKA ANDRZEJA MASTALERZA**
Michał Korsun
- 16** **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17** **KONSEKWENTNIE NA STRAŻY
DOBRA DZIECKA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18** **CZY KIEDYKOLWIEK TUSK ZAŁATWIŁ
W BRUKSELI COŚ DLA POLSKI?**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20** **Z GEN. ROMANEM POLKĄ**
rozmawia Marek Pyza
- 26** **NIEMIECKI ZJAZD Z AUTOSTRADY**
Jan Rokita
- 29** **TROLLLOWANIE PUTINA**
Konrad Kołodziejski

KRAJ

- 32** **ŚLUB? DZIĘKUJĘ, POCZEKAM**
Dorota Łosiewicz
- 36** **PRZYSZŁOŚĆ ANDRZEJA DUDY**
Stanisław Janecki
- 39** **ORDYNATOR W SENACIE, CZYLI
GRODZKI NA RÓWNI POCHYLEJ**
Wojciech Biedroń,
Jakub Augustyn Maciejewski
- 42** **DRAMATYCZNE KULISY
PRZEJĘCIA TEATRU**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 44** **Z PROF. WOJCIECHEM FAŁKOWSKIM**
rozmawia Michał Karnowski

ŚWIAT

- 49** **WIELKIE WYLUDNIENIE**
Aleksandra Rybińska
- 52** **JESTEŚ EUROPEJCZYKIEM?
WALCZ Z (OBCENĄ) UNIĄ!**
Bernard Margueritte

SIECI KULTURY

- 55** **CZAS NA JAGIELLONÓW**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 57** **BRODSKI NA SKRZYPCACH
PAGANINIEGO**
Adam Ciesielski
- 58** **FAJNY BUDDYZM DAŁAJLAMY**
Robert Tekieli
- 59** **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 60** **POLECA**
Łukasz Adamski
- 62** **KOCHANOWSKI,
MICKIEWICZ, LECHOŃ**
Robert Tekieli

ZDROWIE

- 65** **ABY ZDROWIE BYŁO
PRIORYTETEM**
Debate „Onkologia w dobie pandemii”

SPORT

- 72** **CZY TO JUŻ KONIEC
POLSKICH SKOKÓW?**
Cezary Kowalski

KUCHNIA

- 74** **MOJE SZLAKI: JUSTYNA BEDNAREK**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 75** **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 76** **POLITYKA „NIELUDZKIEJ ZIEMI”**
Wojciech Reszczyński
- 77** **PUTIN PO PUTINIE**
Aleksander Nalaskowski
- 78** **ZE ZDUMIENIEM PRZECIERAM OCZY**
Jan Pospieszalski
- 79** **FESTIWAL POETYCKI O „LAUR RYMU”**
Jerzy Jachowicz
- 80** **PROBLEM Z WIEPRZOWINĄ**
Ryszard Makowski
- 81** **RYCERZ I FAUN**
Leszek Długosz
- 82** **DZIURA W SERCACH,
CZYLI HIPOTEZA CYWILIZACYJNA**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

MNIEJ SMOGU

Z BENZYNĄ EFFECTA



MASY EMITOWANYCH CZĄSTEK STAŁYCH

Testy wykonano na różnych samochodach, a wyniki emisji mogą różnić się od rzeczywistych wyników w zależności od rodzaju pojazdu, jego kondycji, stylu jazdy oraz innych czynników. Podany poziom emisji zanieczyszczeń benzyny względem paliw odniesienia na podstawie badań wykonanych w cyklu WLTC w niezależnym Instytucie Badań i Rozwoju Motoryzacji BOSMAL Sp. z o.o. Szczegóły na orlen.pl.

Alfa Romeo
RACING



TITLE SPONSOR

Sygnalista nadaje

Można bez końca mówić o antypaństwowym instynkcie wielkiej części polskich mediów, o braku elementarnej lojalności, o służalczości wobec obcych interesów, ale i tak do wielu prawd nie dociera. To może dotrą twarde fakty. Oto w czasie, gdy Rosja szykuje się do uderzenia na Ukrainę, gdy toczy się gra o wielką stawkę, Radio Zet publikuje anonimowy raport, który rzekomo powstał w MON w okresie ministrowania Antoniego Macierewicza. Z dokumentu ma wynikać, że Siły Zbrojne RP nie były wówczas (ani też wcześniej) zdolne do przeprowadzenia nawet niewielkiej operacji obronnej. Z takimi mediami szanse na obronę polskiej państwowości rzeczywiście wyglądają marnie.

Lech Wałęsa przyznaje się do pomyłki w sprawie rosyjskiego prezydenta i zachęca do zdecydowanych działań: „Tym razem musimy zachować się mężnie. Ja bardzo szanowałem Putina, ja go nawet wspierałem tu i ówdzie, natomiast posunął się moim zdaniem za daleko, przeszarżował i teraz nie wolno się cofnąć. Nie wolno mu pozwolić, bo każdy następny jego atak będzie jeszcze gorszy. Cały świat musi się zmobilizować i nie pozwolić na uderzenie na Ukrainę. Jeśli Putin zaatakuje Kijów, musi być natychmiast odpowiedź: atak na Moskwę. Trzeba przygotować i nie pozwolić”. Pomyśl ataku nie wymaga komentarza, natomiast chętnie poznalibyśmy szczegóły wsparcia udzielonego Putinowi. Chociaż właściwie to wszystko jest jasne: zwalczanie opcji niepodległościowej to praca na rzecz Kremla.

W czasie wizyty wicepremiera Jacka Sasina w Stanach Zjedno-

czonych KGHM Polska Miedź podpisał umowę w sprawie zakupu sześciu niewielkich reaktorów SMR. Rzecz ważna, kluczowa dla naszej przyszłości i naszego bezpieczeństwa. Dla posłów opozycji to jednak przede wszystkim okazja do żartów. Poseł PO Robert Kropiwnicki zakpił w taki oto sposób: „Czy wy czujecie się bezpieczniej z atomem od Sasina? Bo ja jednak odczuwam duży niepokój, jak tylko rozkradną, to jakoś przeżyjemy, ale jak będą na nas eksperymentować jakieś nowe technologie za ogromne pieniądze, to jednak strach! To niebezpieczne zabawki”. Niebezpieczna to jest opozycja. Dla Polski. Byli totalni, stają się prostaccy.

W Radiu Tok FM Mikołaj Lizut zapytał Janinę Ochojską o zaporę na granicy polsko-białoruskiej, która jego zdaniem „powinna szczególnie w Polsce budzić jakieś przynajmniej mieszane uczucia, jeśli nie wstręt”. Europosłanka KO odpowiedziała: „Mi też tak by się wydawało, niestety chyba Polacy mają trochę krótką pamięć historyczną. Zapomnieli już, jak trzeba było obalać mur berliński. Powiem panu szczerze, jestem oczywiście przeciwko budowie tego muru, to nie ma sensu, ten mur nikogo nie zatrzyma”. Pomijając absurdalne porównanie (bariera ma Polaków chronić, a nie trzymać w zamknięciu), to warto znać historię. A ta jest taka, że mur – formalnie „Antyfaszystowski Wał Ochronny” – pozwolił ciężko wówczas rannej NRD na przetrwanie całego ćwierćwiecza (1963–1989). Z kolei mur na granicy Izraela i Palestyny sprawił, że nie słyszymy już o zamachach. Świat jest bardziej złożony, niż sądzi pani Ochojska.

Europoseł Lewicy Robert Biedroń skępowany nie jest. Udowadnia to niemal codziennie. Ostatnio tak oto skomentował sprawę Pegasus: „To jest narzędzie, za pomocą którego oni chętnie zaglądają nam pod koldrę, sprawdzają, z kim się spotykamy. Te możliwości Pegasus są nieograniczone w prześladowaniu nas wszystkich”. Europoseł wyrażnie preceniał swoją atrakcyjność.

🔊 Lata mijają, a establishment wciąż się męczy, żyjąc wśród Polaków. Gdy „Sukienka” Tadeusza Łysiaka została nominowana do Oscara dla najlepszego krótkometrażowego filmu aktorskiego, krytyk Tomasz Raczek nie wytrzymał: „Oglądając ten film, widząc go na liście nominacji do Oscara, miałem poczucie, że Polska nie zasługuje na to wyróżnienie. Nie zasługujemy na to, żeby świat pomyślał, że my jesteśmy tacy jak w tym filmie – tacy dobrzy i empatyczni. Bo my jesteśmy jednym z najmniej empatycznych narodów świata. Jesteśmy narodem niewdzięcznym, który otrzymał mnóstwo pomocy od innych krajów, a który nie umie uszanować cudzoziemców, gdy przekraczają granicę, nie dostrzega ich człowieczeństwa. Więc ta empatia, którą będziemy się popisywać przy okazji Oscarów, jest niezasłużona”. Właściwie Raczek mógł to ująć znacznie krócej: artysta nie jest z naszego towarzystwa i nie napluł na Polskę, więc nie ma prawa się przebić. Mówcie szczerze, w końcu ponoć nie znosicie hipokryzji.



🔊 Prof. Magdalenie Środzie szczerości nie brakuje. „Zewsząd słyszę pierwsze odgłosy radości spowodowanej tym, że PiS się sypie” – stwierdza, ale się nie cieszy, ponieważ „problem nie tkwi w modelu tej partii, ale w narodzie”. „Znacząca jego część (ponad 30 proc.) utożsamia się z autorytaryzmem, fundamentalizmem i marnym poziomem intelektualnym PiS. Nie brzydzi ich korupcja, fuzzerka i kabaretowość rządzących. Bo to »swoje chłopy, takie jak my«. W tym sensie PiS będzie wieczny jak Lenin, bo i wymiana pokoleniowa niewiele da. Pisowski wirus przechodzi z ojca na syna (głównie po linii patriarchalnej). Mimo zadowolenia, że potwór się sypie, obawiam się, że wielu Polaków nie może żyć bez potworów...”. Diagnoza w zasadzie słuszna: polski patriotyzm ma w sobie zdolność przetrwania nawet w warunkach wyjątkowo niesprzyjających, w czasach w których teoretycznie już dawno powinien obumrzeć.



🔊 Dostrzegł to także **Tomasz Lis**, który wezwał Donalda Tuska do zagrania roli „przywódcy narodowego”: „Tusk musi pisać historię nie PO i opozycji, ale narodu. I już teraz opowiadać Polakom, jak ta nadchodząca historia ma wyglądać i jak chce tego razem z Polakami dokonać. Musi wpisać obecną Polskę w kontekst jej historii, w Europie i we współczesny świat z jego problemami i wyzwaniem. Musi nauczyć się odwoływać do patosu, którego nie lubi, do idei narodu, do której prawie zawsze miał pewien dystans, i do postępu, choć budził on jego sceptycyzm. Musi chwycić i wznieść w górę białą-czerwoną flagę i jednocześnie, by użyć zgrabnej formuły Karola Modzelewskiego, »osiad-



łać kobyłę historii». Jednym słowem – lider PO powinien przebrać się w cudze szatki i znów zwieść Polaków. Koncepcja opozycyjnej przebieranki w białą-czerwoną sztandar nie jest nowa, ale pomyśl, by akurat Tuska obsadzić w tej roli, nieuchronnie wywołuje serdeczny śmiech.

🔊 Tusk też chyba nie ma zamiaru iść tą drogą. Wybrał prostszy środek: pokazał się na tle palety z pieniędzmi, potem na tle całego boiska pełnego palet z pieniędzmi i zaproponował Polakom geszeft: jeśli zagłosujecie na moją partię, dostaniecie pieniądze z Unii. Jak przekonywał: „Jedyny powód, dla którego po te pieniądze nie możecie sięgnąć, to rząd PiS-u. To ich kompletnie niezrozumiały opór. [...] Ich być może na to stać, ale polskich rodzin, polskich firm nie stać na takie idiotyzmy. Tak, to nie do zrozumienia. To nie są patrioci, to idioci”. Tak zapewne przemawiano w końcu XVIII w., zniechęcając Polaków do obrony państwowości. Wtedy to też był „kompletnie niezrozumiały opór”. Finalnie zdrada się nie opłaciła, także materialnie.

🔊 Czy tym razem się opłaci? Czy opozycja wygra wybory? Ponownie Tusk: „Nie ma żadnych gwarancji, że wygramy kolejne wybory, ale to cel, do którego jak sądzę konsekwentnie się zbliżamy. Mam w tym swój udział. To jest moja praca w tej chwili, moje powołanie, moja misja, można powiedzieć moja obsesja”. Przynajmniej nie udaje, że chodzi o Polskę, o coś więcej niż własną karierę. Bo Tusk istnieje – jak ktoś zauważył – tylko jako oponent Jarosława Kaczyńskiego. Poza tym to w ogóle go nie ma. Jest pustka.

🔊 Brytyjsko-niemiecki dziennikarz Alan Posener na łamach dziennika „Die Welt” ubolewa nad przyjętą przez Sejm nowelizacją prawa oświatowego. Według Posenera, jeżeli ustawa wejdzie w życie, tj. nie zostanie zawetowana przez prezydenta, polska młodzież zbuntuje się, ponieważ „nie żyje na Marsie. Ogląda Netflix, używa Instagrama, kocha zachodnią popkulturę i może jeździć do wszystkich krajów UE”. A tak w ogóle to celem ustawy jest „wychowanie młodzieży w polskich szkołach na bezkrytycznie nacjonalistycznych, katolickich i skrupowanych seksualnie dorosłych”. Bzdura goni bzdurę, ale ważniejsze jest co innego: lewicowi liberalowie chętnie demolują cywilizację, chętnie „wyzwalają” z kultury, ale od odpowiedzialności za skutki swoich działań uciekają. A później ludziom niemającym w niczym oparcia, coraz bardziej zagubionym, proponują co najwyżej psychologa lub psychiatrę. W istocie to handlarze śmiercią.

Nieprawdą jest, że nie przyjął nas gubernator. Z prostego powodu, że nie zabiegaliśmy w ogóle o takie spotkanie” (Marszałek Grodzki po powrocie z Florydy)

„I nie jest prawdą, że nad łózkami dach przeciekał. Szczególnie że prawie nie padało” (zawodniczka Klubu Sportowego „Tęcza” po powrocie ze zgrupowania)

Od dawna mam dosyć. Tej zimy, tej izby, tej polityki. Mnie się już nawet nie chce orędzi wygłaszać. Położyłem sobie w salonie fototapetę, słońce, palmy, fale, jakaś pani na desce. Jak się człowiek długo przygląda, to prawie bryzę czuje. Pomagało przez tydzień. A potem znowu, jak nie pandemia, to immunitet. Jak nie inflacja, to wojna. I wtedy to się stało. Środek nocy, dzwoni komórka. „Sianowny pan ciecia osioba?” – pyta kobiecy głos. „Owszem” – mówię, bo oni „trzecia” jak „ciecia” wymawiają, a u nas tak się z angielskiego przyjęło. „Ci pan by nie chciała psijechać do nas?”. „Chciała, nie chciała” – myślę. „Ale gdzie konkretnie?” – a w domyśle, że do byle Pacanova się nie ruszam, gdyż sytuacja międzynarodowa i tak dalej. „Juesej” – słyszę i czuję, że świat mi się w głowie kręci jak w globusie. A jak miasto podała, to aż mi się koperty rozsypały. „To Ma-ja-mi?”. Jes, ofkors, że to. Policjanci z Miami, słoneczne patrole, palmy, surfing. „A za ile?” – pytam. „A za ile by pan chciał?” – mówią. W gabinecie czy bez? Bez. To za dwa tygodnie. Zdązę się spakować, w necie popatrzę, co bym chciał zobaczyć i Floryda welcome tu. A tu wziąłem trzech senatorów z Platformy i Gabrysię z Pekaesu czy tam Pepeesu, bo Amerykanie prosili o coś, czego u nich nie ma, to pomyślałem, że senatora, który atakował żołnierzy strzegących granicy, to na sto procent nie widzieli. W kancelarii kartkę zostawiłem na stole: „Lecę do Ameryki, bo świat w obliczu kryzysu potrzebuje odważnych decyzji. Bez odbioru. Podpisano: ciecia... to znaczy, trzecia, wiadomo, kto, wiadomo w czym”.

Jesteśmy na miejscu, ale już w hotelu są problemy. Jakiś Indianin na recepcji o coś pyta. I to z takim akcentem, jakby Chińczyk śpiewał po góralsku. Więc mu tłumaczę: „Aj em person of de namber tri in Pollend...”, a on mi, że „Jej, jes, fri...”, to ja mu: „Nie fri, tylko tri, bałwanie...”, to on mi: „Fri, bałwanie...”, bo okazało się, że babcię miał Polkę, a za „fri” mamy noclegi. No i fajnie, zanim człowiek jakiegoś pacjenta namierzy, to już sobie frytki kupi. „Wież mnie, egzotyczny chłopcze, na plażę” – mówię. Nie po to dwie koperty na klapki przepuściłem jeszcze na lotnisku, żeby teraz półbuty z izby refleksji zdzierać. Ciepluśko, milutko, palmy szeleszczą, jak wielkie zielone banknoty, 27 stopni, żyć, nie umierać, a policjantów z Miami to żeśmy z Gabrysią kilkunastu naliczyli.

Ciecia w Miami (osoba)



KRZYSZTOF FEUSETTE

Walę się na leżak (więc niech mi nikt nie mówi, że na plaży leżałem!) i myślę sobie: „To jest to!”. Nagle dudni czyjś telefon, patrzę, a to mój, bo sobie przed delegacją dzwonek na „Łelkam tu Majami, ami, ami...” zmieniłem.

Dzwoni miejscowa i pyta, czy nie chciałbym się z kimś spotkać. Ale z kim? Na piasku to chyba tylko z Pamelą Anderson? Poza tym nie wypada, żebym poniżej ciecia... to znaczy trzeciej osoby w państwie schodził. A z tego, co się domyślam, jako mąż stanu w stanie odpoczynku pod palmami, najważniejsze osoby w Juesej są obecnie zajęte kryzysem rosyjsko-ukraińskim.

Mówię jej, że mogę dla Polonii preambułę wygłosić, bo mam prawie gotową, z czasów, jak żeśmy chcieli Krajowy Plan Odbudowy zablokować. Nie chciała. No i fajnie, więcej czasu na odpoczynek po ciężkim locie.

Reasumując: było warto. A że „Donald się wściekł”? Trudno, żeby się nie wściekł, skoro żeśmy go nie wzięli. A po co nam wstyd za granicą? Jeszcze by się jakiś pisowski elektorat przyczepił (a w Juesej akurat na trzech wyborców zawsze dwóch na PiS głosuje) i co wtedy? I zacząłby nam żółte kartki rozdawać albo do

teściowej dzwonić? A że społeczeństwo jest zawistne, to wiadomo od dawna. Każdy by chciał pod palmą posiedzieć, a nie każdy ma kwalifikacje. Np. senator Dowhan przeżył tę Florydę tak ciężko, że jeszcze po powrocie dziwnie mówił. Że jakoś „nikt nie robi zadymy, kiedy ciągną nas po cmentarzach ukraińskich i jakichś innych!”. A przecież w Miami to „nawet kiedy mieliśmy wolne, człowiek przysypiał na siedząco w hotelu”.

Pragnę zatem raz jeszcze wyrazić głęboki żal jako ciecia... trzecia osoba w tym kraju, że uczestnicy tej ekstremalnie wyczerpującej misji zostali po powrocie tak oschle powitani na ojczystej ziemi. Bo cóż suwerena interesuje najbardziej? Nie to, czy widzieliśmy amerykańskich żołnierzy (a widzieliśmy na gofrach!), i nie to, jak przebiegały rozmowy polsko-amerykańskie, choćby i w restauracji hotelowej, gdy Gabrysi jajka ścieli, chociaż wyraźnie prosiła po wiedeńsku. Nie, ludzie chcą wiedzieć, czy był bał! No, ekskuzmi wery sorry! A miało nie być?! Chociaż ja osobiście zrozumiałem, że będzie przebierany, więc wziąłem perukę Mikołaja Kopernika, to znaczy, Kopernika. Niestety, reszta naszych w ogóle nie przyszła. Zresztą po tym słońcu to by im nawet kostiumy pingwinów z Madagaskaru nie pomogły.

A do Donalda po powrocie dzwoniłem, ale nie odbiera. Pewnie boi się, że jakiś dziennikarz o Ukrainę zapyta, a nie chce się własnymi słowami udławić. Trudno, do Dubaju też nie polec. Może i lepiej, bo tam to już będzie taki zapier-papier, że nam gumki w kąpielówkach mogą nie wytrzymać. W sensie politycznym, oczywiście.

Instytucje Unii Europejskiej dwoją się i troją, by pomóc zmienić w Polsce rząd. Gdy opcja „ulica” nie przyniosła rezultatu, trzeba było postawić wszystko na kartę „zagranica”. A ta przecież chętnie pomoże Donaldowi Tuskowi wygrać wybory.

Tak zwany mechanizm warunkowości, uzależniający korzystanie z finansowania z unijnego budżetu od poszanowania przez państwa członkowskie zasad państwa prawnego, jest zgodny z prawem UE – uznał w orzeczeniu wydanym w ub. tygodniu Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu. Jednocześnie ten sam Trybunał orzekł, że procedurę można zainicjować tylko wtedy, gdy istnieją uzasadnione powody, by uznać nie tylko, że w danym państwie członkowskim doszło do naruszeń zasad państwa prawnego, ale przede wszystkim, że naruszenia te wpływają lub stwarzają poważne ryzyko wpływu – w sposób wystarczająco bezpośredni – na należyte zarządzanie finansami w ramach budżetu Unii lub na ochronę jej interesów finansowych.

Zobaczymy teraz, w jaki sposób instytucje UE wykażą, że Polska niewłaściwie dysponuje unijnymi środkami, bo dotychczas w ich prawidłowym wydawaniu była prymusem. A to, że wykażać spróbują, jest pewne, w Unii obowiązuje bowiem doktryna Ponsa, czyli zrobienie wszystkiego, by zmienić rząd nad Wisłą. „Spróbujemy pomóc polskiemu społeczeństwu zmienić władze, które wydają się nie być dobre dla Polski” – powiedział już niemal miesiąc temu w rozmowie z portalem *euractiv.pl* hiszpański europoseł Esteban González Pons. „Państwa, takie jak Polska i Węgry, trzeba finansowo zagłodzić. Dotacje unijne stanowią bowiem skuteczną dźwignię” – mówiła wcześniej wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego Katarina Barley.

Podczas jednej z poprzednich debat w Parlamencie Europejskim poświęconych Polsce szef frakcji EPL Manfred Weber dziękował Donaldowi Tuskowi za organizację ulicznych demonstracji. To mogło otworzyć oczy części opinii publicznej na podwójną grę prowadzoną przez Tuska, który postanowił wykorzystać swoje polityczne wpływy w UE, by pozbyć się politycznego przeciw-

Unia na ratunek Tuskowi

Brak praworządności we własnych szeregach brukselskim elitom w niczym nie przeszkadza

Weber jest zaś szefem grupy EPL w Parlamencie Europejskim. Polityczna agenda obu panów jest taka sama.

A tak z ciekawości tylko zapytam, co instytucje Unii zrobiły w sprawie ujawnionych przez francuski dziennik „Libération” oszustw w budżecie UE, konfliktu interesów, płatnej protekcji? To tylko niektóre nadużycia, o których pisał dziennikarz śledczy Jean Quatremer. W serii artykułów, będących wynikiem dziennikarskiego śledztwa, ujawnił handel wpływami i wiele innych nieuczciwych praktyk, których mieli się dopuszczać sędziowie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, urzędnicy Komisji Europejskiej oraz politycy Europejskiej Partii Ludowej. „Napisałem dwie serie artykułów, które pokazują, że część odpowiedzialnych za politykę unijną – chodzi tutaj przede wszystkim o osoby reprezentujące Europejską Partię Ludową, czyli konserwatyści europejscy, dominują tam CDU/CSU z Niemiec – zaangażowani są w te skandale, które ujawniam. Są oszustwa w budżecie wspólnotowym, ale są też konflikty interesów. Mamy też do czynienia z płatną protekcją, czyli z kontaktami, których nie powinno być pomiędzy osobami pełniącymi funkcje kierownicze, politykami i szefami firm. To, co pokazuję, to istnienie »głębokiego państwa«” – mówił Quatremer.

Francuska gazeta opisała także korupcję i handel wpływami będących udziałem m.in. przewodniczącego TSUE sędziego Koena Lenaerts oraz ważnych unijnych urzędników związanych z EPL. Autor śledztwa podkreśla, że to poważny problem dla Unii, ponieważ okazuje się, że jest ona kontrolowana przez niewielką grupę osób, głównie Niemców. „To stawia pytania na temat demokracji we wspólnocie” – mówił Quatremer w TVP.Info.

Ale te sprawy jakoś wyciszono. Problemem jest Polska. Bo to polski rząd chciał zmienić brukselskie elity. Brak praworządności w ich własnych szeregach w niczym im nie przeszkadza.

Dorota Łosiewicz





Santiago Abascal,
lider partii Vox

Prawicowa partia Vox może po raz pierwszy wejść do rządu regionalnego w Hiszpanii po tym, jak w przedterminowych wyborach w autonomicznym regionie Kastylia i León zdobyła 17 proc. głosów i tym samym 13 mandatów w 81-osobowym parlamencie (poprzednich wyborach w 2019 r. był to zaledwie jeden mandat). Zwyciężyła centroprawicowa Partia Ludowa (PP), osiągając 31,5 proc. głosów i 31 mandatów, o 10 za mało do uzyskania większości. To spora porażka dla partii, która rządzi tym regionem od 35 lat. Drugie miejsce zajęli So-

cjaliści (PSOE), zdobywając 30 proc. głosów, ale sojusz z nimi ludowcy – na razie – wykluczają. Naturalnym partnerem dla nich byłaby liberalna partia Ciudadanos, ale ta wypadła słabo (4,5 proc. głosów, czyli jeden mandat). Pozostaje więc Vox.

Lider ugrupowania Santiago Abascal jasno dał do zrozumienia, że oczekuje, iż jego partia będzie współtworzyła regionalny rząd. W przeszłości Vox godził się na to, aby być cichym koalicjantem PP, m.in. w Madrycie, Andaluzji i Murcji, w zamian za polityczne koncesje. Tym razem jednak chce rządzić. Nie jest to sytuacja wygodna dla centroprawicy, która jest podzielona co do współpracy z partią, którą część jej działaczy uważa za zbyt radykalną. Dlatego kandydat PP na premiera Kastylii i León Alfonso Fernández Mañueco ostrożnie ogłosił, że będzie rozmawiał „ze wszystkimi formacjami”.

Poparcie dla Vox rośnie, a wybory regionalne są traktowane jako wskaźnik przed wyborami krajowymi planowanymi na koniec 2023 r. Obecnie sondaże dają partii Abascala od 17 do 20 proc. poparcia (w 2019 r. było to 10,9 proc.), tuż za PP (25 proc.) i PSOE (26 proc.). A dobry wynik Vox w Kastylii i León to konse-

kwencja rozczarowania polityką lewicowego rządu premiera Pedra Sáncheza na prowincji, nazywanej potocznie La España vaciada („opustoszała Hiszpania”). Obejmuje ona regiony rolnicze, takie jak Kastylia i León, Kastylia-La Mancha, Estremadura i Aragonia. Ominęły je industrializacja i rozwój, którymi od ostatnich lat rządów Franco cieszyły się duże miasta i przyjazne turystom wybrzeże. Ta zapomniana Hiszpania coraz częściej przypomina o sobie przy urnach. Ugrupowaniu Abascala udało się przy tym zmobilizować nowych wyborców, popierając „la España, que madruga” (dosłownie „Hiszpanię, która wcześniej wstaje”, co oznacza ciężko pracujących Hiszpanów). Ci nowi wyborcy postrzegają Vox jako wolną od korupcji, konserwatywną partię, która na pierwszym miejscu stawia obywateli. Nowy rząd regionalny w Kastylii i Leónie może więc dać Hiszpanii przedsmak prawicowego sojuszu, który mógłby objąć władzę po wyborach w kraju. A ponieważ hiszpański system wyborczy nadaje większą wagę parlamentarną słabo zaludnionym obszarom kraju niż miastom, szanse Vox na współtworzenie w przyszłości rządu w Madrycie są spore.

Aleksandra Rybińska

Znikający prezydent

Armenia



Armen Sarkisjan,
prezydent Armenii

Rezygnacja prezydenta Armenii Armena Sarkisjana nastąpiła w niecodziennych okolicznościach. Przywódca państwa nie raczył nawet osobiście poinformować swych rodaków o ustąpieniu z urzędu, a jedynie wysłał list pożegnalny do narodu przed odlotem z Londynu na Karaiby. Przy okazji okazało się, że polityk miał potrójne obywatelstwo: oprócz armeńskiego i brytyjskiego także karaibskich wysp Saint Kitts i Nevis, gdzie po swojej rezygnacji postanowił osiedzić na stałe. Przez wielu Ormian to zachowanie zostało odebrane jako wyraz pogardy do własnej ojczyzny, wywołując rozczarowanie nawet wśród zwolenników prezydenta.

Sarkisjan tłumaczył, że zrezygnował, ponieważ nie miał realnych narzędzi władzy, np. możliwości weta, a tym samym nie posiadał żadnego wpływu na politykę wewnętrzną i zagraniczną kraju. Jego żale są o tyle dziwne, że wybrany na swój urząd został w roku

2018, a zatem już po znalezieniu konstytucji, która zmieniła ustrój państwa z prezydenckiego na kanclersko-parlamentarny, ograniczając poważnie kompetencje prezydenta na rzecz rządu i Zgromadzenia Narodowego.

Dopóki Sarkisjan zgadzał się z polityką premiera Nikoła Paszyniana, współpraca między nimi układała się poprawnie. W momencie gdy pojawiły się tarca, zaczęła rosnąć frustracja bezradnego prezydenta, którego wszystkie inicjatywy w 2021 r. zablokował rząd. W tym starciu Paszynian miał po swojej stronie silną legitymację społeczną, ponieważ podczas zeszłorocznych przedterminowych wyborów jego partia zdobyła samodzielnie 54 proc. głosów.

Konflikt między premierem a prezydentem rozgorzał zwłaszcza po przegranej wojnie z Azerbejdżanem o Górski Karabach. Sarkisjan obciążał winą za porażkę Paszyniana. Zarzucał mu też dążenie do zawarcia niekorzystnego porozumienia pokojowego z Baku, które pozostawi Karabach w azerskich rękach. Siły proządowe twierdziły jednak, że Armenia nie ma szans w starciu z Azerbejdżanem wspieranym przez Turcję, dlatego będzie musiała się pogodzić z utratą spornego terytorium.

Grzegorz Górny



Azerbejdżan

Turecki sojusz

Prezydenci Turcji i Azerbejdżanu zakończyli w minionym tygodniu proces ratyfikacji konwencji z Suszy, porozumienia o sojuszu wojskowym pomiędzy obydwojoma krajami. Umowa przewiduje m.in. współdziałanie w razie napaści lub zagrożenia wojskowego ze strony państw trzecich. Rosyjscy komentatorzy nieco na wyrost są zdania, że w ten sposób Baku po cichu staje się członkiem NATO, integrując się militarnie z Turcją za zgodą Waszyngtonu. Za taką interpretacją przemawiają ich zdaniem m.in. wypowiedzi ambasadora Stanów Zjednoczonych w Baku Earla Litzenbergera, który w minionym tygodniu mówił o „krzepnięciu” więzi wojskowych między Azerbejdżanem a Ameryką. Jednym z przejawów tej współpracy ma być, w opinii Litzenbergera to, że Baku wysłało swój kontyngent wojskowy do Afganistanu, który wraz z Turcją nadal kontroluje lotnisko w Kabulu.

Yavuz Selim Kiran, turecki wiceminister spraw zagranicznych, przedstawiając w parlamencie informację na temat umowy, powiedział, że przewiduje ona również regularne spotkania na szczęblu szefów rad bezpieczeństwa oraz wprowadzanie podobnych zasad i rozwiązań w siłach zbrojnych obydwu państw, co jego zdaniem przybliży je do realizacji zasady „jeden naród dwa państwa”. Niedawne aresztowania w azerskich siłach zbrojnych, które objęły m.in. szefa departamentu finansowego ministerstwa obrony płk. Rafaela Chalilowa i kilku wysokich rangą wojskowych, uważane są za dowód na pozbywanie się przez prezydenta Ilhama Alijewa przeciwników integracji azerskich sił zbrojnych z ich tureckim odpowiednikiem.

Zbliżenie między obydwojoma krajami, które przyspieszyło po wygranej przez Azerbejdżan ubiegłorocznej wojnie z Armenią, ma być też odpowiedzią na niedawną interwencję w Kazachstanie wojsk OUBZ, bloku militarnego kontrolowanego przez Moskwę. W Ankarze i w Baku akcja ta wzbudziła zaniepokojenie i zaowocowała wezwaniem do przyspieszenia integracji „narodów języka tureckiego” również w obszarze wojskowym, aby zablokować w przyszłości możliwość interwencji innych graczy. W przypadku współpracy Baku i Ankary mamy zresztą do czynienia nie tylko ze współpracą sił zbrojnych. Na początku lutego do Baku przyjechał Seldżuk Bayraktar, twórca najsłynniejszego tureckiego drona. Potwierdził on wcześniejsze informacje o produkcji dronów w Azerbejdżanie i zadeklarował, że kontrolowany przezeń fundusz inwestycyjny gotów jest rozpocząć wiele wspólnych projektów w zakresie zaawansowanych technologii.

Marek Budzisz



Czas dyktatora

Nikaragua

Hugo Torres, jeden z dawnych liderów sandinistów, zmarł w więzieniu w wieku 73 lat. W areszcie, do którego trafił za „zdradę”, przebywał od ośmiu miesięcy. Torres był ostrym krytykiem prezydenta Nikaragui Daniela Ortegi (na fot. z żoną Rosario Ortega-Murillo), którego nazywał wprost dyktatorem. W latach 70. obaj, ramię w ramię, walczyli w szeregach sandinistów. Torres w 1974 r. brał nawet udział w operacji odbicia Ortegi z więzienia. To symboliczne, że sam zmarł za kratami, wysłany tam na rozkaz byłego kompana komunistycznej rewolucji.

Torres został aresztowany wraz z 46 opozycjonistami przed ostatnimi wyborami w Nikaragui, które odbyły się w listopadzie 2021 r. W tym czasie był wiceprezesem partii Unamos, która odłączyła się od sandinistów w 1995 r. i krytykowała Ortęgę, zarzucając mu, że upodobił się do dawnych dyktatorów z klanu Somozów. Przedstawiciele partii Unamos mówią, że Torres był torturowany, co potwierdziła komisarz ONZ do spraw praw człowieka, była prezydent Chile Michelle Bachelet.

Wybrany w 2021 r. na swoją czwartą kadencję Daniel Ortega rządzi z przerwami Nikaraguą od 1979 r., gdy władzę przejął kierowany przez niego Front Wyzwolenia Narodowego im. Sandino. W 1990 r. przegrał demokratyczne wybory prezydenckie, ale nigdy nie zrezygnował z powrotu do władzy. W pierwszej dekadzie XXI w. zdjął mundur i porzucił komunistyczną retorykę. Wychwalał wtedy zagraniczne inwestycje i twierdził, że „Jezus Chrystus jest jego bohaterem”. Taka strategia okazała się skuteczna i zaowocowała zwycięstwem w wyborach prezydenckich w 2007 r. Od tej pory Ortega nieprzerwanie utrzymuje się u władzy, głównie dzięki zmianom konstytucji, które umożliwiają mu kandydowanie na kolejne kadencje. W 2016 r. wyznaczył na wiceprezydenta swoją wszechwładną żonę Rosario Ortega-Murillo. Niedawno obarczyła ona winą za złą sytuację w Nikaragui „inwazję złych duchów”. Faktem jest, że Nikaragua należy do najbardziej zagrożonych krajów na półkuli zachodniej. Ubóstwo wywołane skorumpowanymi, dyktatorskimi rządami Ortegi stało się zresztą powodem wielu protestów. Podczas jednego z nich w 2018 r. reżimowa policja zastrzeliła 355 osób, a tysiące trafiło do więzień.

Po ostatnich wyborach, które opozycja uznała za sfałszowane, Unia Europejska i USA nałożyły sankcje na Ortęgę i jego żonę. Zamrożono im aktywa finansowe i odmówiono wiz. To samo spotkało najbliższych współpracowników dyktatora i jego rodzinę. Ortega liczy więc na opiekę swoich starych sojuszników: Kuby i Rosji. W odpowiedzi Moskwa słowami ministra obrony Siergieja Szojgu zapewniła, że Nikaragua może dziś „bardziej niż kiedykolwiek” liczyć na rosyjską pomoc. Wygląda więc na to, że historia znów się powtarza.

Łukasz Adamski

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Podżegacz wojenny nr 1

Mamy takie zawirowane czasy, że cykl produkcyjny tygodnika jest dłuższy niż czas podjęcia decyzji o wojnie lub pokoju. Między momentem pisania felietonu, kiedy to Putin się waha, do przeczytania tekstu przez Szanownego Czytelnika, rozpocząć się może III wojna światowa lub nadejść poczucie ulgi... że tym razem jeszcze się udało do tego nie dopuścić!

W mediach trwa niesamowita gorączka dyplomatyczna, informacyjna i dezinformacyjna. Jaki będzie efekt tego zamętu? Oby nie były to zrujnowane przez rakiety miasta ukraińskie! Jak wiemy z własnego doświadczenia, w tej dziedzinie władcy Kremla mają spore możliwości. Poprzednicy Federacji Rosyjskiej w celach propagandowych używali nazwy „siły postępu i pokoju ze Związkiem Radzieckim na czele”. Ukochany przywódca tych sił, zwany „wielkim językoznawcą”, „słoneczkiem ludzkości” itp., dysponował ideologią „zwycięskiego socjalizmu”, która zagrzewała do walki z imperialistycznymi wyzyskiwaczami „proletariuszy wszystkich krajów”. Cały ten ideologiczny bełkot był kom-



**Jan
Pietrzak**

pletnie zakłamany, ale jakiś był. Wskazywał wroga ludu pracującego miast i wsi, którym był kapitalizm. Wróg, w zależności od sytuacji, przybierał postać marionetki, soldateski, łańcuchowego psa Wall Street, zaplutego karla reakcji, podżegacza wojennego. Mocno reklamowano grubą księgę pt. „Podżegacze” opisującą straszliwy spis antysowiecki.

Czym dysponuje obecny wódz? W jakiej sprawie chce podbić Ukrainę? Co chce udowodnić tym podbojem? Po co mu ta wojna? Otóż wygląda na to, że wierny wyznawca „chorążego pokoju” Stalina sam się stał wojennym podżegaczem z powodów psychicznych. On po prostu się nudzi w swoich 20 pałacach i na 10 jachtach. On chce zwyciężać, dorównać sławie idola czekistów! Jak na razie urwał kawałek Gruzji, dwa kawałki Ukrainy, oderwał kawałek Mołdawii, przydeptał Białoruś, ale to za mało! On chce rządzić od Lizbony do Władywostoku. A tu jakieś drobne państewka nie pozwalają mu uruchomić Nord Streamu! Ot, czepucha, myśli sobie podżegacz! Co za bardak, co za barachło! Bez wojny nie razbieriesz!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Zakupy w Biedronka

W poniedziałek 21 lutego 2022 miał swoje święto Joe Biden, najmniej popularny – jak twierdzą niektórzy – prezydent w historii Stanów Zjednoczonych.

Oczywiście świętowano nie dlatego, że obecny rząd czy parlament amerykański ustanowił uroczystość specjalnie dla Bidena – choć i tego można byłoby się spodziewać, wszak Barack Obama w 2008 r., chwilę po wyborze, został człowiekiem tygodnika „Time”, a potem nawet laureatem Nagrody Nobla, zanim jeszcze zdołał pokazać, co potrafi. A okazało się, że potrafi niewiele, jego jedynym politycznym atutem był kolor skóry – to „pierwszy niebiały prezydent”, jak triumfalnie obwieszczała na pierwszej kolumnie najbardziej opiniotwórcza polska gazeta.

Biden musi się na razie obyć bez Nobla, nie dlatego, że jest za mało postępowy, ale dlatego że nie jest kolorowy. Cóż, brzemie białego człowieka... Musi się zadowolić świętowaniem Presidents Day w trzeci poniedziałek lutego, wspólnie z – między innymi – takimi legendami jak śp. Richard Nixon, śp. Ronald Reagan czy Donald Trump. Pewnie mu wstyd. Im jeszcze bardziej.

21 lutego świat obchodzi także Dzień Języka Ojczystego... „Zawieź mnie do IKEA” – powiedziała do mnie zaledwie parę dni temu pewna młoda osóbką. Aż się wzdrygnąłem. Pomyś-

lałem, że zaraz powie: „Zapłacę VISA, a potem pojedziemy do McDonald’s”.

Wielkie korporacje mają ambicje podobne do Wielkiego Językoznawcy i jego ideowych sukcesorów ze współczesnej lewicy, z feministkami na czele. Chodzi o to, by zapanować nad językiem i ukształtować świadomość. Tyle że tym drugim chodzi o pranie mózgow, a pierwszym o opróżnianie kieszeni.

Język polski przez lata, mimo nieustannej inwazji z zewnątrz, się bronił. „Inkulturował” obce słowa – pamiętam, iż nie tak dawno mówiliśmy, że ktoś wystąpił „w radio”, ale – zgodnie z piękną zasadą, że odmieniamy każde słowo, które da się odmienić według którejś z deklinacji – dziś mówimy, że „w radiu”. Tak jak każdy – odrobinę starszy – człowiek powie, że kupił fotel w Ikei, zapłacił Visą i poszedł na hamburgera do McDonald’a. Nawet YouTube’a odrobinę oswoiliśmy, z pięknie spolszczoną formą „na YouTube”.

Młodsze pokolenie, zasłuchane w reklamy, tę brutalną indoktrynację naszych czasów, poddaje się bez walki. Już się boje, że niebawem usłyszę, iż ktoś wszedł na Facebook i skorzystał z Messenger. A potem poszedł na zakupy do Biedronka.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

PO jak PZPR

Zgodnie z wyznaczoną przez Tuska „europejską” strategią polskość okazuje się brzemieniem, a więc jej obrońcy okazują się po prostu zbrodniarzami. Co innego jej likwidatorzy, wobec nich obowiązuje domniemanie niewinności

W rocznicę zamordowania przez komunistów w więzieniu na Mokotowie czterech oficerów polskiego podziemia, w tym Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, w Sejmie marszałek Witek wezwała do ich upamiętnienia. W odpowiedzi posłowie lewicy wyszli z sali, a reprezentanci PO nie podnieśli się, odmawiając szacunku bohaterom.

„Łupaszka» ma na sumieniu zbrodnie w Dubinkach. Jego podkomendni wymordowali tam dziesiątki kobiet i dzieci. To nie była żadna »bohatera walka«, tylko ohydna zbrodnia. Oddawanie mu hołdu przez Sejm, udawanie, że był postacią bez skazy, jest zwyczajnie podłe” – ogłosił Adrian Zandberg. Inny przedstawiciel lewicy, Maciej Gdula, napisał: „Marszałek @elzbietaWitek rozpoczynając obrady Sejmu uczciła pamięć »Łupaszki«. To dowódca odpowiedzialny za mord cywilów w Dubinkach i inne zbrodnie wojenne. Bezmyślny kult tzw. żołnierzy wyklętych to ukryta promocja nienawiści i przemocy etnicznej”. Cytuję przykłady tych, którzy uchodzą za odpowiedzialnych, bo groteskowych postaci w rodzaju Joanny Senyszyn przywoływać nie ma po co.

Rzeczywiście, żołnierze ugrupowania „Łupaszki” w trakcie działań odwetowych za mordowanie polskiej ludności cywilnej dopuścili się zabójstwa litewskich kobiet i dzieci w Dubinkach. Wprawdzie ich dowódca w akcji tej nie uczestniczył, jego rozkazu jej dotyczącego nie ma, a w wojnie partyzanckiej relacje między szefem ugrupowania a pojedynczymi oddziałami są zdecydowanie luźniejsze, ale tym przeciwnicy „Łupaszki” się nie przejmują. Wyraziło to OKO.press: „Jeśli ktoś twierdzi, że doszło do działania niezgodnego z rozkazami, to na nim ciąży ciężar dowodu”. A ponieważ dowodu takiego właściwie przeprowadzić nie sposób, bohaterów podziemia oskarżyć można o wszystko. W tym bowiem wypadku wszystkie wątpliwości mają świadczyć na rzecz ich winy. Okazję można wykorzystać, przylepiając im wszelkie istniejące i nieistniejące przestępstwa, co czyni Gdula, deklarując o „innych zbrodniach wojennych”, których nawet



w PRL nikt „Łupaszce” nie przypisywał. A może zbrodnią była walka przeciw sowieckiemu komunizmowi? Znacząca jest konstatacja Gduli, że „kult tzw. żołnierzy wyklętych to ukryta promocja nienawiści i przemocy etnicznej”. Czy oznacza to, że obrona narodu jest promocją nienawiści?

Moralistycznie nadęci postkomuniści posługują się manipulacją i oszczerstwem, ale do tego zdążyli nas przyzwyczaić.

Przedstawiciele obecnej polskiej lewicy tak bardzo weszli w buty swoich totalitarnych poprzedników, że w sferze deklaratywnej zachowują się od nich nawet bardziej ostantacyjnie. Akcja zniesławiania „Łupaszki” to powtórzenie kampanii z marca 1968 r.; cała tzw. historia ludowa jest bardziej radykalną wersją rewizji polskiej tradycji, którą usiłowano przeprowadzić w szkole PRL i z której z czasem się wycofano. Wpłynął na to także opór historyków. Dziś, w zideologizowanych uczelniach, jest go zdecydowanie mniej.

Rehabilitacja PRL postępuje. Pewnie nawet w lewicy III RP przechowały się uczciwe jednostki, ale nie one nadają ton formacji. Dlaczego jednak do operacji tej dołącza się PO, której działacze, a w każdym razie ich zdecydowana większość, powołują się na swoją antykomunistyczną kartę?

Idee mają konsekwencje, bezideowość również. Po wygranych wyborach 2005 r. PO, szermując wcześniej wezwaniem do budowy IV RP, Donald Tusk skojarzył z establishmentem i uczynił jego reprezentacją. Musiało to pociągać za sobą akceptację jego immoralizmu, skądinąd maskowanego rozbuchanym moralizatorstwem, czego ofiarą pada choćby „Łupaszka”. A ponieważ III RP jest tworem postkomunistycznym, który coraz bardziej grawituje w kierunku neokomunizmu, chcąc zachować pozycję jej przedstawicielstwa, PO musi przejmować jego ideologię i akceptować propagandę. Byli antykomunistyczni działacze kpią z dawnego zaangażowania i ochoczo uczestniczą w niszczeniu swoich dawnych bohaterów. Polityczny interes przede wszystkim. Zgodnie z wyznaczoną przez Tuska „europejską” strategią polskość okazuje się brzemieniem, a więc jej obrońcy okazują się po prostu zbrodniarzami. Co innego jej likwidatorzy, wobec nich obowiązuje domniemanie niewinności. Zygmunt Bauman nie musiał tłumaczyć się z przynależności do zbrodniczej organizacji i donoszenia. W ten sposób, jak sam twierdził, cywilizował przecież Polaków.



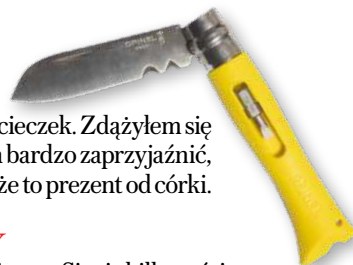
Walizka Andrzej Mastalerza

aktora i reżysera

W związku z tym, że podróże stanowią dosyć istotną część mojego życia, bo jak to dawniej się mówiło, „aktor żyje na walizkach”, umiejętność pakowania się doprowadziłem do perfekcji. Swoje fizyczne podróże podzieliłbym na trzy rozdziały. Pierwszy ma charakter służbowy, drugi dotyczy podróży wakacyjnych, a trzeci to okazjonalne, parodniowe wycieczki, wynikające z chęci zmiany scenografii. Poprzez oddalenie się od miejsca zamieszkania i trafiając do zupełnie nowego miejsca w głowie otwierają się nowe przestrzenie. Pracuję się inaczej, ale nie ukrywam, że efektywniej. Żona nie jest z tego powodu zadowolona. Z wiadomych powodów liczba podróży, zwłaszcza tych zagranicznych, zmalała. Ale po jakimś czasie z małżonką uświadomiliśmy sobie, że niewiele tracimy, bo w Polsce jest tyle pięknych miejsc, m.in. na Podlasiu, Roztoczu, Podkarpaciu czy Dolnym Śląsku.

ŻÓŁTY NÓŻ

Bardzo przydatny w różnych okolicznościach podczas wycieczek. Zdążyłem się już z nim bardzo zaprzyjaźnić, zwłaszcza że to prezent od córki.



BUTY

Zakupione w Sienie kilkanaście lat temu. Są w tak dobrym stanie, że trudno mi jest się z nimi rozstać. Mimo że w obecnym świecie istnieje nadprodukcja dóbr konsumpcyjnych i pewne rzeczy wydają się nam stare, te buty, mimo że czas odcisnął na nich piętno, mają charakter. Będę w nich chodził, dopóki się nie rozpadną.



KURTKA

25 lat temu dostałem ją od siostry. Doskonale się sprawdza na spacerach po lesie czy na działce. Przed nami jeszcze dużo wypraw.



PLEYTA

III symfonia Henryka Mikołaja Góreckiego to jedna z moich ukochanych płyt. Paradoksalnie nie mogę jej słuchać za często, bo zawarty w niej ładunek emocjonalny jest olbrzymi. Co jakiś czas ją włączam, słucham i czuję, że trudno byłoby mi żyć ze świadomością, że nie mam jej w pobliżu.





WALIZECZKA

Na małe wyjazdy. Przez jakiś czas stolarz z Czarnogóry naprawiał nasze meble. Zaprzyjaźniliśmy się. Przed powrotem do kraju prezentował nam tę walizeczkę.



FILM

Dla mnie Andriej Tarkowski to najważniejszy reżyser XX i XXI w., a jego filmy „Stalker”, „Andriej Rublow” czy „Zwierciadło” zawsze znajdą miejsce w mojej walizce. Zwłaszcza podczas wyjazdu na bezludną wyspę.



LEKTURA

Zazwyczaj staram się zabrać na urlop książkę, która czeka w kolejce. Jak to mówił mój znajomy, „Nie przejmuj się, że ta książka leży, a ty jeszcze jej nie przeczytałeś.

Ona po prostu czeka na swoją kolej”. „Człowiek zbuntowany”

Alberta Camusa to lektura, do której co jakiś czas wracam.



PIÓRO

To przedmiot wyjątkowy. Dzisiaj mało kto pisze piórem, ja też nie używam go codziennie, bo częściej na scenariuszach pracuję ołówkiem. Ale żona dała mi je w prezencie na specjalne okazje, gdzie pióro się przydaje. Są to dedykacje, krótkie notki, czasem listy albo kartki.



SCENARIUSZ

Niestety często się zdarza, że wyjeżdżam na urlop ze scenariuszem, nad którym pracuję, i wtedy muszę umiejętnie podzielić czas na wypoczynek i pracę. Niebawem jadę na tygodniowy wyjazd na Podkarpacie z egzemplarzem sztuki Bronisława Wildsteina „Komedianci, czyli Konrad umiera”.



MISECZKA

Z każdego wyjazdu staram się przywozić jakiś przedmiot. To nie musi być nic okazałego. Czasem wystarczy np. mała miseczka, jak to było po wizycie w San Gimignano, historycznej miejscowości



w Toskanii. Kiedyś to było bardzo bogate miasto, którego mieszkańcy się prześcigali, kto wybuduje wyższą wieżę.

IKONA

Przywieziona z jednej z greckich wysp. Ilekroć na nią patrzę, mam same miłe wspomnienia.



PISMO ŚWIĘTE

Księga, którą bez wątpienia zabrałbym na bezludną wyspę, żeby zacząć ją studiować i analizować. Cały czas czuję niedosyt i głód Pisma Świętego, który wątpię, czy kiedykolwiek będzie zaspokojony.



SKRZYŃKA

Z każdej podróży przywożę złote myśli i pomysły, które chowam do specjalnej skrzynki. Tam muszą jakiś czas odczekać, żeby pewnego dnia je wyciągnąć na światło dzienne i zweryfikować, czy nadają się do realizacji.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

OGNIEM NA WPROST

Piorun kontra Wierba



Prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz znowu dała popis swojej nieznamości historii. „Слава Україні! Slava Ukraini!” – napisała na swym twitterowym koncie, by wyrazić swoją solidarność z narodem ukraińskim w obliczu zagrożenia rosyjską agresją zbrojną. Problem polega na tym, że w ten sposób promuje pozdrowienie ukraińskich banderowskich oddziałów, które w czasie II wojny światowej dopuszczały się licznych ludobójczych zbrodni na Polakach. Choć internet huczy, pani prezydent absolutnie nie zamierza się przyznawać do błędu i z uporem trwa przy swoim. Przekonuje, że okrzyk banderowskich zbrodniarzy – który w czasie wojny był częstym preludium do najbardziej przerażających masakr na Polakach – ucywilizowała ukraińska rewolucja z pierwszych lat ubiegłej dekady. Czyli, jak to mówią, klasyka gatunku. Chciała dobrze, a wyszło jak zwykle.

Jeszcze nie wiadomo, czy Rosjanie przyczaili się tylko, czy też rzeczywiście wycofają się z wojenki. W każdym razie tuż po ogłoszeniu przez Dumę apelu do satrapy Putina o uznanie niepodległości samozwańczych republik Ługańskiej i Donieckiej raz-dwa zrobili prowokację. Najpierw przedstawiciele Republiki Ługańskiej poinformowali, że przeprowadzili ostrzał artyleryjski na ukraińskie pozycje. Miała to być odpowiedź na rzekome zastrzelenie jednego z separatystów przez ukraińskiego żołnierza. Następnie w sieci puścili film, na którym widzimy facetów przebranych w mundury ukraińskiej armii, którzy biją cywila i okradają sklep. Szkoda czasu, by tłumaczyć Roskom, że to przebierańcy obrabiają sklep.

Tam społeczeństwo wierzy w rządową propagandę. Cóż zrobić? Jak mawiała klasyk: „Takiego mamy sąsiada”.

Rosjanie już pracują nad nowszą wersją przenośnego przeciwlotniczego zestawu rakietowego Wierba, zwanego również po angielsku MANPADS – Man-portable air-defence system. Przeznaczony jest do zwalczania wzrokowo obserwowalnych celów powietrznych, w tym samolotów, śmigłowców i innych obiektów emitujących promieniowanie z zakresu podczerwieni. To kolejna ewolucja amerykańskiego Stingera, który dał się Rosjanom we znaki jeszcze podczas interwencji w Afganistanie. Zasięg najnowszej rosyjskiej MANPADS to 6 km, a pułap to od 10 do 3,5 tys. m. Oznacza to, że wierby pod względem zasięgu ustępują najnowszemu, polskiemu zestawowi Piorun. Maksymalny zasięg pioruna nie został ujawniony, ale wiadomo, że przekracza 6,4 km. Jeszcze większa przepaść pomiędzy polskim i rosyjskim pociskiem jest w przypadku pułapu. Pioruny mogą bowiem atakować cele powietrzne od 10 do 4 tys. m – a więc wyżej. Wychodzi więc na to, że w zachwytach nad wierbami było więcej propagandy niż prawdy i że Rosjanie nie są wcale nimi zachwyceni. Polski piorun jest lepszy od rosyjskiej wierby, a więc najprawdopodobniej jest najlepszym rozwiązaniem tej klasy na świecie. Tak więc uczeń przerósł mistrza i chwala mu za to.

Przez sankcje nałożone na Rosję za aneksję Krymu nie ma jak na razie szans, by skutecznie poprawić

wierbę. Rosyjscy inżynierowie są bowiem mistrzami w projektowaniu rakietowych systemów napędowych i układów mechanicznych, ale niewiele mogą zrobić, nie mając dostępu do najnowszej elektroniki. Polskie rozwiązanie pioruna jest bowiem na tyle czule, że jest w stanie wykrywać obiekty powietrzne w odległości 8 km. Nasz MANPADS może więc zostać wystrzelony do dolatującego celu, nawet gdy znajduje się on w odległości 7–8 km. Docenili to nawet Amerykanie. Jak podaje portal Defence24, skarżyska firma Mesko pozytywnie zakończyła negocjacje z Departamentem Obrony USA. Waszyngton idzie na skróty i zamiast poprawiać swoje stingery, woli nabyć MANPADS-y u nas. Zamówienie amerykańskiego rządu obejmuje docelowo kilkaset zestawów rakietowych. Bez wątpienia mamy do czynienia z dużym sukcesem rodzimego przemysłu zbrojeniowego, a nasze przenośne wyrzutnie pojechały już na Litwę i Ukrainę razem z amunicją. W razie wojny życzymy Ukraińcom jak najsukeczniejszego użycia naszej broni przeciwko statkom powietrznym Federacji Rosyjskiej. A Niemiec dalej cały w strachu i nie chce dać Kijowowi nawet potrzebnej amunicji.

Andrzej Rafał Potocki

Konsekwentnie na straży dobra dziecka

W lutym br. Rada Ministrów przyjęła projekt nowelizacji ustawy – Kodeks postępowania cywilnego – dotyczący spraw o odebranie dziecka, procedowanych na podstawie konwencji dotyczącej cywilnych aspektów uprowadzenia dziecka za granicę z dnia 25 października 1980 r., zwanej dalej „konwencją haską”.

Przedmiotem konwencji jest zapewnienie niezwłocznego powrotu dzieciom bezprawnie uprowadzonym lub zatrzymanym. Co do zasady uprowadzenie ocenia się jako bezprawne, jeżeli nastąpiło z naruszeniem prawa do opieki przyznanego na mocy ustawodawstwa państwa, w którym dziecko miało miejsce stałego pobytu bezpośrednio przed uprowadzeniem lub zatrzymaniem. Rodzic, któremu nie przysługuje prawo do opieki, a który posiada tylko prawo do kontaktu z dzieckiem, nie może żądać powrotu dziecka. Uprowadzenie jest uznawane za bezprawne, gdy dziecko, mając stałe miejsce pobytu w jednym kraju, zostaje uprowadzone do innego kraju lub tam zatrzymane przez jednego z rodziców, gdy drugiemu z rodziców przysługuje prawo do opieki i nie wyraził on zgody na jego zabranie. Sąd kraju, do którego uprowadzono dziecko, ma w takiej sytuacji obowiązek zapewnienia niezwłocznego powrotu dziecka do kraju, w którym miało ono miejsce swojego stałego pobytu, chyba że uprowadzający jest w stanie wykazać istnienie jednej z kilku przewidzianych w konwencji okoliczności wyłączających obowiązek jego wydania.

Przesłanką odmowy nakazania powrotu dziecka może być stwierdzenie, że uprowadzenie lub zatrzymanie dziecka nie było bezprawne albo wykazanie, że istnieje poważne ryzyko, że powrót dziecka naraziłby je na szkodę fizyczną lub psychiczną albo w jakikolwiek inny sposób postawiłby je w sytuacji nie do zniesienia. W praktyce do 2018 r. ostatni z przytoczonych przepisów zdawał się w wielu sprawach pomijać, a stan faktyczny nie dość dogłębnie analizowany. Decydowano bowiem o konieczności powrotu dziecka za granicę mimo obiektywnych okoliczności wskazujących na szkodliwość takiego rozwiązania.

Warto przypomnieć, że właśnie niespełna cztery lata temu z inicjatywy rządu Zjednoczonej Prawicy weszły w życie regulacje reformujące procedurę sądową w sprawach o odebranie polskich dzieci i przymusowe przekazanie ich za granicę. Na podstawie przepisów ustawy o wykonywaniu niektórych czynności organu centralnego w sprawach rodzinnych z zakresu obrotu prawnego na podstawie prawa Unii Europejskiej i umów międzynarodowych, która weszła w życie 27 sierpnia 2018 r., sprawy, które uprzednio były procedowane w sądach rejonowych przekazano do kompetencji specjalnie przeszkolonych sędziów w 11 sądach okręgowych. Apelacje mogą być składane do Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Powstała także możliwość wniesienia kasacji przez Prokuratora Generalnego. Praktyka orzecznicza z ostatnich lat udowodniła jednak, że zakres nowych przepisów nie zawsze jest wystarczający, by skutecznie chronić



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

dzieci przed wywozieniem za granicę wbrew ich woli (o ile są dostatecznie dojrzałe, by ją wyrazić) oraz rodzica, z którym pozostają w Polsce.

Wedle nowych regulacji przygotowanych przez wiceministra sprawiedliwości Michała Wójcika, który szczególną uwagę poświęca respektowaniu w wymiarze sprawiedliwości konstytucyjnej zasady ochrony dobra dziecka, złożenie skargi kasacyjnej obligatoryjnie wstrzyma z urzędu wykonanie prawomocnego postanowienia sądu, które nakazuje w określonym terminie zapewnienie powrotu dziecka do państwa miejsca stałego pobytu. W sprawach o odebranie dziecka na podstawie konwencji haskiej na żądanie Prokuratora Generalnego, Rzecznika Praw Dziecka lub Rzecznika

Praw Obywatelskich, zgłoszone do sądu II instancji, wykonanie postanowienia zostanie wstrzymane, jeżeli żądanie zostanie zgłoszone w terminie dwóch tygodni od dnia uprawomocnienia się postanowienia. Wniesienie skargi nadzwyczajnej w sprawie o odebranie dziecka na podstawie konwencji haskiej także będzie wstrzymywało z mocy prawa wykonanie postanowienia do czasu zakończenia postępowania z tej skargi.

REKLAMA

"Wywiad z człowiekiem"
Paweł Kęska
wtorek, godz. 21.45

"Recepta na zdrowie"
Katarzyna Supeł-Zaboklicka
poniedziałek - piątek,
godz. 10.30

 **RADIO
warszawa**
106,2 FM



Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

93/0122/F

Czy kiedykolwiek Tusk załatwił w Brukseli coś dla Polski?

Politycy opozycji żądają, żeby Polska żyrowała kredyt zwany funduszem odbudowy, nawet jeśli Bruksela blokuje dla nas środki. Kto byłby tak głupi, żeby zabezpieczyć swoim majątkiem obcy kredyt, nie mając z tego tytułu żadnych zysków? A jednak znaleźli się w naszym kraju politycy, którzy oczekują, żebyśmy jako Polska właśnie tak postąpili. Nie oszukujemy się. Polityka jest z natury cyniczna, jednak nawet w wypadku polityków są pewne granice. Jedną z nich jest próba unikania jawnego zaprzeczania samemu sobie. Taką granicę w kwestii środków unijnych dla Polski w sposób ostentacyjny przekroczył Donald Tusk. Występując w spocie na tle palet z pieniędzmi, pokazał, że słowa mogą oznaczać totalnie nic. Można powiedzieć na przykład, że Polska ma szansę sięgnąć po duże pieniądze – palety wypełnione banknotami 50 euro – samemu mając na koncie realne działania blokujące przelew środków. Nie ma żadnego problemu w tym, żeby wszystko zrzucić na zły PiS, który blokuje przelew, wiedząc, że pieniądze znajdują się przecież na brukselskim koncie i to Komisja Europejska nie chce ich oddać.



Samuel Pereira

Mówimy oczywiście o wirtualnych pieniądzach, a przynajmniej ich części, zwanej funduszem odbudowy. To właśnie w sprawie tej części politycy opozycji wiosną 2021 r. powiedzieli: „Nie, nie poprzemy rządu w tym głosowaniu, a Lewica, która to robi, zasługuje na potępienie”. Mija pół roku i bez mrugnięcia okiem ci sami politycy mówią: „My chcemy tych pieniędzy, ale przez PiS ich nie ma”. Wcześniej, w październiku zeszłego roku, nie kto inny jak europosłowie PO, PSL, Lewicy i Hołowni zagłosowali w ramach swoich frakcji za rezolucją wzywającą Komisję Europejską do zablokowania Polsce środków unijnych. Miesiąc później te pięć frakcji Parlamentu Europejskiego zwróciło się do Ursuli von der Leyen o powstrzymanie się od zatwierdzania polskiego Krajowego Planu Odbudowy. Napisano w nim wprost, że „Komisja Europejska musi powstrzymać się od zatwierdzenia polskiego Krajowego Planu Odbudowy”. I później ci sami politycy okłamują wyborców, że chcą tych pieniędzy dla Polski? Jak mówi stare ludowe porzekadło: słowa mówią, czyny przekonują.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Wartości, którym Polacy byli wierni

*Z dyrektorką Festiwalu Kultury Narodowej „Pamięć i Tożsamość”
Anetę Woźniak rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

22 lutego rozpocznie się II edycja wyjątkowego festiwalu. Czego możemy się spodziewać?

Aneta Woźniak: Najlepszych produkcji i koprodukcji TVP mówiących o naszej historii, kulturze, wartościach, którym Polacy byli wierni, zwłaszcza w chwilach próby. Ponad 170 tytułów (i przeszło 540 godzin audycji o tematyce tożsamościowej) zrealizowanych i emitowanych w 2021 r., ale też – to niespodzianka – trzech dokumentalnych premier.

W dwóch przypadkach ramy czasowe zostały poszerzone. Kategoria „Polak mały” to festiwalowa nowość adresowana do dzieci (znajdziemy tu realizacje z okresu 2018–2021). Kategoria „Dziedzictwo bł. prymasa Wyszyńskiego” obejmuje lata 2020 i 2021.

W ramach festiwalu można zobaczyć bardzo różne gatunkowo produkcje?

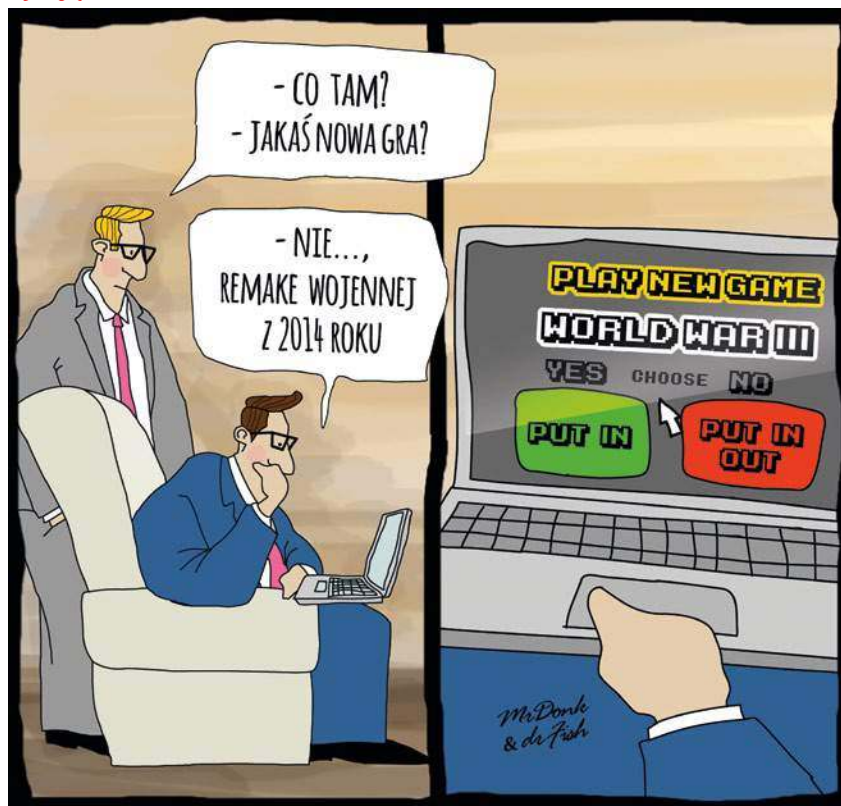
Całą ich gamę – filmy i seriale fabularne, projekty dokumentalne, spektakle, koncerty oraz widowiska. Są też rekonstrukcje. Widzowie będą mogli zagłosować na najciekawszą wg nich produkcję. Dostęp do całej oferty jest bezpłatny: zarówno na stronie fkn.tvp.pl, jak i w ramach pokazów w kinie Wisła 25–27 lutego. Dodatkowo, w studiu festiwalowym będą przedstawiane rozmowy, komentarze oraz wywiady z twórcami.

O jakie doświadczenia bogatszy będzie tegoroczny festiwal?

W czasie pierwszej edycji stronę festiwalu odwiedziło ponad ćwierć miliona widzów z ponad 70 krajów świata. Było to możliwe dzięki powszechnej dostępności do oferty online. O tym, jak liczny będzie odbiór w tym roku, przekonamy się po zakończeniu festiwalu. Podczas uroczystej gali – 1 marca, w Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych – poznamy też zdobywców Złotych i Platynowych Ryngrafów.

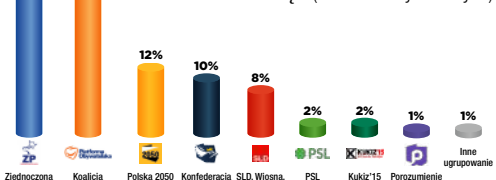
(Transmisja gali: godz. 21 TVP1, TVP Historia oraz na stronie festiwalu)



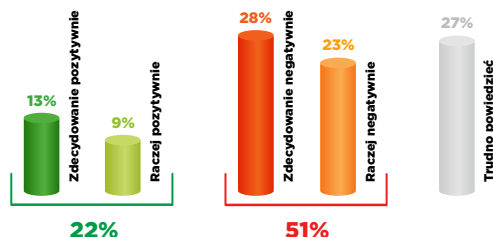


pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

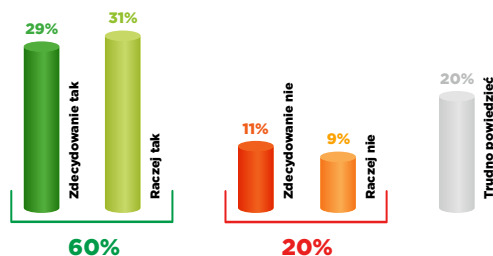
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



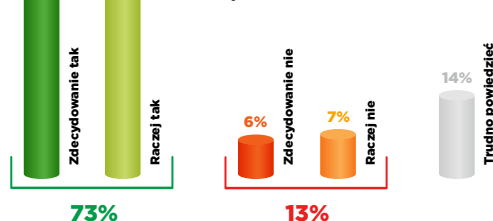
Jak ocenia Pani/Pan przerwanie przez stację telewizyjną transmisji konferencji prasowej, ponieważ dziennikarze nie zgadzają się z treściami prezentowanymi podczas konferencji?



Czy według Pani/Pana przerwanie przez stację telewizyjną transmisji konferencji prasowej jest formą cenzury?



Czy według Pani/Pana rodzice powinni mieć wpływ w materiały do zajęć proponowanych szkołom publicznym przez organizacje pozarządowe oraz prawo decydowania, czy dane zajęcia mogą być przeprowadzone w szkole?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1080. Zakres czasowy badania 11-14 lutego 2022 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORIZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYŚŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA LĄBECKA, ANNA.LĄBECKA@FRATRIA.PL
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECIOPRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZECZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI,
MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI,
JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ
POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA
RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK,
BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOŹNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DĄBROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZECZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTO & ARCHIMIM ZAMU KROLEWSKIEGO W WARSZAWIE.
ASTERISK SADOWSKI, SHUTTERSTOCK/FREDERIC LEGRAND, I WALL, MAKSYM SAFANUK, FASTALWIND

To Zachód zdecyduje, czy szantażysta będzie skarcony, czy dostanie okup

W co gra Putin?

Roman Polko: Przede wszystkim w odbudowę swojej pozycji na użytek wewnętrzny. Marzy mu się imperialna Rosja, która dyktuje warunki innym. I trzeba powiedzieć, że po części to się spełniło. Dawno nie było takiej pielgrzymki przywódców państw, NATO, UE do Moskwy po to, by się z nim spotkać i zasiąść przy stole, choćby ten stół miał długość sześciu metrów. Te obrazki świetnie się sprzedają w samej Rosji. Pokazują mocarza, który do niedawna tracił popularność i nawet był nazywany „działdem z bunkra” ze względu na to, że w dobie covidu mocno ograniczył jakiekolwiek kontakty zewnętrzne i wewnętrzne.

Czyli cele zostały już osiągnięte? Świat się przestraszył, Putin stał się kluczowym elementem rozmów o przyszłości Ukrainy. Upokarza kolejnych zachodnich przywódców, drwi z nich. O Krym już nikt nie będzie go pytał, a może i Donieck z Ługańskiem znajdą się pod pełną kontrolą Rosji, ze stacjonującym tam rosyjskim wojskiem, jak na zabranych Gruzji terenach przed ponad dekadą.

To niestety słuszne wnioski. Putin jest świetnym graczem. Problem polega na tym, że świat zachodni wierzy w sukces prowadzonych z nim dyplomatycznych rozmów, w których obowiązują jakieś zasady. A przecież on łamie wszelkie zasady. Memorandum budapeszteńskie zostało właściwie zapomniane. Na jego mocy Ukraina zrezygnowała z broni nuklearnej w zamian za gwarancję integralności terytorialnej ze strony Rosji, Wielkiej Brytanii i USA. A teraz wszyscy

O błędach Zachodu w traktowaniu Rosji, zdolnościach obronnych naszego wojska i rosyjskiej V kolumnie w Polsce z gen. **Romanem Polką**, byłym dowódcą jednostki GROM, rozmawia Marek Pyza

przyjęli do wiadomości, że Krym jest rosyjski. Gdyby tylko Putin odpuścił teraz Ukrainę, pewnie z przyjemnością by ten stan zaakceptowali na zawsze. Wcześniej była Gruzja, kolejny bezkarny krok właśnie na Krymie, więc Putin poszedł dalej, licząc na to, że jeśli nawet pojawią się jakieś głosy protestu, to tylko w formie straszenia sankcjami. A te, dzięki choćby postawie uzależnionych gazowo od Rosji Niemiec, uda się zmieknąć.

A może Rosja od początku blefuje? Według gen. Skrzypczaka siły, jakie Putin zgromadził przy granicach z Ukrainą, nie wystarczają, by przeprowadzić skuteczną ofensywę i wygrać wojnę, a na pewno musiałby się on liczyć z poważnymi stratami.

Wiem, jak liczy się siła ognia w podręcznikach operacyjnych, jaka przewaga jest potrzebna do zwycięstwa – najlepiej gdyby była pięciokrotna w sile uderzeniowej. Ale wojna hybrydowa wymyka się z gier komputerowych. One są tworzone na

użytek tego, co było, a nie współczesnych działań o charakterze dużo bardziej złożonym. Z dużym dystansem podchodzę więc do takich wyliczeń, że brakuje już tylko 30 tys. żołnierzy i Putin będzie mógł rozpocząć ofensywę. Myślę, że raczej ma administracja amerykańska i jej służby wywiadowcze, które oceniają, że Putin w każdej chwili może rozpocząć ofensywę. Pytanie, jakie strategiczne cele sobie założył. Ofensywa w cyberprzestrzeni, walka informacyjna i psychologiczna są realizowane. Cele, które mogłyby realizować wojska rosyjskie zgromadzone na terytorium Białorusi czy w rejonie Woroneża, trzeba widzieć z szerszej perspektywy.

Uderzenia punktowe?

Albo wręcz pozorne, żeby spowodować koncentrację ukraińskich wojsk na jakimś kierunku, a na innym wykonać uderzenie właściwe. Nie możemy już myśleć o klasycznej wojnie, którą zaczyna lotnictwo, wojska raketowe i artyleria, a później zagony pancerne wjeżdżają na terytorium wroga. Celem może być związanie sił ukraińskich w jednym miejscu, by w innym przeprowadzić akty dywersji i doprowadzić np. do przewrotu w kraju.

Lecz z perspektywy Rosji to nadal ryzykowna operacja.

Pewnie jej ofensywa prowadzona byłaby z jakimś sukcesem, lecz okupowanie Ukrainy przy wysokim morale społeczeństwa i chęci obrony własnego terytorium – inaczej niż w przypadku poddanego Krymu – okupione byłoby ogromnymi stratami, zwłaszcza że Kijów przygotowuje się do wojny partyzanckiej, działań nieregularnych. Byłoby to więc



pyrrusowe zwycięstwo. Ale pamiętajmy o rosyjskiej doktrynie wojskowej, która mówi, że jeżeli jej wojska będą przegrywać czy będą zmuszone do wycofywania się, to zakłada się użycie broni jądrowej. I to już jest prawdziwe niebezpieczeństwo, którego najbardziej boi się świat.

Odrzucmy najczarniejszy scenariusz. Jak najprawdopodobniej może wyglądać rosyjska inwazja?

Ukraina ma wyjątkowo niekorzystne położenie: z kierunku północnego zagrożają jej siły „ćwiczące” na Białorusi, z której może zostać wyprowadzone uderzenie na Kijów (na rzece Prypeć właśnie zbudowano most pontonowy),

w rejonie Ługańska i Doniecka uaktywnili się separatyści (obecni także w Naddniestrzu), w rejonie Krymu trwa mobilizacja rosyjskich sił, a na morzu Azowskim i Czarnym prowadzone są manewry rosyjskiej floty. Oprócz tego mamy także doniesienia na temat specnazu/najemników szykujących prowokacje i operacje dywersyjne wewnątrz Ukrainy. Rosyjska inwazja zapewne rozpocznie się atakiem w cyberprzestrzeni (sparaliżowanie komunikacji państwowej) oraz akcją dywersyjną, która zostanie wykorzystana jako pre-

Może Putin zrobi krok do tyłu, ale na pewno ma kilka wariantów zapasowych. Już stał się liderem, do którego wszyscy zwracają się z prośbą, by nie atakował. Od postawy Zachodu zależy, czy ten szantażysta zostanie skarcony, czy będzie mu przekazany okup

tekst do przeprowadzenia zmasowanego ataku: uderzeń raketowych na systemy dowodzenia i łączności, składy uzbrojenia i amunicji, zgromadzenia wojsk. Należy się liczyć nie tylko z działaniami

militarnymi, ale także z hybrydowymi mającymi na celu wprowadzenie wewnętrznego chaosu na Ukrainie (sparaliżowanie systemu bankowego, kontroli ruchu powietrznego) i wywołanie negatywnych nastrojów społeczeństwa (fake newsy, podgrzewanie wewnętrznych sporów). Rosja utraciła inicjatywę, gdy służby amerykańskie zdobyły informacje na temat planowanej prowokacji i agresji, ale to nie znaczy, że zrezygnowała z ataku. Tzw. wycofanie oraz rozmowy dyplomatyczne to w istocie manewr, przegrupowanie sił i szukanie możliwości odzyskania utraconej inicjatywy, tak aby uzyskać efekt zaskoczenia. Ta operacja będzie miała znacznie szerszy wymiar niż sama Ukraina. Doświadczaliśmy na polsko-białoruskiej granicy działań hybrydowych, jesteśmy intensywnie atakowani w cyberprzestrzeni – należy liczyć się z intensyfikacją tych ataków, a nawet z aktami dywersji na naszym terenie. Celem będzie neutralizacja krajów, które mogłyby udzielać Ukrainie jakiegokolwiek wsparcia w tym konflikcie.

Jak będą walczyli Ukraińcy? Jak długo mogą się bronić?

Pełzająca wojna – nie-wojna już od lat niszczy Ukrainę, która walczy o gospodarczą i militarną odbudowę swojej ojczyzny. Ostatnie osiem lat pokazało, że ten kryzys nie tylko nie osłabił Ukraińców, ale wzmocnił patriotyczne nastroje – morale i wolę walki. Gdy dodać do tego zmianę postawy Zachodu i realizowaną intensywnie pomoc militarną, to jestem przekonany, że Ukraina przetrwa nawet pełnoskalową rosyjską inwazję i wyjdzie z niej wzmocniona. Pod warunkiem że nie powtórzy się sytuacja z 2014 r., gdy po aneksji Krymu niektóre państwa wzorem Niemiec, mimo formalnego sprzeciwu, przeszły nad tym do porządku dziennego i na nowo układały się z Putinem.

Czy to będzie krótki konflikt, czy np. wielomiesięczne starcia?

Pewnie Putin liczy na błyskawiczny sukces – blitzkrieg, ale uważam że przy tej mobilizacji ukraińskiego społeczeństwa jest on niemożliwy. Raczej będzie to wojna na wyniszczenie, nieopłacalna dla żadnej ze stron – ale dla kogoś takiego jak Putin to nie jest żadna przeszkoda.

Zachód okazał solidarność z Ukrainą, USA uruchomiły spore środki, znacząco wspomogły Kijów sprzętem i przetrzuciły na wschodnią flankę NATO tysiące żołnierzy. Mocno zaangażowały się Wielka Brytania, Polska i inne kraje. Czy ten scenariusz mógł być zaskoczeniem na Kremlu?

Myślę, że tak. Warto wyrazić ogromny szacunek dla Amerykanów, Brytyjczyków, polskich władz i innych krajów za tę postawę. Ale ten obraz nie jest tak różowy. Mówi się, że NATO wspiera Ukrainę, lecz na początku tej jedności w Sojuszu nie było. To USA podjęły decyzję o przetrzuceniu wojsk na wschodnią rubież Paktu. To Brytyjczycy i państwa bałtyckie, nie

Sytuacja geopolityczna w ostatnich latach zmieniła się diametralnie na naszą niekorzyść. Te niewykorzystane momenty, gdy można było Gruzję i Ukrainę wprowadzić do NATO i w ten sposób zagwarantować im bezpieczeństwo, odeszły już w niebyt

oglądając się na innych, wysłali Stingery czy Javeliny, czyli broń przeciwlotniczą i przeciwpancerną. Trochę zabrakło mi głosu szefa NATO, który pokazałby, że od początku działamy jako sojusz. A zabrakło go dlatego, że nie było solidarności ze strony Niemiec, Francji czy Węgier. W końcu udało się Bidenowi scementować wszystkie państwa. Ale gdyby od początku ten głos był tak mocny, to napięcie nie trwałoby tak długo i udałoby się uniknąć tych zabiegów dyplomatycznych, które tylko budowały ego Putina.

Czy Putin może się teraz tak po prostu cofnąć? Zabrać te 150 tys. żołnierzy, zawrócić ich do baz i czytać w zachodnich mediach, że skapitulował?

On zbudował sobie taką pozycję, że niespecjalnie liczy się ani z rosyjską opinią publiczną, ani z innymi uwarunkowaniami. Nie podporządkowuje się też zdroworozsądkowym kalkulacjom kosztów, ryzyk etc. Może więc podjąć decyzję w każdą stronę. Odwrót pewnie nie byłby dla niego łatwy. Ale zasadnicze pytanie brzmi – i tu widzę największe zagrożenie – co damy mu w zamian?

Może celem nie jest cała Ukraina, lecz tylko jej wschodnia część, już prawie od niej oderwana? W chwili gdy rozmawiamy, mamy prowokacje, jakieś działania zaczepne w rejonie Doniecka i Ługańska, Ławerow wspomina o rzekomym „ludobójstwie” w tym regionie.

To też możliwy scenariusz. Tak jak wspomniał pan na wstępie – Krym już został właściwie zapomniany, dziś dla Zachodu najważniejsze jest zażegnanie obecnego kryzysu. Może Putin zrobi krok do tyłu, ale na pewno ma kilka wariantów zapasowych. Już stał się liderem, do którego wszyscy zwracają się z prośbą, by nie atakował. Od postawy Zachodu zależy, czy ten szantażysta zostanie skarcony, czy będzie mu przekazany okup w postaci np. szybkiego uruchomienia Nord Stream 2 lub odwrócenia głowy od tego, co planuje w Donbasie.

Będziemy płacić za błędy z ostatniej dekady?

Sytuacja geopolityczna w ostatnich latach zmieniła się diametralnie na naszą niekorzyść. Te niewykorzystane momenty, gdy można było Gruzję i Ukrainę wprowadzić do NATO i w ten sposób zagwarantować im bezpieczeństwo, odeszły już w niebyt. Armia rosyjska nadal buduje swoje zdolności do prowadzenia agresywnych operacji, koncepcje corocznych ćwiczeń „Zapad” zakładają nawet użycie broni jądrowej na kierunku zachodnim, Rosja zyskała terytorium do prowadzenia nowych operacji, bo Łukaszenka w istocie sprzedał białoruską suwerenność. Ukraina jest osłabiana i nękana na różne sposoby wbrew porozumieniom budapeszteńskim. Jest atakowana militarnie,

gospodarczo, w dodatku destabilizowana od środka, bo działają tam różne grupy dywersyjne. Jeżeli teraz Zachód nie wykaże odpowiedniej solidarności, to Ukraina nie wytrzyma długo w tym korytarzu oczekiwania. Jestem w stanie wyobrazić sobie zmianę władzy w Kijowie, gdy społeczeństwo będzie chciało pokoju, nawet za cenę znalezienia się pod większym wpływem Rosji. Nikt nie chce żyć przez wiele lat w zagrożeniu ponownego pojawienia się na granicy rosyjskich wojsk.

Trzeba więc zadać pytanie o jedno z najważniejszych państw NATO, które zawodził krok po kroku. Podługofalowej polityce współpracy z Moskwą Niemcy rozmawiały z Rosją ponad głowami Ukraińców, później odmówiły pomocy wojskowej Kijowowi. Czy zmieniają swoją politykę? Dziś trudno stwierdzić, czy są bardziej kluczowym krajem „wolnego świata Zachodu”, czy „koniem trojańskim Moskwy”.

W 1996 r. realizowaliśmy polsko-brytyjsko-ukraińskie ćwiczenie „Kozacki Step”. Uczestniczyłem w nich z ramienia 6. Brygady. Mocno wtedy dążyliśmy do NATO, Ukraińcy myśleli o członkostwie w Pakcie. Mamy rok 2022, gdy Polska jest w Sojuszu od wielu lat, ma w nim mocną pozycję, a Ukraina wciąż jest w poczekalni. Dlaczego? Bo wielokrotnie podejmowane przez Polskę próby, by pomóc Kijowowi czy Tbilisi w zapewnieniu realnego bezpieczeństwa, stworzyć mapę członkostwa, były blokowane przez Niemcy i Francję. W tych państwach przedkładano interesy ekonomiczne, a nawet prywatne – np. kanclerza Schrödera – nad solidarność w ramach UE i NATO. Teraz też niepokojące jest, że to prezydent USA zapowiada, iż w przypadku ataku Rosji o Nord Stream 2 można będzie zapomnieć, a kanclerz Niemiec nie zabiera nawet w tej sprawie głosu. Dlatego uzasadniony niepokój budzi to, o czym w Moskwie Olaf Scholz wiele godzin rozmawiał w kulisach. Czy nie padła z jego strony propozycja: odpuście, a my zaatakujemy Ukrainę drogą do NATO na najbliższe 100 lat? Rosja działa nie tylko militarnie, ale i gospodarczo, wykorzystując surowce do prowadzenia polityki. Na kierunku niemieckim odpowiedzią powinna być strategia uniezależnienia się od dostaw gazu z Rosji.

W tym obszarze wygląda to fatalnie. Ursula von der Leyen twierdzi, że Unia jest przygotowana na scenariusz zakręcenia kurka z gazem, ale to tylko słowa, niemające pokrycia w rzeczywistości. A Rosja tylko czeka na agresywną ofensywę energetyczną. Poligon doświadczalny na tym polu zrobiła sobie w Mołdawii.

Dotknął pan ważnej kwestii. Warto podkreślić, że wschodnia rubież NATO ciągnie się de facto od państw bałtyckich aż po Mołdawię, która też jest destabilizowana przez Rosję. Jeden ze scenariuszy, który zakładałem, a który mógł doprowadzić do całkowi-

Nasza armia nie jest tak liczebna jak w PRL, gdy z rezerwami sięgała miliona. Tyle że dziś nie jest już armią malowaną. Mamy olbrzymie doświadczenia z wojen – w Jugosławii, Kosowie, Iraku czy Afganistanie. Żołnierze doskonale sprawdzają się w trudnych, kryzysowych sytuacjach. Kapitał ludzki jest niejednokrotnie decydujący. Wyposażenie zawsze można kupić

tego okrażenia Ukrainy, to połączenie wojsk rosyjskich poprzez separatystów z Donbasu z tymi w Mołdawii i stworzenie pośrodku drogi lądowej odcinającej Morze Azowskie i Morze Czarne. Skojarzenia z rokiem 1939 i żądaniami Hitlera są naturalne. Putin zapewne marzy o takim korytarzu, odcinającym Ukrainę od portów w Odessie i Mariupolu.

Wracając do Niemiec, zapytam wprost: czy możemy ufać Berlinowi? Spróbujmy spojrzeć pozytywnie. Zmieniła się nieco narracja w samych

Niemczech. To, co jest przełomem i pewnie przemówiło w dużym stopniu do Putina, to fakt, że Niemcy nie są już takimi adwokatami Rosji jak w 2014 r. Nie można lekceważyć krytycznych głosów w niemieckiej prasie, która w końcu zaczęła dostrzegać, że Putin jest niebezpieczny. W Polsce byliśmy zażenowani ofertą wysłania hełmów na Ukrainę, ale i kluczowe niemieckie dzienniki zwracały uwagę, że w kontekście skali rosyjskiego zagrożenia niemiecka pomoc jest śmieszna. Opinia publiczna zmienia więc swoje podejście. A to ona decyduje, kto będzie rządził Niemcami.

Pomówmy o naszym bezpieczeństwie. Ma istnieć jakiś tajny „raport” o stanie polskiej armii, o którym donosiło Radio Zet. Ma on rzekomo wskazywać, że nie jesteśmy gotowi do przeprowadzenia jakiegokolwiek operacji obronnej. Jak pan ocenia tego newsa, wypuszczonego kilkadziesiąt godzin przed możliwą agresją Rosji na Ukrainę?

Dotyka pan kluczowego tematu. W sytuacjach kryzysowych naród powinien się scalać, jak robią to Ukraińcy, którzy przecież są podzieleni podobnie jak my – albo nawet bardziej. Niesłuchanie ważne jest budowanie morale własnej armii, a publikowanie wątpliwej jakości niepodpisanych „raportów”, autorstwa ludzi zza biurka nieznających rzeczywistości wojskowej, patrzących tylko na statystyki,

jest co najmniej szkodliwe. Przypomina mi się czas, gdy dowodziłem jednostką i mieliśmy kontrolę z NIK. Zanim się skończyła, poszedłem na urlop i powiedziałem mojemu szefowi sztabu, że tego dłużej nie zdzierzę. Pojawiły się wtedy doniesienia, że w mojej jednostce żołnierz wymienia majtki statystycznie raz na dwa i pół miesiąca, a przecież powinien co tydzień. A na dodatek wojsko się nie kąpie – takie wnioski wyciągnięto z tego, że brakowało grafiku kąpeli w jednostce. Problem wziął się stąd, że pozwoliłem żołnierzom kąpać się wtedy,

kiedy chcą, i używać cywilnej bielizny oraz prac ją własnoręcznie. A zatem służbowe „gacie bojowe skoczka” były oddawane do pralni rzadziej, niż wynikało z przepisów. Lecz urzędnik patrzył na procedurę, a nie na realia.

Dziś ma chodzić o poważniejsze kwestie – zdolności bojowe.

Ale problem jest ten sam. W NIK brakuje ludzi, którzy przeprowadzaliby rzetelne kontrole oparte na rzeczywistych problemach pojawiających się w armii. Nie można też abstrahować od procesów, które zachodzą w wojsku. Popatrzmy, jaki był stan naszej armii w 2015 r., a jaki jest teraz. Nie mieliśmy Wojsk Obrony Terytorialnej, zamiast budowania nowych jednostek likwidowano istniejące, armia była zwijana.

Ale przecież przed 2015 r. też słyszeliśmy o planach modernizacyjnych.

Tak, o „przeskoku generacyjnym”. To były słowa na papierze, wyłącznie obietnice. Po katastrofie smoleńskiej minister Klich sprowadził najlepszych pilotów do 36. specpułku, gwarantował, że jednostka zostanie, ale po roku jego obowiązki przejął Tomasz Siemoniak i pułk zlikwidował, nie patrząc na to, co zrobiono, nie konsultując tego z żołnierzami. Nie dopuszczano do głosu dowódców, nie kierowano się rzeczywistymi potrzebami armii. Wojska specjalne, w których funkcjonowałem, długo istniały bez własnego dowództwa, przez co blokowany był rozwój tych jednostek. Podobnie specjalsi nie mogli się doczekać śmigłowców. Teraz już mają pierwsze Black Hawki. W tym roku będą pierwsze baterie Patriot w ramach programu obrony powietrznej, co jest kluczowe z punktu widzenia choćby tego zagrożenia, jakie wygenerował Putin na Ukrainie. Nowoczesne czołgi, strategiczne partnerstwo z USA, dowództwo amerykańskiego V Korpusu w Polsce, wspólne manewry, WOT wykazujące się nadzwyczajną aktywnością w zagrożeniach niekonwencjonalnych, niedawno powstałe Wojska Obrony Cyberprzeciwności. Można tak długo wymieniać.

A co z deficytami?

Oczywiście są. Ale jak powiedział marszałek Piłsudski, innej armii nie mamy,

a z tej, którą mamy, musimy być dumni. Naturalne jest, że przed nami mnóstwo pracy nad jej wzmacnianiem. Ale publikowanie tego typu raportów w takim czasie i po takich zmianach, jakie zaszły w ostatnich latach, trzeba interpretować w kategoriach zleceń politycznych. Nie chcę iść za daleko i mówić o uruchomieniu jakiejś V kolumny.

Ale takie wnioski są naturalne. Wiele było w niedawnym czasie tego typu publikacji na polskojęzycznych portalach.

Polska nie jest już członkiem NATO drugiej kategorii, co niektórym trudno było przełknąć. Na tę markę w Sojuszu pracowaliśmy bardzo długo, przede wszystkim poprzez współdziałanie w misjach

Zdecydowanie tak. Skoro Rosja atakuje wirtualnie ponad 100 państw, ingeruje w wybory w Stanach Zjednoczonych, w Europie, to trudno uwierzyć, że w Polsce jest nieaktywna i nie wzmacnia wewnętrznych sporów, aby skutecznie realizować własną propagandę.

Pan jest optymistą i mówił wielokrotnie, że nawet sami możemy się bronić, bez wsparcia NATO. Lecz nawet zachodnie think tanki wskazują, że ukończenie naszych dywizji wynosi 2/3 (czyli po 10, a nie 15 tys. żołnierzy), 75 proc. sprzętu jest zaś przestarzałe. To szacunki m.in. szwedzkiej Agencji Badań Obronnych. Słabo mamy wyglądać zwłaszcza w powietrzu i na morzu. Jak jest w rzeczywistości z naszym potencjałem?

Ależ ja widzę te wszystkie deficyty. Dobrze by było, by w ten sam krytyczny sposób patrzyli np. Niemcy, którzy mocno zaniedbali Bundeswehrę. Artykuł 3. traktatu NATO mówi, że każdy

ma budować własne zdolności obronne, byśmy później byli zdolni do kolektywnej obrony. Dla nas równie istotny jak rozwój naszej armii, jest rozwój tej np. w Niemczech, bo myślimy o wspólnej obronie na wypadek agresji z zewnątrz. To, co jest kluczowe, to czynnik morale, świadomości narodowej i obrony własnego terytorium. Nigdy nie mówiłem, że potencjalny agresor nie mógłby wtargnąć na terytorium Polski. Ale utrzymanie go byłoby okupione tak potężnymi stratami, że w żaden sposób by się to nie opłacało. A to m.in. dzięki temu, że mamy mocno rozwiniętą obronę powszechną, a zapowiadana ustawa będzie ją poszerzała.

Ale przecież WOT i rezerwiści nie zapewnią wystarczającej ochrony.

Oczywiście, to tylko pewien element. Proszę zwrócić uwagę, że nasza armia nie jest tak liczebna jak w PRL, gdy z rezerwami sięgała miliona. Tyle że dziś nie jest już armią malowaną. Mamy olbrzymie doświadczenia z wojen – w Jugosławii, Kosowie, Iraku czy Afganistanie. Żołnierze wiedzą, co im jest potrzebne, potrafią walczyć i doskonale sprawdzają się w trudnych, kryzysowych sytuacjach. Kapitał ludzki jest niejednokrotnie decydujący. Wyposażenie zawsze można kupić – i polskie władze to robią – ale trzeba mieć komu je dać i odpowiednio wykorzystać. Nasi żołnierze umieją z tego sprzętu korzystać.

Pospekulujmy. Załóżmy, że na Kremlu z jakiegoś powodu puszczają nerwy i Putin decyduje się na inwazję na Polskę, co rosyjska armia regularnie ćwiczy. NATO funkcjonuje, art. 5. Traktatu Północnoatlantyckiego nie jest martwy, lecz sojusznicy nie są w stanie zmobilizować się w krótkim czasie do pomocy nam. Jak długo jesteśmy w stanie się bronić? I jak ta obrona wygląda?

To znów myślenie kategoriami minionych wojen. Putin wygrywa wojnę hybrydową, nawet w tej chwili w stosunku do Ukrainy, gdy otwarta inwazja nie jest

oczywista. Zamiast tego mamy „zielone ludziki”, ograniczone wtargnięcia, akcje dywersyjne, ataki w cyberprze-strzeni. Pozostawia to furtkę niektórym krajom NATO, które mogą powiedzieć: my byśmy pomogli na podstawie art. 5., ale przecież to nie jest jeszcze otwarta wojna. Gdyby jednak doszło do konwencjonalnej agresji, strona rosyjska poniosłaby ogromne straty, bo wyposażenie, jakie mamy, by do tego wystarczyło. Wówczas pierwszym wrogiem dla władcy Kremla stałoby się społeczeństwo rosyjskie. Pamiętajmy, że straty w Afganistanie doprowadziły do upadku Związku Sowieckiego. Wtargnięcia na nasze terytorium być może byłoby możliwe, ale utrzymanie go – już nie. A przede wszystkim w takiej ekstremalnej sytuacji, przy przekroczeniu wszystkich czerwonych barier, natowska kontrofensywa gospodarcza, a zwłaszcza militarna, miałaby miejsce.

Nie ma pan tu wątpliwości?

Amerykanie to pokazują. Przecież gdyby teraz ktoś zaatakował Polskę, to uderzyłby również np. na amerykańską 82. Dywizję Powietrznodesantową, co spowodowałoby uruchomienie całego potencjału amerykańskiego, który stanąłby w obronie nie tylko Polski, ale i własnego wojska. Amerykanie nigdy nie zostawiają swoich żołnierzy w potrzebie na polu walki.

Jak dziś rysuje się pozycja Polski w NATO? Mielśmy rzekomo być marginalizowani, Amerykanie mieli przenosić swoje wojska do Rumunii itd. A tymczasem nie dość, że przystali nad Wisłę kolejne kilka tysięcy żołnierzy, nie tylko na bieżąco konsultują wszelkie decyzje w sprawie Ukrainy z polskimi władzami, to jeszcze amerykańska prasa zmienia ton i pojawiają się takie publikacje jak w „Wall Street Journal”, gdzie przypomina się prorocze słowa o Rosji śp. Lecha Kaczyńskiego z wiecu w Tbilisi i apeluje do amerykańskich elit o wstrzymanie się w polskie diagnozy o Rosji.

Lech Kaczyński patrzył strategicznie. Niewiele jest liderów potrafiących widzieć więcej, w dalszej perspektywie. Jego słowa z 2008 r. były niestety

prorocze. Ale tego ostrzeżenia nie przyjęto poważnie. Niektórzy stukali się w czoło, mówiąc, że przecież tak daleko Rosja się nie posunie. Okazało się, że nie przesadzał. Co się zmieniło od tamtego czasu? Polska nie jest już członkiem NATO drugiej kategorii, co niektórym trudno było przełknąć. Na tę markę w Sojuszu pracowaliśmy bardzo długo, przede wszystkim poprzez współdziałanie w misjach. Od Kosowa, gdzie miałem zaszczyt dowodzić 18. Batalionem. Potem był Irak. Prezydent Francji mówił wtedy, że „Polska straciła okazję, żeby siedzieć cicho”, a my ramię w ramię z Ame-

Gdyby teraz ktoś zaatakował Polskę, to uderzyłby również np. na amerykańską 82. Dywizję Powietrznodesantową, co spowodowałoby uruchomienie całego potencjału amerykańskiego, który stanąłby w obronie nie tylko Polski, ale i własnego wojska. Amerykanie nigdy nie zostawiają swoich żołnierzy w potrzebie

rykanami zdobywaliśmy platformę w Umm Kasr, realizowaliśmy kolejne misje, łapiąc terrorystów z talii kart. Później mieliśmy misję w Afganistanie. Nie uchylaliśmy się od odpowiedzialności, a nasi żołnierze zbudowali sobie taką markę, że sojusznicy chcą z nami współdziałać.

Polska czołowym państwem NATO?

Ależ tak! Często jesteśmy podawani jako pozytywny przykład np. przez analityków niemieckich, którzy domagają się większych nakładów na obronność i wzmocnienie Bundeswehry. Nie traci na aktualności hasło: chcesz pokoju, szykuj się do wojny.

Jaka nauka płynie dla nas na kolejne lata? Jak powinniśmy myśleć o naszym bezpieczeństwie? Czy jest w ogóle przestrzeń na dyskusję np. o „armii nowego wzoru” – niewielkiej, lecz wyspecjalizowanej? Sytuacja sprzed kilku miesięcy na granicy z Białorusią pokazuje, że potrzebujemy licznego wojska, które może stanąć na granicy i jej bronić. Dziś już wiemy, że nie tylko przed sterowanymi przez wschodnich dyktatorów migrantami, ale też przed wojskiem coraz bardziej agresywnego sąsiada.

Dobrze skupić się na ugruntowanej wiedzy analityków z różnych regionów świata i budować swoje zdolności obronne w realnych warunkach, a nie w wizjach science fiction z przyszłości, opartych na populizmie. Kluczowe jest, by oprzeć się na doświadczonych dowódcach i żołnierzach realizujących misje międzynarodowe i na tej bazie budować armię spójną z sojusznikami, zwłaszcza z USA. To, że nasze wojsko dokonało takiego skoku cywilizacyjnego, generacyjnego, zawdzięczamy misjom okupionym żołnierską krwią. Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś zza biurka nagle to wszystko zmiótł i zaordynował rewolucję.

Czyli ewolucja. Ale może jednak w tym kierunku – mniej licznego, wysoce profesjonalnego wojska?

Brałem udział w ćwiczeniach w USA, w czasie których budowaliśmy własne armie – z budżetami itd. – i co pewien czas wprowadzano nam sytuacje kryzysowe. Uczyło nas to jednego: modernizacja armii musi przebiegać w sposób ewolucyjny. W każdej chwili może się coś wydarzyć. Kiedy jesteś w połowie rewolucji, to w trudnej sytuacji tracisz zdolności obronne. Gdybyśmy więc teraz zrobili rewolucję w wojsku według założeń „armii nowego wzoru”, zapewne spowodowałoby to utratę zdolności obronnych na jakiś czas. A to, znów spójrzmy na Wschód, oznaczałoby zagrożenie dla suwerenności Rzeczypospolitej.

Niemiecki zjazd z autostrady



JAN ROKITA

Tę psychologiczną rozgrywkę szef rosyjskiej dyplomacji nazwał „handlem powietrzem”. Ma rację, gdyż towar w owej negocjowanej właśnie transakcji Moskwy z Zachodem jest wyjątkowo mglistej natury

„Off-ramp” to jak wiadomo po angielsku zjazd z autostrady, a także tytuł starej płyty Pata Metheny’ego ze świetnym utworem „Are you going with me?”. Ale nie tylko. To bowiem również istotny termin w międzynarodowym slangu używanym przez dyplomatów. „Off-ramp” oznacza w nim otworzenie przeciwnikowi bocznej ścieżki, „zjazdu z autostrady”, na której zapędził się ze zbyt dużą prędkością, zbyt daleko i zbyt niebezpiecznie.

PSYCHOLOGIA I DYPLMACJA

Europejscy politycy, w większości mocno niezadowoleni z ostrego kryzysu politycznego na Wschodzie, zaabsorbowani są w tych dniach poszukiwaniem takiego wygodnego „off-rampu” dla prezydenta Rosji. Władimir Putin, dyslokując zmasowane oddziały wojskowe wokół Ukrainy z jednej strony, a z drugiej stawiając par force Ameryce żądanie politycznego

wycofania się z Ukrainy, faktycznie pędzi dotąd zbyt szybko, zbyt daleko i zbyt ryzykownie. Amerykanie od dłuższego czasu twierdzą nawet uporczywie, że przywódca Rosji pędzi ku nieuchronnej wielkiej wojnie, choć ich twierdzenia nigdy nie wyglądały – prawdę mówiąc – nazbyt realistycznie.

Kolejka prezydentów, premierów i ministrów, jaka ustawiła się ostatnio w oczekiwaniu na przyjęcie na Kremlu – to poczet tych zachodnich polityków, którym wydaje się, iż potrafią pokazać Putinowi jakiś specjalnie dla niego otwarty zjazd z autostrady. Putin traktuje ich wszystkich dość surowo, nie tylko w materii czysto politycznej. Aby nie narazić rosyjskiego przywódcy na szwank, muszą w Moskwie okazywać trzy świeżo zrobione testy na COVID-19, zrobić dodatkowy test już po przybyciu do Rosji, po czym dopiero sadzani są w jednej z kremlowskich komnat, na końcu długiego białego-złotego stołu, w odległości

sześciu metrów od głowy państwa rosyjskiego. Z tym testem, który muszą zrobić już w Moskwie, wciąż zresztą są jakieś kłopoty, bo np. Macron odmówił poddania się mu, gdyż się bał, iż wywiad rosyjski dostanie dane jego DNA. Więc kanclerz Scholz wziął ze sobą niemieckiego lekarza, który zrobił mu jeszcze jeden test w samolocie, już po wylądowaniu na moskiewskim lotnisku. Na zdjęciach z powitania Scholza można zauważyć wysiadającego zaraz za kanclerzem człowieka, okutanego białym kombinezonem antywirusowym, który niesie Rosjanom świadectwo dopiero co przeprowadzonego badania swojego kanclerza. Oczywiście są to wszystko nie tylko objawy strachu władcy Rosji przed zarażeniem się wirusem. Lecz również charakterystyczne dla Putina elementy swoistej, chciałoby się rzec – „gombrowiczowskiej” gry o to, kto nad kim zyska przed rozmowami psychologiczną przewagę.



Bo też lwia część trwającej obecnie dyplomatycznej gry o otwarcie Putinowi „off-rampu” należy do sfery psychologii stosunków międzynarodowych. Stawką tej gry jest dalekosiężna przyszłość polityczna Ukrainy. Ściślej mówiąc: rzecz w tym, aby na Ukrainie nie stało się nic takiego, co w dalszej przyszłości uniemożliwiłoby jej powrót na łono „pyccokoro мира”, bez czego państwo rosyjskie nie będzie w stanie odzyskać roli globalnego imperium. Władca Rosji wie, że nie ma dzisiaj sił, aby w pełni urzeczywistnić ów powrót, ale jest też pewien, że ani on sam, ani jego następcy (gdyby jemu się nie powiodło) nigdy nie porzucą wysiłków przywrócenia Kijowa „do macierzy”. Do rangi symbolicznej urosły w związku z tym starania Kijowa o członkostwo w NATO, z determinacją i gwałtownością podejmowane przez prezydenta Zelenckiego. Dla Kremla są one coraz bardziej irytujące, zwłaszcza że armia Ukrainy coraz częściej odbywa manewry wraz z siłami NATO, a do czarnomorskich portów zawijają okręty zachodniego sojuszu, traktowane przez Rosję jako wrogie.

Oczywiście wszyscy wiedzą, że Ukraina nie zostanie przyjęta do NATO, choćby nie wiem jak rozpaczliwe żądania formułował w tej mierze prezydent Zelenski. Ale Putin chce tu osiągnąć coś więcej. Chce symbolicznego sukcesu. Nie tylko po to, by zapewnić sobie i Rosji, ostatnio uporczywie ignorowanej i okładanej sankcjami przez Zachód, szczyptę

mocarstwowego prestiżu, którego tak bardzo pragną Rosjanie, popierający autorytarny styl przywództwa swego prezydenta. Ale chce go także dla poskromienia czegoś, co traktuje jako swoistą zuchwałość Kijowa, który manifestuje, iż zamierza przejąć w Europie misję antyrosyjskiego „przedmurza”, historycznie rezerwowaną dotąd dla Polski.

Chodzi zatem nie o to, aby w poufnych kontaktach politycy zachodni powtarzali Rosjanom jak mantrę, że na agendzie NATO nie figuruje przecież w ogóle kwestia akcesji Ukrainy. I nawet nie tylko o to, aby stanowisko całego Zachodu stało się w tej kwestii publiczne i jednoznaczne. Najważniejsze jest dla Kremla to, aby Zachód wymusił zrozumienie i przyjęcie tego do wiadomości przez Kijów. Dopiero to bowiem oznaczałoby psychologiczny przewrót w stosunku Kijowa do Moskwy. Taki stan rzeczy trwał przez całe lata 90. XX w. i był akceptowany przez Rosję, choć bez nadmiernego entuzjazmu.

Tę psychologiczną rozgrywkę szef rosyjskiej dyplomacji Ławrow nazwał „handlem powietrzem” (podczas konferencji prasowej z ministrem Rauem). Ławrow ma rację, gdyż towar w owej negocjowanej właśnie transakcji Moskwy z Zachodem jest wyjątkowo mglistej natury. Nie idzie tak naprawdę o żadne twarde fakty w sprawie rzekomego rozszerzenia NATO, bo te nie tylko są wszystkim świetnie znane, ale na dobrą sprawę nikt ich na serio nie kontestuje.

Nawet Polska i Litwa, odkąd w 2008 r. prezydent Lech Kaczyński poniósł klęskę w swych staraniach o tzw. natowską „mapę drogową” dla Ukrainy i Gruzji, raczej już tylko rytualnie, a nie realnie wspierają w tej mierze wysiłki Zelenckiego. Zachodni spektakl na użytek Kremla był zresztą ostatnio dość widowiskowy. Kiedy spanikowani Amerykanie ogłosili termin wybuchu wojny, to pierwsza rzecz, jaka się wydarzyła, to gwałtowne ewakuowanie z terytorium Ukrainy ostatniego natowskiego żołnierza, nawet tego, który prowadził tam tylko jakieś techniczne szkolenia. Przekaz był jasny: to rosyjski prezydent i rosyjska armia zdecydują o tym, co ma się stać z Ukrainą. Zachód stara się tylko dyplomatycznie zniechęcać Moskwę do naruszania względnego pokoju, jaki dotąd panuje w Europie.

LEKARSTWO NA ROSYJSKĄ DUSZĘ

W owym „handlu powietrzem” największe zrozumienie dla prestiżu i psychologii Kremla ma oczywiście niemiecki kanclerz. Dlatego dzień przed rzekomym wybuchem wojny (który Amerykanie nazaczyli na 16 lutego) – to właśnie Olaf Scholz zrobił w Moskwie kolejny test antycovidowy, po czym mógł zasiąść w pałacu kremlowskim za sześciometrowym biało-złotym stołem. Niemieckie media były zachwycone przebiegiem i efektami kremlowskich odwiedzin kanclerza, co radykalnie kontrastowało z kiepską opinią, jaką niemrawa polityka zagraniczna Scholza miała dotąd u niemieckich (i nie tylko niemieckich) analityków. Dość powszechnie uznano, iż to właśnie Scholz w trakcie rozmowy z Putinem „oddalił zagrożenie inwazją” („Augsburger Allgemeine”). Publicyści rozpyliwali się nad umiejętnościami kanclerza, który z jednej strony utwierdził Putina w przekonaniu o silnych retorsjach, jakie w razie wojny spadną na Rosję, lecz z drugiej znalazł lekarstwo na „zranioną rosyjską duszę” („Leipziger Volkszeitung”). A co najważniejsze – powszechnie uznano, iż Scholz wykonał dopiero początek wielkiej pracy, którą musi się stać „nowa architektura bezpieczeństwa w Europie, taka, z którą każdy potrafi jakoś żyć” („Frankfurter Rundschau”).

Oczywiście Scholz nie zapobiegł żadnej wojnie, gdyż tej władca Rosji nie planował, w każdym razie dopóty, dopóki Amerykanie na serio nie wpadliby na koncept rozszerzania NATO o kolejne byłe republiki sowieckie. To należy zaliczyć do kategorii mitów, jakie stworzyli sobie niemieccy publicyści, owładnięci (jak zresztą media całego świata zachodniego) amerykańską psychozą wojenną.

Ale Scholz faktycznie zrobił coś, co w tym całym psychologicznym „handlu powietrzem” ma znaczenie trudne do przecenienia. Dał rosyjskiemu przywódcy, nie tylko podczas kremlowskiej rozmowy, lecz także publicznie, podczas późniejszej konferencji prasowej, nadzieję na wypracowanie takiej „nowej architektury bezpieczeństwa”, w której interesy geopolityczne Rosji byłyby uznawane, a Ukraina trwale zneutralizowana, przynajmniej gdy idzie o członkostwo w NATO. Z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością można założyć, że jednym z tematów rozmowy kanclerza z prezydentem był koncept ogłoszenia moratorium na akcesję Ukrainy do NATO. W niemieckich mediach (np. na portalu RND) pada nawet termin takiego moratorium: miałby to być bezpieczny dla Kremla rok 2050.

Podczas konferencji prasowej z Putinem kanclerz pozwolił sobie z uśmiechem na twarzy na nieco sarkastyczny żart, skierowany pod adresem kremlowskiego gospodarza. Mówił o tym, iż tak długo jak oni dwaj – Putin i Scholz – będą odpowiadać za politykę swoich państw, to kwestia członkostwa Ukrainy w NATO „nie będzie zaprzatać ich porządku dziennego”. Po czym dodał: „Choć nie wiem co prawda, jak długo pan prezydent zamierza pozostawać u władzy”. Śmiertelnie poważny Putin skrzywił się na to, czy to w uśmiechu, czy raczej w jakimś grymasie na twarzy. Jednak ten moment był znamieny. Dopiero co przecież za podobne słowa wyrzucono ze stanowiska admirała Schönbacha, w atmosferze powszechnych potępień, jakie spadły na tego byłego już dowódcę Deutsche Marine. Ale co innego admirał pozwalający sobie na niebezpieczną spekulację polityczną, a co innego kanclerz zapobiegający wojnie i negocjujący „nową architekturę bezpieczeństwa”.

DUMA UKRAINY

Scholz istotnie ma stosunkowo najlepsze dane, aby zbudować „off-ramp” dla przywódcy Rosji. Demokratyczna administracja Bidena, która skoncentrowała się ostatnio na straszeniu wojną i wzmacnianiu poczucia jedności Zachodu, chętnie odstąpi Berlinowi rolę budowniczego zjazdu z autostrady dla rozpędzonego Putina. Ba, będzie mu wdzięczna, jeśli tylko taki trudny plan zakończyłby się choćby jakim takim sukcesem. W Europie tylko Macron będzie kręcić nosem, że rola Francji (jak zwykle zresztą) jest znów drugorzędna względem Niemiec. I to jeszcze w chwili, gdy francuski prezydent tak bardzo jest spragniony międzynarodowego blasku i prestiżu w obliczu niepewnego

Wszyscy wiedzą, że Ukraina nie zostanie przyjęta do NATO, choćby nie wiem jak rozpaczliwe żądania formułował w tej mierze prezydent Zelenski

wyniku kwietniowych francuskich wyborów. Zachwycona będzie oczywiście najbardziej pacyfistyczna do gruntu niemiecka opinia publiczna. Z perspektywy zwykłego Niemca nie ma bowiem lepszej roli dla niemieckiego kanclerza niż ta, w której w panującej atmosferze grozy i psychozy wojennej to właśnie on ratuje pokój dzięki swemu zmysłowi realizmu i „hanzeatyckiemu spokojowi” (to określenie zaczerpnięte z jednego z niemieckich portali). Scholz, jak wiadomo, jest hamburzaninem i wieloletnim burmistrzem tego hanzeatyckiego miasta, a polityczna kultura północnoniemieckich kupców słynęła faktycznie w dawnych wiekach z trzeźwości, realizmu oraz zamiłowania do pokoju i kompromisu.

W tej całej psychologicznej kalkulacji jedynym poważnym problemem jest dla Zachodu sama Ukraina. Ta bowiem, jak dotąd, pryncypialnie odrzuca jakiegokol-

wiek międzynarodowe ustalenia co do jej przyszłości, a w szczególności co do jej hipotetycznych przyszłych sojuszków wojskowych. Podobnie jak pryncypialna odmowa zgody na okupację Krymu dla Kijowa jest nie tylko kwestią narodowej dumy, lecz również psychologicznego poczucia państwowej suwerenności. To najzupełniej normalne, że im mniej realność owej suwerenności jest pewna, tym silniejsza potrzeba jej symbolicznego podkreślania. Jednak jeśli Ukraińcy mają się naprawdę ukształtować jako zwarty naród, to taka suwerennościowa zbiorowa tożsamość jest tego warunkiem sine qua non. Dlatego pomysł, że to Niemcy albo ktokolwiek inny proponuje moratorium na ukraińskie członkostwo w NATO, byłby czystym szaleństwem, odbieranym jako upokorzenie Ukrainy i zwycięstwo Putina. Rzeczy miałyby się natomiast całkiem inaczej, gdyby taka inicjatywa wyszła z Kijowa, jako koncept wynikający z troski Ukrainy o zachowanie europejskiego pokoju.

Wiele zdaje się wskazywać, że Scholz o takiej możliwości rozmawiał z Zelenskim w Kijowie, dzień przed swoim przybyciem na Kreml. Taki koncept próbował w ostatnich dniach sondować ukraiński ambasador w Londynie Wadim Prystajko, choć natychmiast potem wyjaśniał, iż musiał zostać „źle zrozumiany”.

Tak właśnie sonduje się ryzykowne pomysły polityczne. A warto pamiętać, że ambasador Prystajko to nie byle dyplomatyczny żółtodziób, tylko były szef dyplomacji w ekipie prezydenta Zelenskiego. Na razie nie ma wystarczających przesłanek, by sądzić, iż Scholz nakłonił Zelenskiego do sterowania ukraińską polityką w taką właśnie stronę. Tym bardziej że dla coraz słabszego ukraińskiego prezydenta, któremu znów w sondażach depcze po piętach śmiertelny wróg – Petro Poroszenko, musiałaby to być strategia ryzykowna. Dziś jasne jest tylko to, że kanclerz Scholz dał Putinowi nadzieję na to, że jego aroganckie rozstawienie armii wokół granic Ukrainy i obcesowe żądania stawiane Ameryce nie okażą się całkiem daremne. Że kto jak kto, ale Niemcy, tak dobrze rozumiejący „zranioną duszę rosyjską”, mogą się postarać dla nadmiernie rozpędzonego rosyjskiego przywódcy o jakiś wygodny zjazd z autostrady. 



Zachód nie poszedł na ustępstwa wobec żądań Moskwy. Amerykanie znacząco podbili stawkę, zwiększając liczebność swoich wojsk na wschodniej flance NATO, w tym w Polsce

Trollowanie Putina



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Amerykanie wygrali pierwszą fazę konfliktu z Rosją. Pokerową partię narzuconą im przez Putina rozegrali bardzo kreatywnie, ujawniając jego karty. W rezultacie nie doszło do inwazji na Ukrainę, która miała się rozpocząć w środę 16 lutego. Jednak oddech ulgi trwał krótko, bo Putin nie zakończył swojej gry

W środę 16 lutego oczekiwano najgorszego. Tego dnia nad ranem, według doniesień amerykańskiego wywiadu, ponad 100 tys. żołnierzy rosyjskich zgromadzonych wzdłuż granic Ukrainy miało przystąpić do ataku. Od kilku dni dudniły o tym wszystkie światowe media i nie było chyba nikogo w Eu-

ropie, kto nie zdawałby sobie sprawy z zagrożenia. Jak informowano w przeddzień domniemanej inwazji, Rosjanie przygotowali już odpowiednie zapasy amunicji i krwi, a ich artylerzyści zajęli stanowiska bojowe.

Ostatecznie jednak wojska rosyjskie pozostały na pozycjach wyjściowych. Putin nie wydał rozkazu rozpoczęcia

operacji przeciwko Ukrainie. Wprost przeciwnie, pojawiły się informacje o wycofaniu części oddziałów rosyjskich z nad granicy. Czy oznacza to deeskalację konfliktu? Niekoniecznie. W chwili gdy piszę te słowa, Rosjanie nadal utrzymują na ukraińskiej granicy potężną siłę uderzeniową, a rzeźkowa redukcja wojsk oznacza jedynie

ich przesunięcie na mapie i niewielką rotację żołnierzy. Rosjanie nie wycofują się też z żadnego ze swoich żądań wobec Zachodu.

Tak czy inaczej, jeżeli Putin w polowie zeszłego tygodnia rzeczywiście chciał zaatakować Ukrainę, to Amerykanie mocno pokrzyżowali jego plany. Ich przewaga wywiadowcza i informacyjna okazała się tu kluczowa. Waszyngton nie tylko ujawnił zamiary Putina, co pozbawiło Rosję elementu zaskoczenia, lecz przede wszystkim nie dał się zastraszyć Moskwie, która liczyła na to, że Zachód sparaliżowany wizją wojny, pójdzie grzecznie na daleko idące ustępstwa. Tak się jednak nie stało. Amerykanie podjęli narzuconą im grę i postanowili przetestować przeciwnika, podbijając stawkę. W rezultacie pozycja Rosji jest dziś gorsza niż przed wybuchem kryzysu ukraińskiego. Państwa zachodnie dozbroiły Ukrainę, na wschodniej flance NATO pojawili się dodatkowi amerykańscy żołnierze, a Putin musi się mierzyć z wizerunkiem agresora. Z pewnością nie o to mu chodziło.

Nie oznacza to oczywiście, że Putin porzucił ścieżkę wojenną, bo jest zbyt wcześniej, aby tak sądzić, ale z pewnością Kreml będzie musiał nanieść poprawki do swoich planów. Jasne jest jednak, że nie może całkiem odpuścić. Spektakularna porażka mogłaby bowiem zniszczyć jego wizerunek „mocnego człowieka”, którym od lat cieszy się w Rosji, i tym samym okazać się katastrofalna dla jego pozycji politycznej. Putin walczy więc nie tylko o Ukrainę, lecz również o własną przyszłość. A to już nie wróży najlepiej spokojowi w Europie.

PLAN PUTINA

Strategia Moskwy jest dość czytelna. Mówił o niej zresztą sam Putin w lutym 2005 r., gdy podczas wystąpienia przed połączonymi izbami rosyjskiego Zgromadzenia Federalnego określił upadek ZSRR mianem największej katastrofy geopolitycznej XX stulecia. Dwa lata później na międzynarodowej konferencji bezpieczeństwa w Monachium odgrażał się Ameryce, twierdząc, że poszerzanie NATO na Wschód sta-

nowi zagrożenie dla Rosji. Wskazywał też, że Zachód traci siły, a jego miejsce w globalnej rozgrywce wkrótce zajmą inni gracze: Chiny, Indie oraz właśnie Rosja. Zapowiedź przyszłej konfrontacji, choć dość zawoławana, padła więc kilkanaście lat temu.

Rosja była już wtedy przekonana, że upadek Zachodu jest tylko kwestią czasu, należy jedynie poczekać na dogodny moment do ataku. Oczywiście nie czekano biernie, grano na

Ujawnienie danych wywiadowczych nie tylko pozbawiło Rosjan elementu zaskoczenia, lecz sprawiło, że poczuli się oni na bieżąco monitorowani i demaskowani przed całym światem

podziały wewnątrz Zachodu, inspirowano i pogłębiano konflikty, manipulowano. Niektórzy, tak jak np. Niemcy, chętnie podejmowali niebezpieczną grę z Rosją, widząc w tym szansę realizacji własnych interesów (przykładem może być choćby gazociąg Nord Stream 2).

Przełomem okazała się pandemia. Wywołany przez nią globalny kryzys w połączeniu ze wzrostem potęgi Chin oraz postępującą ideologiczną fiksacją i społeczną degrengoladą świata zachodniego skłoniły kremlofskich strategów do przyjęcia wniosku, że otworzyło się idealne okno czasowe do podjęcia ofensywy na pełną skalę. Putin – jak się zdaje – chciał możliwie najtańszym kosztem uzyskać jak najwięcej. Sądził, że – wywołując wojenną panikę – zmusi Zachód do przyjęcia upokarzającego ultimatum. Jednak zaspokojenie żarłocznych apetytów Kremla oznaczałoby nie tylko powrót Ukrainy pod berło Kremla, lecz również powstanie wielkiej, bezpieczeństwa strefy buforowej

w Europie Środkowo-Wschodniej, a więc de facto cofnięcie Europy do czasów sprzed rozszerzenia NATO. Te warunki okazały się tak wyśrubowane, że Putin, stawiając je Zachodowi, po prostu przeliczywał. Z kolei jego późniejszy upór sprawił, że Zachód, nie mając żadnego pola manewru, musiał przystąpić do działania.

Głównym celem Putina byli oczywiście Amerykanie, których Moskwa chciałaby się pozbyć z Europy, jeśli nawet nie z całego kontynentu, to przynajmniej z jego naszej części. Wydawało się to o tyle prostym zadaniem, że Stany Zjednoczone są mocno zaabsorbowane konfliktem z Chinami, a nowa ekipa w Białym Domu pod kierownictwem zniedołężniatego Joego Bidena nie wzbudzała żadnego respektu, zwłaszcza po nieudolnej operacji wycofania Amerykanów z Afganistanu.

Putin najwyraźniej się jednak przeliczył i nie docenił potencjału, który – mimo kryzysu – ciągle tkwi w Ameryce. Bo nawet jeśli Biden jest zniedołężniały, to nie można tego samego powiedzieć o jego współpracownikach z wywiadu i z Departamentu Stanu. Podeszli oni bowiem do rzuconego im przez Kreml wyzwania bardzo kreatywnie, przejmując pałeczkę i ostro licytując się z Putinem.

Początkowo to Moskwa nadawała ton w wojnie informacyjnej. Z Rosji docierały do nas kolejne pogrożki oraz doniesienia o ruchach wojsk i wielkich manewrach, gęsto okraszone zdjęciami czołgów, samolotów i salw rakietowych. Te doniesienia podchwytywali rozmaici analitycy internetowi, rzucając się jednostek i typami dyslokowanego uzbrojenia, choć trudno ocenić, skąd mieli tak szczegółowe dane i na ile były one prawdziwe. Oczywiście potęgowało to nastroj grozy, zgodnie z oczekiwaniami Moskwy, która liczyła wówczas, że Zachód natychmiast ugnie się przed jej żądaniami na widok nadciągających z Syberii doborowych oddziałów pancernych.

AMERYKAŃSKA ODPOWIEŹ

Jednak Amerykanie w odpowiedzi przejęli inicjatywę w wojnie informacyjnej i natychmiast ruszyli z kontrofensywą. Przede wszystkim uruchomiono na wielką skalę działania wywiadowcze na Ukrainie. W powietrze codziennie wzbijały się – i nadal się wzbijają – samoloty zwiadu z bliska obserwujące i nasłuchujące ruchy wojsk rosyjskich. Dodatkowych danych dostarczają również satelity. Dzięki temu Amerykanie na bieżąco znali rzeczywiste położenie i liczebność wszystkich jednostek rosyjskich, które mogą zostać użyte do ataku. Znak te parametry, łatwo im było również przewidzieć prawdopodobny czas uderzenia i jego miejsce.

To jednak tylko część strategii amerykańskiej. Ogromną rolę odegrało tu ujawnianie uzyskanych danych wywiadowczych, co nie tylko pozbawiło Rosjan elementu zaskoczenia, lecz również sprawiło, że poczuli się oni na bieżąco monitorowani i demaskowani przed całym światem. W ten sposób Amerykanie pokazali, że są krok przed Rosjanami i że to oni panują nad sytuacją. Wściekli Rosjanie zaczęli w odpowiedzi oskarżać Amerykę o nakręcanie wojennej histerii i zadawać im ironiczne pytania, kiedy powinni zaatakować Ukrainę. Był to jednak dowód ich bezsilności. Nie tego się przecież spodziewali.

Wraz z operacją wywiadowczą Amerykanie nasilili również kampanię informacyjną i psychologiczną. Bombardując światowe media doniesieniami o zbliżającej się inwazji rosyjskiej, udało im się w dużym stopniu przejąć kontrolę nad przepływem informacji i – co jeszcze ważniejsze – zmobilizować Zachód w obliczu możliwej wojny. Napiecie potęgowały wezwania do opuszczenia Ukrainy przez obywateli USA, wiadomości o ewakuacji amerykańskiej ambasady z Kijowa oraz przechwycone dane o szykowanych przez Moskwę mistyfikacjach mających uzasadnić inwazję, np. o rzekomym reportażu z udziałem aktorów odgrywających rolę ofiar „ukraińskich zbrodni”. Dzięki temu Rosjanie zostali przedstawieni, skądinąd

zgodnie z prawdą, w roli brutalnego agresora, który zagraża bezpieczeństwu świata. A z agresorem nie sposób negocjować, chyba że nieco spuści z tonu.

NIESPEŁNIONE RACHUBY

W rezultacie amerykańskiej kontrofensywy pierwotny plan Putina kompletnie zawiódł. Zachód, zmobilizowany przez Amerykę, nie poszedł na ustępstwa wobec narzuconych przez Mos-

Stany Zjednoczone
przedstawiły Rosję w roli
brutalnego agresora, który
zagraża bezpieczeństwu świata.
A z agresorem nie sposób
negocjować, chyba że nieco
spuści z tonu

kwę warunków. Amerykanie znacząco podbili stawkę, wzmacniając liczebność swoich wojsk na wschodniej flance NATO, a zwykle skorzy do ustępstw liderzy Niemiec, Francji i kilku innych państw zachodnioeuropejskich zostali przymuszeni sytuacją do usztywnienia swojego stanowiska wobec Rosji.

A zatem skoro Rosja nie dała Zachodowi pola manewru, to Ameryka sama sobie to pole manewru wywalczyła. Teraz oczywiście negocjacje są możliwe, ale już na innych warunkach, zdecydowanie mniej korzystnych dla Putina. Był to w tej fazie konfliktu strategiczny majstersztyk Amerykanów.

Doskonale widzą to Rosjanie. W tamtejszym internecie sporo jest drwin z putinowskiej demonstracji siły. „Jeśli Putin nie był usatysfakcjonowany status quo i dlatego ściągnął na granicę 2/3 wszystkich rosyjskich wojsk, to co w rezultacie uzyskał? Ukraina otrzymała dużą ilość nowoczesnego sprzętu wojskowego. Tym samym sytuacja Federacji Rosyjskiej staje się jeszcze gorsza niż poprzednio” – pisze jeden

z rosyjskich internautów. Inny narzeka na rozrzutność Putina, który wydał majątek z publicznych pieniędzy na rozpętanie zupełnie bezowocnej awantury. Takich głosów jest sporo i z pewnością nie wpływają one dobrze na wizerunek Putina.

Należy się tutaj zgodzić z prezydenckim ministrem Jakubem Kumochem, który tydzień temu w wywiadzie dla naszego tygodnika zauważył, że główną przyczyną kryzysu wojennego wokół

Ukrainy jest sytuacja wewnętrzna w Rosji. Putin szykuje się powoli do zmiany na Kremlu i spektakularny sukces, jakim byłoby podporządkowanie Ukrainy oraz znaczące poszerzenie rosyjskich wpływów w Europie, wpłynęłyby stabilizująco na obecny system władzy w Rosji. Putin zyskałby w ten sposób niekwestionowany autorytet, co pozwoliłoby mu – bez względu na pełnioną funkcję – zachować ostateczny głos w rosyjskiej polityce.

Nic więc dziwnego, że licytował bardzo wysoko. Najwyraźniej jednak przecenił słabość Ameryki.

Teraz jednak, w obliczu możliwej porażki, musi zareagować. I choć w jego interesie byłoby przystąpić do rozmów, niewykluczone, że znów zareaguje ostro, aby tym razem to sobie poszerzyć pole manewru. To będzie kolejne wyzwanie dla Zachodu.

Amerykanie, choć grają twardo, wyraźnie chcą porozumienia z Rosją. I podobnie jak w przypadku Putina chodzi im, przynajmniej do pewnego stopnia, o politykę wewnętrzną. Wyobraźmy to sobie: Joe Biden jako człowiek, który powstrzymał wojnę. Taki sukces z pewnością podniósłby słabe notowania obecnego prezydenta USA.

Kto ostatecznie wygra tę wojnę, pokaże czas. W chwili gdy piszę te słowa, nie znam dalszego ciągu wydarzeń. Rosyjskie wojska nadal pozostają przy ukraińskiej granicy, Kreml zarzuca Ukraincom „ludobójstwo”, w Donbasie dochodzi do kolejnych prowokacji, a Putin zaostroża stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, wydalając zastępcę ambasadora amerykańskiego w Moskwie. Wszystko więc może się jeszcze zdarzyć.

*Coraz rzadziej myślą
o ślubie, coraz mniej
chętnie chodzą do
Kościoła, coraz częściej
deklarują poglądy
lewicowe. Tacy są dziś
młodzi Polacy*



Ślub? Dziękuję, poczekam



DOROTA ŁOSIEWICZ

Od siedmiu lat jesteśmy razem, a od czterech mieszkamy tu, we Wrocławiu. Może kiedyś sformalizujemy nasz związek, ale teraz po co? Jakie to miałyby znaczenie? Najważniejsze, że jesteśmy szczęśliwi, dogadujemy się i myślimy o dziecku. Tak żyje, i też szczęśliwie, wielu na-

szych znajomych – mówią 25-letnia Agnieszka, przedstawicielka handlowa w firmie kosmetycznej, i jej rówieśnik Bernard, właściciel małej firmy wykańczania wnętrz.

– Oczywiście, że chcę mieć stałego partnera, ale na pewno do trzydziestki nie wyjdę za mąż. Po co miałabym to robić? Połowa rodziców koleżanek z mojej klasy jest już po rozwodzie – deklaruje Kinga z Legionowa, 18-letnia uczennica warszawskiego LO.

To tylko niektóre opinie młodych Polaków (w wieku 18–30 lat), które przytaczają badacze w raporcie „Razem? Tak. Ślub? Niekoniecznie. A może leasing?”, przeprowadzonym przez Centrum Profilaktyki Społecznej oraz Wyższą Szkołę Biznesu i Przedsiębiorczości w Ostrowcu Świętokrzyskim.

RAZEM, ALE BEZ ŚLUBU

Ze wspomnianego raportu wynika, że młodzi Polacy chętnie zamieszkują razem – żyją bez podpisów i przysięg. Co trzeci młody człowiek (w wieku 18–30 lat) chociaż chce trwałego związku, to nie zamierza brać ślubu – ani świeckiego, ani kościelnego. Prawie 31 proc. kobiet i mężczyzn deklaruje, że na pewno nie weźmie ślubu kościelnego, a kolejne 16,5 proc. nie jest tego jeszcze pewne. Ale blisko 55 proc. z nich myśli o tym, aby w przyszłości – jeśli ich obecne związki się spełnią – sformalizować relację w formie albo świeckiej, albo sakramentalnej. Najwięcej młodych ludzi niechętnych związkom formalnym jest z aglomeracji miejskich, najmniej z ośrodków tradycyjnych, wiejskich i małomiasteczkowych, z regionów Małopolski, Warmii, Mazur oraz Podlasia. Jednak młodzi z tych regionów, którzy przeprowadzili się do dużych miast, formułują już deklaracje podobne do wielkomiejskich rówieśników. 82 proc. respondentów z Limanowej jest zdania, że jedynym możliwym ślubem jest związek sakramentalny, ale już 56 proc. respondentów z Warszawy, Gdyni i Wrocławia deklaruje, że jeśli wezmą ślub, to nie będzie on kościelny.

Z pewnością znaczenie dla podejścia młodych do wspólnego życia mają postawy rodziców. I tak 82 proc. dorosłych respondentów z dużych miast zaakceptuje nieformalny związek syna lub córki i ich wspólne zamieszkanie, w miejscowościach wiejskich i małomiasteczkowych (do 20 tys.) taką opinię wyraża ponad 52 proc. badanych.

– Optymistyczna jest już sama informacja, że młodzi ludzie wiążą się w pary, czyli chcą być razem, potrzebują silnych więzi społecznych, ale jak pokazuje nasze badanie, coraz rzadziej chcą się wiązać w sposób formalny. Dzieje się tak dlatego, że żyjemy w czasach dehermetyzacji różnych więzi, jest niższy poziom trwałości czegokolwiek. Mniej trwałe są samochody, telefony i inne rzeczy, które kupujemy. Ta trwałość lub raczej jej brak zaczyna być cechą wspólną doby ponowoczesności i siłą rzeczy przekłada się także na relacje społeczne – mówi prof. Mariusz Jędrzejko, dyrektor naukowy Centrum Profilaktyki Społecz-

nej, redaktor naukowy i kierownik omawianego projektu badawczego.

– Na młodego człowieka wpływa nie tylko tradycyjny system wychowania, lecz również konglomerat oddziaływań kultury światowej. Trendy z Europy Zachodniej docierają do Polski. Zauważmy jednak, że połowa badanych myśli o sformalizowaniu związku w przyszłości, co i tak daje zdecydowanie większy potencjał niż trendy, które obserwujemy na zachodzie Europy. Odsunięcie tej decyzji w czasie młodzi tłumaczą m.in. zapleczem ekonomicznym, którego im brakuje – wyjaśnia naukowiec.

PANDEMIA KONTRA ŚLUB

Na zmniejszenie liczby ślubów dodatkowo wpłynęła pandemia, np. jako skutek ograniczenia możliwości organizacji wesel i przyjęć, ale nawet przy tym wpływie od wielu lat umacniają się nowe tendencje związane ze wstrzymywaniem się młodych ludzi od oficjalnej przysięgi małżeńskiej. Coraz więcej z nich świadomie wydłuża okres „nierzeczności”, który jednocześnie ma odmienny charakter od tego z XX w.

Autorzy raportu uważają, że nie bez znaczenia jest tu także obserwowany przez teologów, socjologów i pedagogów zanik głęboko uświadomionego i przeżywanego chrześcijaństwa domowego, które w wielu rodzinach bywa sprowadzane jedynie do tradycyjnego udziału w niedzielnych mszach oraz okresowych formach wyznawania wiary. Nierzadko ślub kościelny staje się bardziej rewią mody i weselną zabawą niż głęboko przeżywanym aktem spajającym młodych ludzi w związku uczuciowym. – Nie ma wątpliwości co do zмирzchu chrześcijaństwa domowego oraz przeobrażenia formatu rodziny z wielopokoleniowej i religijnej na rodzinę żyjącą w diasporze: każdy w swoim pokoju, młodzi ze słuchawkami na uszach, wpatrzeni w smartfony, rodzice albo skupieni na sobie, albo na

swojej pracy, niemający często pomysłu na spędzanie czasu razem, w dzień nie tylko powszedni, ale i świąteczny. Do tego dochodzą klótnie domowe o styl wychowania dzieci, brak zadowolenia i satysfakcji rodziców ze współżycia małżeńskiego (są przypadki, że 40-letni rodzice nie prowadzą życia seksualnego od kilku lat). Dzieci to widzą i podkreślają, że ślub kościelny nie pomaga im w pięknej miłości, a tylko przypomina o obowiązkach. W konsekwencji żona powtarza: nie będę współżyła z mężem przez zaciśnięte zęby, tylko dlatego, że tak Kościół nakazuje. Nie mając żadnych zobowiązań wynikających ze ślubu kościelnego czy cywilnego, zawsze można się rozejść. Nie będzie małżeństwa, ale dzieci mają swoich rodziców, mogą się widywać, spędzać czas wolny – uważa ks. prof. Czesław Kuśtra, współautor badania.

Oprócz rzeczywistych ograniczeń pandemicznych ważnym czynnikiem zmniejszającym zainteresowanie młodych formalnymi związkami są wspomniane już trendy kulturowe, społeczne oraz dynamika życia zawodowego.

– Związki partnerskie czy wolne są charakterystycznym znakiem naszych czasów, mają swoje dobre i złe strony. Niezalegalizowane związki nie są objęte ochroną prawną, nie ma ustawowych spadkobierców i nie korzystają z wspólnego opodatkowania. Niestety obserwujemy tendencję wzro-

stową związków wolnych, szczególnie osób słabo związanych z religią. Niechęć do legalizacji związków w dużej mierze wynika z tego, że młodzi ludzie preferują bardziej swobodny i niezależny sposób funkcjonowania – bez kredytów, zobowiązań i problemów biurokratycznych. Wygoda też ma duże znaczenie, zawsze można „zabrać zabawki i wyjść z piaskownicy” – komentuje wyniki badań dr Julita Jadczak, pedagog z Warszawy.

– Przez tysiąclecia jednostka potrzebowała rozlicznych więzów z innymi ludźmi: formalnych i nieformalnych,

Prawie
31 proc.
młodych kobiet
i mężczyzn nie chce
ślubu kościelnego

zinstytucjonalizowanych i niezinstytucjonalizowanych – wszystkie one były jakąś gwarancją jej przetrwania i rozwoju. Szczególne znaczenie miało małżeństwo jako związek instytucjonalny, gdyż ponad arbitralnością woli i kaprysem uczuć wiązało wszystkich w rodzinne, rozłożyste, wielopoziomowe wspólnoty. Ale druga połowa XX w. przyniosła na zachodzie Europy decydujące pod tym względem zmiany. Bogaczące się jednostki w krajach rozwiniętego kapitalizmu zauważyły, że inni ludzie przestali być im szczególnie potrzebni do przetrwania. W Europie Zachodniej państwo opiekuńcze zapewniło swoim obywatelom bezpieczeństwo socjalne i opiekę medyczną na najwyższym poziomie na świecie – komentuje zmiany w podejściu młodych ludzi do wspólnego życia prof. Zbigniew Kaźmierczak, filozof z Uniwersytetu w Białymstoku.

Tylko
49 proc.
18–20-latków deklaruje
chęć zawarcia związku
małżeńskiego

ZWIĄZEK POWINIEN BYĆ TRWAŁY

Ciekawe, że choć młodzi ludzie z coraz większym sceptycyzmem podchodzą do formalizacji związku, to jednak dużą wartością jest dla nich trwałość relacji.

– Z tego, co mówią badani przez nas młodzi ludzie, trwałość, nawet niesformalizowanej relacji, jest dla nich ważna. Bardzo często pojawia się taka odpowiedź, że związek nieformalny to sposób na przetestowanie partnera. To znaczy, że młodzi ludzie potrzebują znacznie więcej czasu niż pokolenie moje czy pani redaktor, by się przekonać co do tego, że wybór życiowego partnera jest trafny. Poza tym to pozostawienie sobie furtki na łatwe opuszczenie związku, gdyby coś poszło nie tak – tłumaczy prof. Jędrzejko.

– Kościół pełni ważną funkcję w wychowywaniu religijno-moralnym człowieka. Czy ten czas, w którym kościoły były zamknięte, a liczba osób na nabo-

żeństwach ograniczona, nie wpłynął negatywnie na nastawienia religijno-moralne człowieka? Wpływ religijności na rozwój duchowy jest ważny, ponieważ dojrzała jej forma umożliwia prawidłowe kształtowanie własnej osobowości w zakresie stosunku do transcendencji, do

innych osób, do samego siebie i całego otaczającego świata. Wydaje się, że brak czynnego uczestnictwa, szczególnie w Eucharystii, która jest główną siłą duchową dla chrześcijanina w czasie pandemii, mocno osłabił ten rozwój, duchowość człowieka. Człowiek

jest twórcą samego siebie, a rozwijając się duchowo, coraz bardziej staje się osobą dojrzałą. Przyczyną więc utraty praktyk religijnych może być brak siły duchowej, szczególnie u młodych osób – uważa ks. prof. Czesław Kuśtra.

UCIECZKA Z KOŚCIOŁA

W tym miejscu trzeba sięgnąć do wcześniejszego badania Centrum Profilaktyki Społecznej z 2021 r. „Młodzi uciekają z Kościoła”, z którego wynika, że sprawy bieżące, zwłaszcza te owiane skandalami, a nie głęboko religijne, determinują stosunek młodych do Kościoła i religii. Skandale pedofilskie, przepych i bogactwo ludzi Kościoła – to zniechęca młodych do tej instytucji. Aż 62 proc. badanych uważa, że Kościół chce zamieść pod dywan afery pedofilskie. Tylko 7,8 proc. ocenia, że robi wszystko, by problem wyjaśnić. Młodym przeszkadza także zaangażowanie Kościoła w politykę oraz „przepych i nieuzasadnione bogactwo ludzi Kościoła”. Rzadziej brak zrozumienia ich potrzeb i współczesnego świata. Młodym nie podoba się też agresywny język księży i hierarchów, brak zrozumienia dla praw kobiet, nieatrakcyjność lekcji religii i brak otwartych rozmów z księżmi o problemach – aborcji czy homoseksualizmie. 62 proc. młodych Polaków uważa się za osoby religijne, ale jedna trzecia –

zupełnie nie. Przy tym 59 proc. z badanych twierdzi, że ich religijność osłabła w ostatnich dwóch latach. Co piąty przyznał, że przestał chodzić na niedzielne msze. I nie miało to związku z pandemią.

W badaniu czytamy, że wraz z ujawnieniem pierwszych sygnałów o występowaniu (szczególnie jego skali) problemu pedofilii oraz powiązaniu instytucji kościelnych z polityką pojawiły się też pierwsze sygnały o krytycznym spojrzeniu młodych ludzi nie tylko na Kościół katolicki i jego przedstawicieli, ale także samą religię. „Można jednak przypuszczać, że o wiele gorszy od samego faktu występowania pedofilii i innych nieprawidłowości (które – jak inne błędy i patologie – są »rzeczą ludzką«, będących przejawem indywidualnych problemów lub zaburzeń – chorób) jest fakt występowania »podwójnych standardów«. W przypadku przestępstw seksualnych jest to, zdaniem młodych, niewielka aktywność czy wręcz bierność instytucji w ujawnianych przypadkach, następnie długotrwałe i nieprzejrzyste procedury: »Nie podoba mi się jak to wolno idzie, dlaczego ci ludzie uczą dalej dzieci« – dziewczyna, 18 lat; »Jak tak można, dlaczego oni niszczą Kościół« – dziewczyna, 18 lat; »Nasz katecheta jest tym załamany. To fajny facet« – chłopiec, 16 lat. Młodzi ludzie zwracają uwagę, że gdzie indziej Kościół ma jednoznaczne i nieprzejednane stanowisko w kwestiach obyczajowych i światopoglądowych przy jednoczesnej pobłażliwości dla ludzi Kościoła nierespektujących własnych reguł. W tym zakresie komentarze młodych ludzi wpisywane w plik ankiety są często druzgocące dla Kościoła”.

Kilka dni temu ks. Tomasz Białoń podzielił się w swoich mediach społecznościowych ciekawą opowieścią: „W rozmowie na temat młodych ludzi, ich wiary i dojrzewania pewien młody człowiek powiedział: »A nie myślał ksiądz kiedyś, że bunt młodych ludzi często jest winą nie ich samych, ale dorosłych, którzy okazują się nieautentyczni, niekonsekwentni, fałszywi? Młodzi dojrzejają i odkrywają nagle, że te autorytety, które mieli, okazują się inne, niż myśleli. Dziwić się, że się buntują? Czy to ich wina?«. Bardzo mądry człowiek. Wiele buntów młodych ludzi to nie wina młodzieży, która chce przewrócić

świat do góry nogami, ale dorosłych, którzy ten świat już przewrócili – uważa ks. Białoń. Ta trafna refleksja idealnie pasuje do konkluzji raportu CPS.

Aż 72,8 proc. pytanym nie ufa polskim hierarchom w sprawie „zreformowania Kościoła i odzyskania jego autorytetu”. Ufają papieżowi Franciszkowi – 71 proc. uważa, że chce on zreformować Kościół i wyeliminować patologie. Dla połowy badanych papież Franciszek to autorytet moralny. Co ważne, młodzi są krytyczni wobec Kościoła, ale nie wobec samej wiary (religii), bo ta wciąż jest dla nich ważna. Dla 64,7 proc. Dekalog i wartości wynikające z ich religii będą drogowskazem w przyszłości. – Zmniejszenie liczby małżeństw sakramentalnych to także krytyka instytucji Kościoła. Instytucji, a nie religii, bo ta jest dla młodych ważna. Na szczęście pojawia się coraz więcej głosów duchownych, świadomych kryzysu Kościoła, którzy zapowiadają szukanie rozwiązań, by młodych ludzi pozyskać. Ważną sprawą jest język komunikowania się z młodymi ludźmi. Część hierarchów nie rozumie, że młode pokolenie jest dziś dużo lepiej doinformowane i ma znacznie większe możliwości porównawcze, niż to było w młodości owych duchownych. To znaczy, że z tymi ludźmi należy prowadzić dialog. Nie wystarczy powiedzieć: „Masz tak zrobić”. Konieczne jest udzielenie odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego?”. Jeśli odpowiedź się nie pojawi, to młode pokolenie pójdzie inną ścieżką – nie ma wątpliwości prof. Jędrzejko.

W LEWO ZWROT

I często młodzi ludzie tę inną ścieżkę wybierają. Z badania CBOS wynika, że w 2020 r. odsetek młodych Polaków (18–24 lata) o poglądach lewicowych wzrósł niemal dwukrotnie w stosunku do poprzedniego roku, osiągając najwyższy poziom w historii badań CBOS (30 proc.) i po raz pierwszy od blisko dwóch dekad był wyższy od odsetka młodzieży o poglądach prawicowych.

„W roku 2015, kiedy to odsetek identyfikacji prawicowych wśród młodzieży plasował się na rekordowo wysokim

poziomie, za wynik ten odpowiadali głównie młodzi mężczyźni – poglądy prawicowe deklarowało aż 40 proc. spośród nich (najwyższy wynik w historii naszych pomiarów) wobec 20 proc. wśród kobiet. W 2020 r. sytuacja uległa odwróceniu – za rekordową liczbę deklaracji lewicowych odpowiadają przede wszystkim młode Polki. Z lewicą utożsamia się aż 40 proc. z nich (najwyższy wynik w historii naszych badań i skok o ponad 20 punktów procentowych w stosunku do poprzedniego roku), wobec 22 proc. wśród młodych mężczyzn. Warto zauważyć, że tak jak sympatie prawicowe przeważały wśród

W 2020 r. odsetek młodych Polaków o poglądach lewicowych wzrósł niemal dwukrotnie w stosunku do poprzedniego roku, osiągając

30 proc.,
i po raz pierwszy od blisko dwóch dekad był wyższy od odsetka młodzieży o poglądach prawicowych

młodych mężczyzn nad sympatiami lewicowymi w 2015 r. (czterokrotnie), tak przeważają i dziś, choć mniej wyraźnie (36 proc. wobec 22 proc.). W przypadku młodych kobiet w 2015 r. również obserwowaliśmy przewagę identyfikacji prawicowych nad lewicowymi (dwukrotną), jednak już w kolejnym roku spadła ona do zaledwie kilku punktów procentowych. W 2019 r. sympatie lewicowe po raz pierwszy przeważały w tej grupie nad prawicowymi (19 proc. wobec 14 proc.), a w 2020 r. ich odsetek wzrósł jeszcze dwukrotnie, osiągając pułap 40 proc. (wobec 17 proc. deklaracji poglądów prawicowych)” – czytamy w raporcie CBOS nr 28/2021. Ośrodek

badawczy podkreśla, że poglądy młodych Polaków uległy także znacznej polaryzacji. „W 2020 r. wzrosły – choć nierównomiernie – zarówno odsetki badanych o poglądach lewicowych, jak i prawicowych, a spadły odsetki centrystów oraz niezdecydowanych. Szczególnie wyraźnie widać tę zmianę w grupie młodych kobiet” – informuje CBOS.

Pracownia badawcza przyjrzała się także zróżnicowaniu poglądów młodych Polaków w zależności od wielkości ich miejsca zamieszkania. Z analizy wynika, że najwyższy odsetek autoidentyfikacji lewicowych obserwujemy w największych miastach (43 proc.), a najniższy – na wsi (25 proc.). CBOS zwraca jednak uwagę, że ogólny wzrost deklaracji poglądów lewicowych wśród młodych Polaków zaznaczył się wszędzie i nie ominął również mniejszych miejscowości. W istocie najsilniejsze, około dwukrotne wzrosty odnotowano w małych miastach liczących do 20 tys. mieszkańców (z 12 do 30 proc.), w miastach 100–500 tys. mieszkańców (z 19 do 36 proc.), a także na wsi (z 12 do 25 proc.).

Zgodnie z ogólnym trendem polaryzacyjnym wszędzie wzrosły również odsetki deklaracji prawicowych wśród najmłodszych badanych. Co ciekawe, najwyższy wzrost miał miejsce w największych miastach (z 18 do 33 proc.). O 11 pkt proc. wzrósł też odsetek autoidentyfikacji prawicowych w najmniejszych miastach (z 16 do 27 proc.), w pozostałych kategoriach miejscowości wzrosty utrzymywały się na poziomie 1–2 pkt.

Według analityków CBOS za wyrażniejszą przemianą światopoglądową młodych kobiet stoją żywsze reakcje na toczące się w 2020 r. spory polityczne wokół praw społeczności LGBT oraz prawa aborcyjnego. Widoczna tendencja do polaryzacji poglądów również zaznaczyła się o wiele silniej wśród młodych kobiet, co świadczyłoby o ogólnym wzroście zainteresowania tej grupy życiem publicznym.

To, którą ścieżkę wybiorą młodzi, wciąż w dużej mierze zależy od nas, dorosłych, i od atrakcyjności wzorców, jakie dostają młodzi. Warto o tym pamiętać, dokonując własnych wyborów.

*Prezydent nie tylko
może pokrzyżować
opozycji plany
zemsty i odwetu,
lecz także zrobić
międzynarodową
karierę*



STANISŁAW JANECKI

To, że politycy opozycji nie doceniają znaczenia prezydenta Andrzeja Dudy w perspektywie całej jego kadencji, czyli do 6 sierpnia 2025 r., to wynik wściekłości. Spowodowanej tym, że nie tylko wygrał w 2015 r. z urzędującym prezydentem Bronisławem Komorowskim, lecz również tym, że w 2020 r. wygrał drugą kadencję. Mimo że najpierw rzucono do walki z nim Małgorzatę Kidawę-Błońską, która miała mieć wszelkie atuty, by go pokonać, a potem zamieniono ją na wielką nadzieję opozycji, podobno urodzonego zwycięzcę, czyli Rafała Trzaskowskiego. W sukces Andrzeja Dudy nie wierzyła też część polityków Prawa i Sprawiedliwości, choć Jarosław Kaczyński wiele razy przekonywał, że prezydentura Andrzeja Dudy może się okazać ważniejsza niż krucha większość rządząca. Dlatego postawiono na urzędującego prezydenta mimo różnych nieporozumień, a nawet konfliktów.

Było jasne, że w perspektywie pełnej kadencji Andrzej Duda jest istotnym stabilizatorem polskiej polityki i gwarantem tego, że nie powiedzie się plan zemsty i odwetu na obecnie rządzących, gdyby opozycja przejęła władzę. Prezydent (na którego narzeka część polityków Zjednoczonej Prawicy – ZP,

Przyszłość Andrzeja Dudy



ale to nic nie kosztuje, bo po 2025 r. głową państwa być nie może) jest istotną przeszkodą w planach Donalda Tuska i opozycji, aby cofnąć wszelkie zmiany i reformy przeprowadzone za rządów ZP. Wobec weta prezydenta żadne bolszewickie rozwiązania nie będą po prostu możliwe, także te w mediach publicznych, a one wydają się dla opozycji kluczowe. Wiadomo, że opozycyjni politycy chcieliby je likwidować (szczególnie Tusk, Trzaskowski i Schetyna), a dziennikarzy prześladować. Andrzej Duda będzie rządził do sierpnia 2025 r., a straszenie go impeachmentem jest tylko wyrazem infantylizmu i bezsilności, bo taka operacja nie ma żadnych szans.

Wiadomo, że w drugiej i ostatniej kadencji głowa państwa jest odpowiedzialna tylko przed Bogiem i historią, może więc robić to, co z różnych względów jest trudne dla PiS. Nieprzypadkowo prezydenckie plany reformy Sądu Najwyższego wzbudziły takie zainteresowanie w Komisji Europejskiej i USA. Nieprzypadkowo Andrzej Duda stał się kluczowym graczem w operacji przeciwstawienia się agresji Rosji na Ukrainę i w krótkim czasie był aktywniejszy oraz traktowany znacznie poważniej w kwestiach polityki wschodniej niż Donald Tusk czy Radosław Sikorski po agresji na Krym w 2014 r. A nawet jest poważniej traktowany przez Zachód niż prezydent Aleksander Kwaśniewski podczas „pomarańczowej rewolucji” w 2004 r. Opozycji w Polsce i jej przyjaciółom za granicą nie udało się prezydenta ani osłabić, ani zlekceważyć, a przemysł pogardy akurat w tym momencie przestał działać.

KŁOPOT TUSKA

Wbrew różnym opiniom Andrzej Duda nigdy nie był, a tym bardziej nie będzie do końca kadencji strażnikiem żyrandola. Jest w pełni suwerennym politykiem i nieusuwalną przeszkodą w planach Donalda Tuska. Warto pamiętać, że w swej drugiej kadencji Aleksander Kwaśniewski zmusił do ustąpienia premiera Leszka Millera, i to w chwili jego największego triumfu, czyli dzień po przyjęciu Polski do Unii Europejskiej. Tylko dzięki poparciu prezydenta

Kwaśniewskiego przez półtora roku mógł funkcjonować mniejszościowy rząd Marka Belki. A Andrzej Duda ma znacznie większe możliwości w przeciwstawieniu się różnym wersjom ataku na obecnie rządzących, niż miał Aleksander Kwaśniewski. Jest zresztą charakterystyczne, że politycy opozycji są całkiem bezradni wobec prezydenta Andrzeja Dudy i nie mają pomysłu, jak mogliby go wyeliminować w swoich planach pokojowego przejęcia władzy, a nawet zorganizowania jakiejś formy puczu.

Okazuje się, że prezydent jest kluczem do zmiany władzy i nawet gdyby opozycji udało się przejąć rządy, wcale nie byłoby łatwo przeforsować cokolwiek, na co Andrzej Duda nie wyraziłby zgody. Opozycja o tym głośno nie mówi, ale orientuje się, że prezydent jest dla niej nieprzekraczalną przeszkodą, szczególnie w planach cofnięcia prawie wszystkich reform oraz zorganizowania zemsty i odwetu, a nawet pokazowych procesów. Opozycja rozważa wprowadzić próbę usunięcia głowy państwa z urzędu albo uznania, że w 2020 r. został wybrany niezgodnie z prawem, ale to mrzonki. Tym bardziej że same próby usunięcia głowy państwa wprowadzałyby taki zamęt prawny, że nawet dla opozycji byłby to wielki kłopot, nie mówiąc już o jej sojusznikach w instytucjach Unii Europejskiej. Można się więc w tej sprawie popisywać, ale nie da się przeskoczyć prawnych ograniczeń.

Dlatego w 2020 r. zrobiono wszystko, żeby nie udało się Andrzejowi Dudzie wywalczyć drugiej kadencji. I znowu nie doceniono jego umiejętności prowadzenia kampanii, trafiania do ludzi i niwelowania przewag innych kandydatów. Wściekłość na to, że Andrzej Duda będzie głową państwa do 6 sierpnia 2025 r. wynika z uświadomienia sobie, że jest on w stanie pokrzyżować wszelkie radykalne plany. Dlatego Donald Tusk ociągał się z powrotem do polskiej polityki, bo zdawał sobie sprawę, że także on będzie bezradny wobec Dudy, choćby obiecywał nawet pozbycie się głowy państwa.

Nie da się ignorować Andrzeja Dudy w perspektywie najbliższych ponad trzech lat w polskiej i międzynarodowej polityce. I trzeba pamiętać, że mimo

różnych rozbieżności jest on istotną częścią obozu władzy, gwarantem najważniejszych elementów jego polityki.

Podobnie nie docenia się Andrzeja Dudy w różnych konfiguracjach międzynarodowych oraz w decyzjach dotyczących konkretnych ustaw, np. w sprawie tzw. lex TVN, co docenia się w instytucjach UE oraz w USA. Kpiny z tego, że Andrzej Duda nie ma żadnych szans na zrobienie międzynarodowej kariery po zakończeniu drugiej kadencji, nie biorą pod uwagę tego, co w najbliższych trzech latach może się zdarzyć, szczególnie w kontekście agresywnych działań Rosji. I nie biorą pod uwagę doświadczenia oraz kontaktów, jakie Andrzej Duda wypracował, szczególnie po 2020 r.

W polskiej polityce raczej nie będzie nikogo, szczególnie po stronie opozycji, kto byłby w stanie zastąpić Andrzeja Dudę w międzynarodowych konfiguracjach. Donald Tusk i Radosław Sikorski mogą się puszyć, że odgrywali kluczowe role i będą nadal odgrywać, ale to jednak przeszłość. Tym bardziej że osiągnięcia Tuska (jako przewodniczącego Rady Europejskiej) są wyjątkowo skromne, Sikorski zaś będzie miał kłopot nawet z poparciem własnego obozu politycznego. Sikorski był w polityce międzynarodowej tylko megalomanem, Tusk zaś nigdy nie potrafił zdyskontować formalnej władzy. Dlatego obecnie nikt na nich nie czeka. Z Andrzejem Dudą może być odwrotnie, tym bardziej że zaczął być kluczowym graczem, co ma szczególne znaczenie wobec nielojalności i oznak słabości kanclerza Niemiec Olafa Scholza oraz prezydenta (wybranego właśnie na drugą kadencję) Franka-Waltera Steinmeiera.

OTWARTE OKNO

Dla wielu Andrzej Duda może być dobrym rozwiązaniem na jakimś ważnym międzynarodowym stanowisku, łącząc dwa przeciwstawne światy i mając taki bagaż doświadczeń, jaki zdobywa m.in. obecnie, uczestnicząc w strategicznych rozmowach i grach. Może się zresztą okazać, że to nie sam Andrzej Duda będzie zabiegał o jakieś stanowiska, ale że to on będzie pożądanym kandydatem, tym bardziej że jeszcze przez ponad trzy

lata może odgrywać ważną rolę w polityce międzynarodowej, szczególnie w kontekście Rosji czy ogólnie polityki wschodniej NATO i UE. Wbrew krytykom i malkontentom historyczne okno dla Andrzeja Dudy otwiera się (i to na dłużej), a nie zamyka.

W wywiadzie dla tygodnika „Sieci” (w lipcu 2021 r.) Andrzej Duda mówił: „Nie zaprzątałem sobie tym [przyszłością] głowy. Z prostego powodu: mam obawę, że mogłoby to mnie rozpraszać i zaszkodzić mojej służbie prezydenckiej. Człowiek jest tylko człowiekiem, niekoniecznie trzeba się poddawać wszystkim próbom. Robię to, co do mnie teraz należy. A co będzie potem, będziemy się martwić, gdy przyjdzie ten moment”. Problemem jest to, że „ten moment” już przyszedł, a pozycja międzynarodowa prezydenta nie będzie słabła, więc następne ponad trzy lata będą umacnianiem jego roli i znaczenia. Pracuje nad tym m.in. były szef gabinetu prezydenta, a obecnie stały przedstawiciel RP w ONZ prof. Krzysztof Szczerski. Pracuje nad tym był ambasadorem w Szwajcarii i Turcji, a obecnie szef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta dr Jakub Kumoch. To są postaci o dużych umiejętnościach i wysokim prestiżu, zupełnie nieporównywalne z zapleczem Bronisława Komorowskiego, a nawet Aleksandra Kwaśniewskiego. I w tym kontekście oraz wskutek własnych zasług jakieś znaczące międzynarodowe stanowisko obecnego prezydenta nie jest wcale nierealne.

Gdy chodzi o prezydenturę i o to, co po niej, Andrzej Duda może być jedynym polskim prezydentem, który zrealizuje plan „na później”, co nie udało się ani Lechowi Wałęsie, ani Aleksandrowi Kwaśniewskiemu, ani Bronisławowi Komorowskiemu, a w wypadku Lecha Kaczyńskiego z wiadomych względów wszystko zostało przerwane. Nawet „Gazeta Wyborcza”, choć oczywiście prezydenta atakuje, przyznała, że „zajęcie jakiegokolwiek międzynarodowej posady przy sprzeciwie Amerykanów jest praktycznie niemożliwe. Tym bardziej że obóz PiS, w tym prezydent, jest skłócony z Unią Europejską. Duda

nie chce iść na wojnę z Amerykanami, ale liczy na przyjazny sygnał ze strony urzędników wyższego szczebla niż tylko przedstawiciel ambasady czy rzecznik Departamentu Stanu USA”. Tyle tylko, że żadnego sprzeciwu może nie być, a relacje z prezydentem Joem Bidenem są coraz lepsze. Nie musi to nawet wynikać z sympatii, lecz z gry interesów.

Andrzej Duda przez ponad trzy najbliższe lata będzie obiektywnie miał większe znaczenie niż jakikolwiek inny przywódca z Europy Środkowo-Wschodniej, interesy zaś Polski i USA są wspólne. Tym bardziej gdy nie zniknie zagrożenie ze strony Rosji. Samo to, że Andrzej Duda został wybrany na prezydenta łącznie na 10 lat, ma znaczenie dla sojuszników i jest gwarancją stabil-

Wbrew różnym opiniom Andrzej Duda nigdy nie był, a tym bardziej nie będzie do końca kadencji strażnikiem żyrandola. Jest w pełni suwerennym politykiem i nieusuwalną przeszkodą w planach Donalda Tuska

ności oraz sojuszniczej wiarygodności. Opozycja może się na to zżymać, ale nic nie poradzi. Infantylnie są więc ataki na Andrzeja Dudę, szczególnie zważywszy na to, że jest on identyfikowany z polską racją stanu oraz jest uwzględniany w dalekosiężnych planach Zachodu. Nikt rozsądny nie podważa ani międzynarodowej pozycji Polski, ani sojuszniczej pozycji Polski, której orędownikiem jest prezydent Duda.

LEPIEJ OD WAŁĘSY, KWAŚNIEWSKIEGO I KOMOROWSKIEGO

Andrzej Duda ma szansę wyłamać się z dotychczasowej praktyki prezyden-

tów, którzy po zakończeniu kadencji nie już właściwie nie osiągnęli i niczego dla Polski nie zrobili. Po odejściu z urzędu Lech Wałęsa i Aleksander Kwaśniewski zajmowali się wyłącznie zarabianiem pieniędzy, i to za wszelką cenę, Komorowski zaś robił bardzo mało, gdyż poza Polską nie jest znany i poważnie traktowany. Lech Wałęsa wprowadził w 2008 r. został członkiem unijnej rady mędrców, ale udział w niej był raczej groteską, gdyż jego „mądrości” wywoływały albo politowanie, albo żarty. Na pewno nie służyły wizerunkowi Polski jako poważnego państwa. Degradacja Wałęsy w czasie pandemii i wysiłki, żeby zarobić nawet niewielkie sumy, jeszcze pogłębiły obraz osoby żalosej, niekompetentnej i szkodzącej wizerunkowi Polski.

Aleksander Kwaśniewski po zakończeniu dwóch kadencji prezydenckich zaczął lobbować, ale nie na rzecz Polski. Krótko po odejściu z urzędu został człowiekiem oligarchy Wiktora Pinczuka, zięcia byłego prezydenta Ukrainy Leonida Kuczmy. Kwaśniewski był też przewodniczącym Europejskiej Rady ds. Tolerancji i Pojednania, której fundatorem jest Wacław Mosze Kantor, rosyjski biznesmen żydowskiego pochodzenia, prezes Europejskiego Kongresu Żydowskiego, ale przede wszystkim współwłaściciel firmy Acron, która próbowała przejąć udział w polskiej Grupie Azoty. Potem Kwaśniewski był członkiem

Międzynarodowej Niezależnej Grupy Doradczej przy prezydencie Kazachstanu Nursułtanie Nazarbajewie, czyli za pieniądze wspierał kazachskiego despotę. Kwaśniewski brał też pieniądze od ukraińskiego oligarchy Mykoły Złoczewskiego.

Z kolei Bronisław Komorowski po odejściu z urzędu jest emerytem, od czasu do czasu komentującym politykę w polskich mediach. Bez znajomości i wpływów za granicą jest bezużyteczny dla polskich interesów.

Andrzej Duda ma szansę stać się kimś ważnym po zakończeniu drugiej kadencji, co wzbudza wściekłość, skoro nie osiągnęli tego ani Wałęsa, ani Kwaśniewski, ani Komorowski. 

Ordynator w Senacie, czyli Grodzki na równi pochyłej

Miał być opozycyjną redutą, z której wyjdzie ostateczny upadek rządów PiS, bastionem liberalnej demokracji w Polsce, pokazem najwyższych standardów etosu państwowego. Po dwóch latach wokół marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego unosi się nie majestat „trzeciej osoby w państwie”, ale opinia o żenującym polityku z przzerośniętym ego, także wypowiedzana w PO. Co poszło nie tak?



JAKUB MACIEJEWSKI



WOJCIECH BIEDROŃ

Gdy prof. Tomasz Grodzki został wybrany na marszałka Senatu, całą Polskę obiegło nagranie, jak w triumfalnym geście wznosi dwa palce na znak zwycięstwa. Było to nawiązanie do zachowania Tadeusza Mazowieckiego, który w ten sposób ogłaszał zwycięstwo nad komunizmem po tym, jak został premierem. Grzegorz Schetyna miał prawo świętować – jego koncepcja zjednoczonej opozycji okazała się słuszną, choć w „pakt senacki”, czyli podział mandatów między partie antypisu, nie wierzyli nawet zaprzyjaźnieni z Platformą Obywatelską politolodzy.

Senat w rękach opozycji miał potencjał, by stać się grupą szturmową, która zatrzyma partię Jarosława Kaczyńskiego. Dla wszystkich projektów Sejmu Grodzki wstrzymywał głosowania w Senacie do ustawowego maksimum 30 dni, a wybór nowego prezesa Instytutu Pamięi Narodowej oraz Rzecznika Praw Obywatelskich wydawał się niemożliwy bez zgody marszałka Senatu – zapowiadał się państwowy pat z jednej strony i polityczna ofensywa Platformy Obywatelskiej z drugiej.

Nie minęło wiele czasu, gdy Polacy zobaczyli pierwsze pęknięcia na życiorysie i charakterze Grodzkiego, które

wkrótce obnażyły jego dramatyczny brak politycznych umiejętności.

RÓWNIA POCHYŁA

Marszałek Grodzki znany jest ze swoich wybujałych ambicji. Euforia towarzysząca jego pojawieniu się w wielkiej polityce oraz egzaltacja mediów liberalno-lewicowych sprawiły, że Tomasz Grodzki uwierzył w swoją wielkość. Wtedy rozpoczęła się równia pochyła.

Marszałek zaczął się zachowywać, jak klasyczny ordynator na oddziale prowincjonalnego szpitala, czyli swoisty Bóg i wyrocznia dla wszystkich wokół. Szybko przeprowadził kadrową rewolucję w swojej kancelarii i rozpoczął niepodzielne rządy. Z Kancelarii Senatu znikali ci, których kojarzono z administracją Stanisława Karczewskiego, poprzedniego marszałka. Zsyłano ich do innego budynku senackiego, jak najdalej od nowego marszałka. Wpływy,

a często stanowiska, tracili też ci, którzy – nawet nie będąc kojarzonymi z Karczewskim – głośno wyrażali swoje zdanie i opinie.

W styczniu br. portal tvp.info ujawnił aferę mobbingową w Kancelarii Senatu. Miała za nią stać Anna Godzwon, wszechwładna wicedyrektor Centrum Informacyjnego Senatu i „prawa ręka” Grodzkiego. Dziennikarze informowali o powołaniu specjalnej komisji, która ma zbadać zachowanie Godzwon wobec pracowników kancelarii. Ich relacje budzą grozę. Oprócz rzekomej ignorancji wicedyrektor CIS dochodzi kwestia mobbingu.

„Panuje tutaj atmosfera nieuzasadnionej i niepotrzebnej presji, ludzie dzieleni są na lepszy i gorszy sort. [...] Każdy wyjazd krajowy lub zagraniczny należy odchorowywać przez kilka dni” – relacjonował portal tvp.info słowa pracowników Godzwon.

Po wybuchu afery wicedyrektor CIS udała się na urlop, a sam Grodzki przekonywał, że komisja wyjaśni sprawę rzekomego mobbingu.

„TUSK WPAŁ WE WŚCIEKŁOŚĆ”

Styl sprawowania urzędu nawet w Platformie Obywatelskiej zaczął budzić sprzeciw. Oczywiście nie chodzi o walkę o standardy, ale o brak skuteczności i wstyd, który przyniosło jego urzędowanie.

– Te jego orędzia do narodu – zalamuje ręce jeden z „konserwatywnych” parlamentarzystów PO. – Przecież on z nikim ich nie konsultował. Wywoływały w partii zażenowanie. Świeciliśmy za niego oczami, a Grodzki bawił się w męża stanu. Wciąż jakieś pozy, pouczanie i kreowanie się na rozgrywającego – wylicza.

Pewnie dlatego pojawiły się też kłopoty z politycznym zwierzchnictwem nad Grodzkim. W Platformie mówi się, że nie chciał się zbyt szczególnie wsłuchiwać w rady Grzegorza Schetyny, ale ogólnie szanował jego przywództwo. Jeszcze większy problem zaczął się, gdy stery w PO przejął Borys Budka. Nasi rozmówcy się śmieją, że Grodzki traktował go jak dzieciaka, którego nie musi szczególnie słuchać. To się zmieniło, gdy w lipcu ubiegłego roku



w Polsce pojawił się Donald Tusk. Do historii służalczości przejdzie obrazek, na którym marszałek Senatu osobiście odprowadza do limuzyny Tuska. „Trzecia osoba w państwie” zachowywała się tak, jakby była odźwiernym lub ochroniarzem w tłumie otaczającym byłego premiera.

Sam Tusk ma z nim zresztą spory problem. Media informowały, że amerykańska, całkowicie bezsensowna, eskapada Grodzkiego i jego świty na Florydę, do Miami, w momencie gdy lada dzień mogła wybuchnąć wojna na Ukrainie, spowodowała, że Tusk miał „wpaść we wściekłość”. Z naszych informacji wynika, że chłodne podejście Tuska do Grodzkiego wywołuje w tym drugim rozczarowanie i frustrację. Nie tylko to. Grodzki nie ma własnego zaplecza politycznego ani najmniejszych szans na budowanie samodzielnego bytu wewnątrz Platformy.

Tymczasem nad głową Grodzkiego pojawiają się naprawdę ciemne chmury. W samej PO od dawna tli się bunt przeciwko marszałkowi, który uwiertzył w swe napoleońskie zdolności i znaczenie. – Nikt nie jest w stanie dziś zapewnić Grodzkiego, że znajdzie się ponownie na listach wyborczych Koalicji Obywatelskiej – mówi nam proszący o anonimowość polityk opozycji.

UWIEŻONY W IMMUNITECIE?

Powyższe zdanie jest szczególnie groźne dla marszałka Senatu. Jego najważniejsza gra dotyczy reelekcji i pozostania w parlamencie (nawet bez fotela marszałka). To dla niego kluczowe ze względu na sprawę próby uchylecia jego immunitetu. Domaga się tego Prokuratura Regionalna w Szczecinie. Chce mu postawić cztery zarzuty przyjęcia łapówek w latach 2006–2012. Zdaniem śledczych mechanizm tego przestępstwa był bardzo prosty, wręcz ordynarny.

„Jak wynika z ustaleń śledztwa, korzyści majątkowe w postaci pieniędzy w złotych i dolarach – w wysokości od 1500 do 7000 zł – lekarz przyjmował w kopertach. W zamian zobowiązywał się do osobistego przeprowadzenia operacji lub ich szybkiego wykonania, a także do zapewnienia dobrej opieki lekarskiej. W toku postępowania przygotowawczego ustalono, że w marcu 2012 r. Tomasz Grodzki przyjął 7000 zł od żony starszego mężczyzny chorującego na nowotwór za osobiste przeprowadzenie operacji. [...]” – czytamy we fragmencie komunikatu Prokuratury Regionalnej w Szczecinie.

Dziś nikt nie jest w stanie wyrokować, czy prof. Grodzki rzeczywiście przyjmował łapówki. Dziwi natomiast podejrzane procedowanie Senatu nad wnioskiem

prokuratury. W kwietniu 2021 r., czyli miesiąc po wpłynięciu wniosku śledczych do Senatu, zdecydowano tam o jego cofnięciu do prokuratury. Władze Senatu przekonywały o rzekomych brakach formalnych wniosku. Podobno uzasadnienie było „niespójne”. Jeszcze tego miesiąca śledczy skierowali więc do izby wyższej parlamentu kolejny, „uzupełniony” wniosek o uchylenie Grodzkiemu immunitetu. Mijały miesiące, a wicemarszałek Senatu Bogdan Borusewicz nie zamierzał jednak rozpatrywać wniosku. W tym czasie nawet opozycyjni senatorowie nieformalnie przekonują Grodzkiego i Borusewicza, by ci jednak poddali wniosek śledczy pod głosowanie. Pod koniec października ubiegłego roku Borusewicz informuje Prokuraturę Regionalną w Szczecinie, że postanowił pozostawić jej wniosek bez biegu. Przekonywał, że prokuratura niepoprawnie poprawiła swój pierwotny wniosek. Z proceduralnej przepychanki sprawa immunitetu Grodzkiego zamieniła się tym samym w farsę.

Prokuratura Okręgowa w Warszawie wszczęła więc śledztwo w sprawie przekroczenia uprawnień poprzez pozostawienie bez biegu wniosku prokuratury o uchylenie immunitetu Grodzkiego. Śledztwo wciąż jest prowadzone. „Sprawa jest bulwersująca dla wszystkich, zwłaszcza patrząc na stanowczość PO wobec polityków obozu rządzącego. Wystarczy doniesienia prasowe, aby pojawiała się chęć linczowania człowieka – komentowała tę senator Maria Koc z PiS. – Tutaj Platforma Obywatelska nie widzi potrzeby, żeby nakłonić pana marszałka do zrzeczenia się immunitetu, aby wyjaśnić tę sprawę. To stosowanie podwójnych standardów dla mnie jest po prostu porażające” – dodała.

DO MIAMI NA BAL

Niedawny wyjazd marszałka Senatu na Florydę jest już tylko dopełnieniem pasma kompromitacji. Co prawda uczestnictwo w polonijnym Kongresie 60 Milionów – Senat zajmuje się Polakami za granicą, a Kongres wypracowuje porozumienia z przedsiębiorcami na całym

świecie – można uznać za usprawiedliwione, ale Grodzki i tutaj musiał dopuścić się politycznego wynaturzenia. Z jednej strony czas delegacji jest głęboko niestosowny – gdy całe państwo polskie przygotowuje się na inwazję Rosji na Ukrainę, delegacja izby wyższej parlamentu publikuje zdjęcia ze swoimi uśmiechami ze słonecznego Miami. Nawet Tusk wzywa polityków do mobilizacji „wszystkich sił politycznych”, organizuje konferencję dotyczącą bezpieczeństwa, a w tym

Te jego orędzia do narodu
wywoływały w partii
zażenowanie. Świeciliśmy
za niego oczami, a Grodzki bawił
się w męża stanu. Wciąż jakieś
pozy, pouczanie i kreowanie
się na rozgrywającego
– załamuje ręce jeden
z parlamentarzystów PO

czasie inny lider PO udaje się na wesołą wycieczkę za ocean. Tę impertynencję można porównać do ucieczki Ryszarda Petru i Joanny Schmidt na Maderę, gdy opozycję opanowało protestacyjne wzmożenie w Sejmie.

Na dodatek delegacja Senatu w USA wypadła przygnębiająco słabo. Grodzkiemu towarzyszyli senatorowie: Gabriela Morawska-Stanecka, Robert Dowhan, Kazimierz Kleina, Beata Malecka-Libera. Mimo wysokiej rangi delegacji nie spotkał się z nią ani republikański gubernator stanu Floryda Ron DeSantis, ani rektor którejkolwiek z uczelni. Choć Kongres 60 Milionów odbywał się w dniach 9–10 lutego, to senatorowie zostali w Miami jeszcze trzy dni. Co wówczas robili? Oprócz kilku pomniejszych spotkań z Polonią amerykańską znaleźli jednego amerykańskiego polityka, który zechciał im poświęcić dwa kwadransy. Problem polega na tym, że burmistrz hrabstwa

Miami-Dade Daniella Levine Cava stoi w hierarchii urzędniczej dość nisko. Hrabstwo w USA to odpowiednik polskiego powiatu – to tak, jakby wicepremier Gruzji miał chwalić się wizytą u Andrzeja Opali, starosty powiatu Łódź Wschodnia. Senaccy urzędnicy od komunikacji opublikowali dumne relacje i zdjęcia, amerykańska burmistrz nie wspomniała zaś o tym ani słowem. Tego dnia wyraziła publiczne poparcie dla ustawy o... weterynarzach i zwierzętach domowych, a spotkanie z polską delegacją pozostało dla niej niegodne choćby wzmianki.

Wyglądało tak, jakby ekipa z Polski na siłę szukała spotkań z kimkolwiek, wpraszała się do urzędniczych gabinetów, by mieć pretekst do pozostania dłużej na Florydzie. Faktycznie, Grodzki po kongresie miał jeszcze trzy dni na zwiedzanie – powrót do Polski odbył się 13 lutego wieczorem. Pompatycznych przemówień Grodzkiego, w końcu trzeciej osoby w Rzeczypospolitej – nie zacytowały nawet parafialne amerykańskie gazetki. Czyż można upaść niżej, by pozwieźć słoneczny stan na południu USA? Przynajmniej dopisała pogoda, zwłaszcza 10 i 12 lutego przez cały dzień świeciło słońce, a temperatura oscylowała wokół 25 stopni.

Właściwie niedoszedłego lidera opozycji można by wysłać poza Polskę częściej – szkoda tylko nadawać temu rangę państwową, bo jednak rola „proszalnego dziada” legitymującego się mandatem do przewodzenia Senatowi RP to trochę dla Polaków wstyd.

Nasi rozmówcy z Platformy Obywatelskiej przekonują, że Tomasz Grodzki jest człowiekiem „samotnym” i „izolowanym” we własnej partii. Dzieje się tak na własne życzenie marszałka Senatu. On natomiast zamiast walczyć o pozycję, roztrwania resztki znaczenia i szacunku. Wisi nad nim jednak sprawa korupcyjna. Ta może być gwoździem do trumny dla jego kariery. Szczególnie że wydaje się, iż próbuje on celowo torpedować pracę śledczych. Czy uda mu się przedłużyć sprawę do wyborów? Możliwe, powinien jednak mieć świadomość, że partia nie zamierza za niego „umierać”.



Dramatyczne kulisy przejęcia teatru

Chce z warszawskiego teatru uczynić trybunę radykalnego feminizmu, podczas spektakli opowiadać nastolatkom o seksie, LGBT i klimacie, ma też oswajać widzów z prostytutką. Monika Strzępka właśnie została dyrektorem Teatru Dramatycznego, ale za jej nominacją stoją ludzie Rafała Trzaskowskiego, którym reżyserka ma pomóc w promowaniu tęczowo-ekologicznej agendy



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Tadeusz Słobodzianek długo nie dostrzegał zagrożenia dla swojego stanowiska. Miał powody, by być pewnym siebie. Dyrektorem Teatru Dramatycznego był od dziesięciu lat, jego sztuki wystawiano na deskach różnych teatrów od 40 lat, on sam zawsze umiał się ułożyć z władzą, a także podchwycić modne i chwytne tematy. Jedyny wyróżniony nagrodą Nike przez środowisko „Gazety Wyborczej” dramat był właśnie jego autorstwa, a poświęcony został zbrodni w Jedwabnem. Jego Teatr Dramatyczny miał niezłe sztuki i solidne or-

ganizacyjne fundamenty, a przede wszystkim publiczność i dochody z biletów.

Jednak ratusz i warszawski salon postanowiły go wymienić na kogoś bardziej rewolucyjnego, bardziej radykalnego w poglądach i zajadłego w przekazie. Zanim jednak doszło do styczniowego konkursu na dyrektora, pojawiły się znaki, że wajcha będzie przestawiona na wojujący feminizm.

DYSKRYMINUJĄCE ZASADY

Monika Strzępka nie spełniała dwóch formalnych kryteriów, by w ogóle ubiegać się o stanowisko. Nie miała potrzebnego doświadczenia ani dyplomu wyższej uczelni. Była za to współpracowniczką Słobodzianka i bardzo chciała go zastąpić. Już w listopadzie stwierdziła, że zasady konkursu ją dyskryminują (wymóg posiadania kilkuletniego doświadczenia na sta-

nowisku dyrektorskim). W wywiadzie dla lewicowej „Krytyki Politycznej” z początków listopada mówiła o tym z nonszalancją: „Naprawdę nie mam już siły wysłuchiwać treści w rodzaju, że jeśli jestem artystką, to pewnie jestem pierdo...ęta, a w najlepszym wypadku jestem oderwana od rzeczywistości i potrzebuję dużego, poważnego dyrektora, żeby mnie pilnował, bo inaczej, nie wiem – rozpie...ę kasę”.

Faktycznie środowisko artystyczne na ten wymóg narzeka – a jednak wielu potencjalnych kandydatów nie mogło liczyć na tak wyjątkową pobłażliwość, jaka spotkała Monikę Strzępkę, w jej przypadku bowiem komisja konkursowa... zmieniła interpretację wymogów. Reżyserka napisała list do ratusza, który szybko uznał, że jej doświadczenie artystyczne zostanie zaklasyfikowane tak, jakby było pracą dyrektorską, tzn. z większym zespołem.

Z innego wymogu jednak ratusz nie zrezygnował – wyższe wykształcenie było nadal konieczne. – Strzępka w pośpiesznym trybie zrobiła dyplom – opowiada tygodnikowi „Sieci” osoba, która od kilku lat pracuje w teatrze. – Tematem była... ona sama, a raczej jedna z wystawionych przez nią sztuk – tłumaczy rozmówca. Tak czy siak druga formalna przeszkoda została usunięta.

STOLIK PRETEKSTÓW

Słobodzianek był jednak nadal pewny siebie – nie sądził, że żartobliwa sprzeczka o stolik w kawiarni stanie się podstawą do ataku na niego na łamach „Gazety Wyborczej”. Incydent miał miejsce w Cafe Kulturalna, z którą teatr współpracuje. Dyrektor zwrócił uwagę, że jego ulubiony stolik został przesunięty, na co restauratorka, Agnieszka Łabuszewska, zareagowała listem otwartym do Słobodzianka. Ten jej odpisał i z wymiany ciosów o tak nieistotną sprawę zrobiła się – jak to nazwał Przemysław Gulda z „GW” – afera stolikowa. Na dramaturga rzuciły się przede wszystkim środowiska feministyczne, twierdząc, że Słobodzianek obraża i dyskryminuje kobiety, że ich nie szanuje, że jest „małym człowiekiem”.

W niewybrednych atakach i żartach ze Słobodzianka zaczęły przewijać się opinie, które już kiedyś słyszeliśmy: „Nigdy nie będziesz szła sama” czy „Piekło kobiet”. Były to hasła Strajku Kobiet i anarchistycznego nurtu feminizmu. Ostateczne rozstrzygnięcie konkursu zależało od jednej z wpływowych zwolenniczek Strajku Kobiet – wiceprezydent Warszawy Aldony Machnowskiej-Góry.

IDEOLOG TRZASKOWSKIEGO

– Aldona to szara eminencja, Trzaskowski zupełnie oddał jej pole kultury – mówi tygodnikowi „Sieci” osoba z ratusza, która zresztą uciierała na decyzjach personalnych Trzaskowskiego. – To ona odpowiada za nurt kulturalno-obyczajowy w programie Trzaskowskiego, a odkąd prezydent ją zatrudnił, systematycznie wycinała swoich przeciwników – tłumaczy

pracownik z placu Bankowego. Machnowska-Góra była związana z ideologicznie zaangażowanym nurtem teatru (którego przedstawicielem jest Strzępka), z „Krytyką Polityczną” (która promowała Strzępkę), została wiceprezydentem stolicy w apogeum Strajku Kobiet, niosącym w Warszawie skrajnie lewicową agendę. To właśnie pani wiceprezydent była jednym z członków komisji konkursowej, która rozstrzygnęła o odsunięciu Słobodzianka i mianowaniu Strzępki.

Mamy więc tu do czynienia z ruchem radykalnych feministek, które z jednej strony przy wsparciu lewicowej prasy

**Monika Strzępka
pała rewolucyjnym
zaangażowaniem i ma za sobą
młode pokolenie twórców.
Może zbyt młode, by
wiedzieć, że sztuka głęboko
upolityczniona nigdy się nie
sprawdziła. Ale przecież nie
o sztukę tu chodzi**

atakują starego dyrektora, ich sympatyczka przyczynia się zaś do skorygowania zasad konkursu na korzyść jednej z kandydatek, a potem zasiada w komisji, która przesądza sprawę – istne przejęcie instytucji, obsadzenie jej przez gorliwą wyznawczynię najbardziej radykalnych trendów w kulturze.

KULTURA NOWEGO PROLETARIATU

Sformułowana przez Strzępkę wizja Dramatycznego razi lewacką nowomową i ideologicznym zaangażowaniem. Jej teatr ma być „ekologiczny” i „ufundowany na kobiecej podmiotowości”. Autorka – być może nieświadomie – używa marksistowskiego słownictwa, zapewnia o tym, że jest „nieodzowną zmianą”. Scena Teatru Dramatycznego, do niedawna

pokazująca klasykę literatury europejskiej („Człowiek z La Manchy”, „Mistrz i Małgorzata”, „Madame”), będzie zastąpiona dziełami niczym z uaktualnionej wersji Leninowskiego Proletkultu czy referatu Andrieja Żdanowa. „Hexy” to sztuka „ekofeministyczna”, „Serce i pazur” ma pokazywać okrucieństwo PiS wobec nielegalnych imigrantów podrzuconych przez Łukaszenkę, nie zabraknie też przedstawień o „wizerunkach Matki Boskiej” oczami lewackich aktywistów. Łukasz Twarkowski ma przygotować sztukę we współpracy z prostytutkami (pardon – sexworkerkami), będą też opowieści gloryfikujące zapijaczoną i prymitywną polskość sięgającą do źródeł rabacji galicyjskiej. „Sex edukacja” w reżyserii Agaty Kozalińskiej jest kolejnym zaangażowanym projektem, który ma być alternatywą dla szkolnego „przygotowania do życia w rodzinie”.

Strzępka chce więc stworzyć instytucję totalną, ideologiczną iskrę, która będzie rozpalać emocje seksem i radykalizmem – bo raczej nie kulturą.

SZTUKA W SŁUŻBIE POLITYKI

Strzępka spłaci też długi gorliwym aktywistom, którzy pomogli jej wawansie i rozpętali niejedną burzę wokół Słobodzianka. Cafe Kulturalna („afery stolikowej”) stanie się drugim biurem dyrekcji, z dodatkowymi – oczywiście – finansami. Do teatru będą miały dostęp feministyczne i ekologiczne fundacje, stowarzyszenia i edukatorzy. Swoją trybut otrzyma także patronka „wrogięgo przejścia” teatru – wiceprezydent Aldona Machnowska-Góra. Strzępka już zapowiedziała wierność wytycznym ratusza dotyczącym polityki kulturalnej Warszawy. Trzaskowski może więc liczyć na realizowanie swojej politycznej agendy, a tani skandaliści o ekofeministycznym profilu będą mogli skakać po deskach teatru, uznając to za najwyższą jakości odkrywczą sztukę.

Strzępka pała rewolucyjnym zaangażowaniem i ma za sobą młode pokolenie twórców. Może zbyt młode, by wiedzieć, że sztuka głęboko upolityczniona nigdy się nie sprawdziła.



Odbudowa zamku to opowieść o wielkim sukcesie Polaków

Cały polski naród, miliony ludzi, którzy w akcie mobilizacji narodowej skrzyknęli się i zarówno czynem, jak i siłą woli, konsekwentną pracą doprowadzili do wskrzeszenia Zamku Królewskiego. Przypomnienie o tym wspólnym wysiłku podjętym pół wieku temu jest nam dzisiaj bardzo potrzebne

*Michał Karnowski rozmawia z prof. **Wojciechem Fałkowskim**, dyrektorem Zamku Królewskiego w Warszawie, historykiem mediewistą, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego*

Panie profesorze rozmawiamy w pana gabinecie w Zamku Królewskim wskrzeszonym z ruin, widzimy plac Zamkowy z kolumną Zygmunta.

Trudno uciec od myśli, że tego miejsca i tego miasta miało nie być. Jak pan, doskonały historyk, czuje się, pracując codziennie właśnie tutaj?

Wojciech Fałkowski: Czuję się w podwójnej roli, z jednej strony właśnie jako historyk odczuwam mocno tę dotykającą przeszłość, umiem ją odczytywać. Także jako historyk średniowiecza, bo piwnice gotyckie z XIV i początku XV w. przetrwały, są w bardzo dobrym stanie. Z drugiej strony jestem tutaj muzealnikiem, menedżerem, który myśli o przyszłości, planuje działania, wystawy i aktywności. Zamek musi być obrócony ku przyszłości, ku nowym pokoleniom.

Przyciągając młodych?

To też staramy się robić, jesteśmy aktywnie obecni w mediach społecznościowych, atrakcyjnie, w technologii 360 stopni pokazujemy zamek w internecie. Ale nasza oferta musi być szersza niż tylko odwoływanie się do historii, musi budować interesującą ofertę przyciągającą publiczność. To spięcie między tym, co było bardzo dawno oraz ze stosunkowo niedawną dramatyczną przeszłością i wspomnieniem zniszczenia i odbudowy, tworzy wyjątkowość tego miejsca. W tym roku, w rocznicę odbudowy zamku, szczególnie mocno pamiętamy o tym, że jego istnienie nie

było oczywiste. Symbol państwowości polskiej próbowano wymazać z pamięci narodowej, przez ćwierć wieku blokowano podniesienie zamku z ruin, choć wiele gmachów obok szybko odbudowano. Trudno nie dostrzec w tym dążenia do przekształcenia Polaków za pomocą inżynierii społecznej w zupełnie nowych ludzi, pozbawionych łączności z dziedzictwem poprzednich pokoleń i wyzuty z dumy z przeszłości. Zamek był i jest tej dumy symbolem.

Dlaczego Bierut i Gomułka nie chcieli odbudowy zamku?

Bierut chciał, ale w jakiejś innej formie. Na szczęście nie zdążył. Gomułka nie chciał, bo uważał to za zbytek, na który Polski nie stać.

Może świeża była jeszcze pamięć o tym, że przed wojną zamek był siedzibą prezydentów Rzeczypospolitej?

Generalnie ta niechęć wynikała chyba z przekonania, że to zbyt silny symbol dawnej Polski, jej potęgi, ambicji i wolności. Natomiast siedzibę prezydentów przypominamy w nowej ekspozycji stałej „Pokoje prezydentów II RP i władz na uchodźstwie”.

Zdecydował się pan, jako dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie, na zaskakująco duże obchody 50-lecia jego odbudowy. Dlaczego?

Bo to jest opowieść o wielkim polskim sukcesie, o narodowej determinacji, która do tego zwycięstwa doprowadziła. Uważam, że sięgając do tamtej ofiarności i przypominając tamten upór, możemy znaleźć coś bardzo ważnego: jedność społeczną i narodową. Widzimy, jak wielkie rzeczy możemy zrobić, gdy jesteśmy razem, gdy skupiamy się wokół celu.

Ale ten jubileusz ma trwać aż cztery lata.

Rozpoczęliśmy obchody w momencie 50-lecia ogłoszenia decyzji o odbudowie, zakończymy 50-leciem pierwszej wystawy w murach zamku, który wtedy był jeszcze w stanie surowym. W 1974 r. zorganizowano retrospektywę Władysława Hasiora, jego rzeźb, instalacji i obrazów. Wystawa, która zrobiła wielkie wrażenie w całej Polsce, odbiła się dużym echem ze względu na swój dramatyzm i miej-

sce, w którym była pokazywana. Nasze obchody to przypomnienie o wysiłku i sukcesie odbudowy, ale także wezwanie, byśmy zamek nadal rozwijali. Bo to nie jest struktura zakrzepła, zakończona. On ma żyć zarówno jako muzeum, lecz także jako symbol narodowy. Jako muzeum proponujemy ważne, ambitne wystawy. Jako znak narodowy chcemy być rozpoznawalni na świecie. Zależy nam, by Polacy utożsamiali się z zamkiem, z miejscem, które aktywnie tworzyło i nadal tworzy Rzeczpospolitą.

Zamek jest w 100 proc. oryginalny. Udało się bowiem odtworzyć atmosferę rezydencji królewskiej z dawnych wieków. To, że oryginalnych fragmentów zamku, cudem uratowanych, przechowanych, odkupionych gdzieś na świecie, podarowanych, jest w sumie pewnie kilkanaście procent, niczego tu nie zmienia

To są mury faktycznie gościnne dla wielu środowisk, przedsięwzięć, z różnych stron kultury, nauki, samorządności, polityki. Co chwila dostajemy zaproszenia na jakieś wydarzenie w zamku. Czy jest jednak coś, czego by pan profesor nie wpuścił w mury zamku?

Nie wpuściłbym sekciarstwa i upolitycznienia na siłę. Zamek jest częścią państwa polskiego, funkcjonuje razem z całą jego elitą polityczną. Tam, gdzie możemy to zrobić, nie naruszając pewnego immunitetu kulturalnego, otwieramy się także na przedsięwzięcia okolopolityczne.

A jaki jest klucz do wystaw, które w ostatnich latach stają się wydarzeniami, przyciągają tłumy, najnowsze to Caravaggio, Rubens, Uccello.

Liczę, że to dopiero początek, bo tę pozycję zamku jako partnera w sferze wystaw dopiero wykuwamy. Nie mamy tak bogatej kolekcji, by móc konkurować czy wymieniać się z najlepszymi rezydencjami królewskimi. Staramy się to nadrobić zakupami, które rozwijamy dzięki subwencjom rządowym. Największym atutem w zabiegach o pokazywanie w naszych murach dzieł sztuki światowej klasy jest legenda, mit miejsca symbolu narodowego, podniesionego tak perfekcyjnie z ruin wysiłkiem narodu.

Klasyczne muzea na świecie takiego atutu nie posiadają. Przy wystawach kluczowe jest też planowanie i ciągłość pracy. O wystawie Caravaggia rozmawiałem trzy lata wcześniej. „Madonnę z dzieciątkiem” Paola Uccella miałem w rękach pierwszy raz także trzy lata temu. Na te sukcesy trzeba dużo czasu, cierpliwości i umiejętności przekonywania partnerów, że Zamek Królewski w Warszawie daje im wartość dodatkową, wystawa u nas wzbogaca historię ich kolekcji.

Kto tak naprawdę odbudował zamek? Edward Gierek? Władze? Partia komunistyczna? Komitet społeczny?

Zamek odbudowali Polacy skupieni wokół Obywatelskiego Komitetu Odbudowy. Cały polski naród, miliony ludzi, którzy w akcie mobilizacji narodowej skrzyknęli się i zarówno czynem, jak i siłą woli, konsekwentną pracą doprowadzili do jego wskrzeszenia. Dawali pieniądze, stawiali do pracy tu na miejscu jako wolontariusze, osoby pomocne w poszczególnych zadaniach. Cech Złotników, Zegarmistrzów, Optyków, Grawerów i Brązowników ofiarował zegar, który do dzisiaj pracuje na wieży zamkowej. Polacy pilnowali przedsięwzięcia budowlanych, wykonawców i podwykonawców, żeby dotrzymane były terminy i zachowana najwyższa jakość, co w czasach PRL nie było łatwe. Zamek podnosił się z ruin na oczach Polaków, stale tu obecnych, niejako nadzorujących postępy prac i przez to podkreślających wagę

przedsięwzięcia. Było to w powszechnym odczuciu dzieło ważne, potrzebne i oczekiwane.

Pan profesor był wtedy studentem, potem współpracownikiem opozycji demokratycznej w Polsce, KOR, Solidarności, na kilka lat stracił pan z tego powodu pracę. Przychodził pan tutaj?

Tak, bywałem tu jako student, a jeszcze wcześniej z rodzicami, kiedy nie mogliśmy zrozumieć tego absurdu, jakim było zostawienie tej dziury w sąsiedztwie pięknie odbudowanego Starego Miasta. Wyrwa w tkance miejskiej i historycznej była oczywista, bolesna.

To były naprawdę społeczne pieniądze? Dziś koszt odbudowy Pałacu Saskiego szacuje się na miliard obecnych złotych.

Myszę, że w przypadku Zamku Królewskiego to byłoby nawet więcej niż miliard współczesnych złotych. Większość wydanej kwoty to był naprawdę wysiłek społeczny i zbierane pieniądze, ale u progu lat 80., po stanie wojennym i znacznym wtedy zubożeniu społeczeństwa, konieczne było wsparcie państwa. I ono zostało udzielone.

Czy to prawda, że tuż po wojnie były projekty postawienia tu czegoś, co by tylko do zamku nawiązywało, a było siedzibą komunistycznych władz państwowych?

Zaraz po wojnie chciano postawić w tym miejscu jakiś hotel, a potem pałac kultury w typie sowieckim. Podczas odbudowy pojawiła się koncepcja, by w gmachu ulokować siedzibę Rady Państwa. Dotychczas w części zaplecza administracyjnego zamku są łazienki, które miały być częścią apartamentów dla oficjeli PRL. Budziło to jednak duży opór społeczny i sprzeciw komitetu obywatelskiego. Wszyscy podzielali zdanie, że to musi być dobro ogólnonarodowe, otwarte, służące kulturze, wszystkim Polakom.

Do 1961 r. działała Pracownia Projektowa „Zamek”, część przedsiębiorstwa Pracownia Konserwacji Zabytków, skupiająca się na opracowywaniu planów odbudowy. Ten wysiłek nie poszedł na marne? Został wykorzystany?

Ten wysiłek długo wydawał się niepotrzebny, bardzo pracochłonne

opracowania, szkice i projekty zaległy w archiwach. Ale gdy zapadła decyzja o odbudowie zamku, okazały się bezcenne. Gdyby nie ta praca, którą wykonano na początku lat 50. i 60., odbudowa nie poszłaby tak szybko. Tempo było ekspresowe, bo skończono rekonstrukcję w ciągu 12 lat, dotrzymując najwyższych standardów. Okazało się to możliwe właśnie dlatego, że wykorzystano prace studialne, dokumentacyjne i architektoniczne wykonane znacznie wcześniej. Ta wiedza o tym, co już jest, co można wykorzystać, była także w głowach ekipy, która uparcie dążyła do

Na pewno gdybyśmy stanęli współcześnie przed zadaniem odbudowy zamku, byłoby to dużo trudniejsze niż w latach 70. i 80., kiedy te tradycje jeszcze trwały. Te 50 lat to ogromna przepaść w tym obszarze. Coraz trudniej o stolarzy, złotników, kowali, którzy umieliby zrobić przedmiot dokładnie tak samo, jak robiono to 200–300 lat wcześniej

odbudowy zamku, z profesorami Stanisławem Lorentzem, Janem Zachwatowiczem i Janem Bogusławskim na czele. To była bardzo zgrana drużyna, mimo nieuniknionych sporów, czasem kłótni, doprowadzili to wspólnie do końca.

Dlaczego Edward Gierek zgodził się na odbudowę Zamku Królewskiego? Rzucił to hasło? Za Gomułki urządzono na miejscu zamku betonowy skwer, który symbolizował w oczach Polaków zarzucenie pomysłu.

Edward Gierek zdecydował się na ten ruch z powodów oczywistych: szukał czegoś, co da mu w oczach Polaków pa-

triotyczną legitymizację, wzmocni go społecznie, uwiarygodni po masakrze na Wybrzeżu w grudniu 1970 r. I trzeba powiedzieć, że wybrał trafnie. Zaangażował się też w to dzieło Józef Kępa, I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Jedynym wystającym ponad skwer elementem był fragment ściany z oknem mieszkania, w którym mieszkał Stefan Żeromski. Ten element został w murach zamku?

Tak, ta ściana została potem pieczołowicie wkomponowana w strukturę odbudowywanej konstrukcji, co zresztą wymagało mistrzostwa sztuki inżynierskiej, trzeba było ją bowiem wyprostować i „wkleić” w nową ścianę. Można powiedzieć, że ten kawałek muru to alegoria losu polskiej inteligencji, mimo dramatycznych losów przetrwał i posłużył do odtworzenia wielkiego dzieła z przeszłości. Włączenie tego fragmentu w odbudowany zamek to symbol połączenia starych i nowych czasów, trwałości naszych obowiązków wobec państwa i narodu.

Trzeba pamiętać, że społeczeństwu polskiemu bardzo zależało, by powstał prawdziwy zamek, jak najbardziej podobny do przedwojennego. Stąd ogromny nacisk na precyzję odbudowy, na odtworzenie gmachu z konieczną maestrią, wiernością w stosunku do oryginału. I to się udało, także dlatego, że tak silny był odzew społeczny,

że Polacy dali na to przedsięwzięcie nie tylko pieniądze, lecz również umiejętności, talenty i materiały. Zgłaszano np. gotowość ofiarowania wysokiej jakości drewna leżakującego przez wiele lat.

Jak zachowała się wobec idei odbudowy emigracja?

Tuż po ogłoszeniu decyzji o odbudowie zamku pojawiły się głosy, że należy się wstrzymać z udziałem w tej akcji, bo tak jest właśnie ten polityczny cel Gierka, a efektem może być wzmocnienie władzy komunistycznej. Obawiano się, czy zebrane środki nie zostaną zmarnowane. Z biegiem czasu, po dostrzeżeniu, z jakim



entuzjazmem Polacy w kraju podjęli to zadanie, także obawy emigracji zostały rozproszone i odbudowa jest w części również jej zasługą.

Jak dużo dawnego, autentycznego zamku jest w nowym? Tuż po wybuchu II wojny światowej wywieziono trochę najcenniejszych obrazów, choćby arasy. Potem, gdy Zamek Królewski płonął po niemieckim bombardowaniu, jego opiekunowie ratowali, co się dało. W jednej z takich akcji, w czasie nalotu 17 września, zginął kustosz zamku Kazimierz Brokl. Potem jego współpracownicy próbowali chować co się dało aż do wysadzenia murów przez Niemców już po powstaniu warszawskim.

O wspaniałej postaci Kazimierza Brokla stale pamiętamy. Jest kamień jemu poświęcony przy bramie, w której pobliżu zginął. Co roku składamy kwiaty i upamiętniamy poległego kustosza zamku minutą ciszy.

Ale na pana pytanie odpowiem jasno i zdecydowanie: uważam, że zamek jest w 100 proc. oryginalny. Udało się bowiem osiągnąć cel najważniejszy, czyli odtworzyć i zachować atmosferę rezydencji królewskiej z dawnych wieków. To nie jest żadne nawiązanie, kopia czy sentymentalna rekonstrukcja, lecz autentyczna rezydencja króla i instytucji przedstawicielskich dawnej Rzeczypospolitej, czyli Sejmu i Senatu. Chodząc po tych salach, możemy mieć pewność, że tak było, że tutaj działa się nasza historia. To, że oryginalnych fragmentów zamku, cudem uratowanych, przechowanych, odkupionych gdzieś na świecie, podarowanych

Bierut chciał zamek odbudować, ale w jakiejś innej formie. Na szczęście nie zdążył. Gomułka nie chciał, bo uważał to za zbytek, na który Polski nie stać. Gierek się na to zdecydował, bo uważał, iż w ten sposób wzmocni swoją społeczną legitymizację

jest w sumie pewnie kilkanaście procent, niczego tu nie zmienia. One posłużyły jako model do odtworzenia. Tylko uważny obserwator może to dzisiaj dostrzec, przez inny odcień kolorystyczny np. złocienia. Te stare są ciemne, intensywnie miodowe. Te nowe bardziej promienne, słoneczne.

Możemy też zobaczyć oryginalnego orla z zaplecka tronu króla Stanisława Augusta Poniatowskiego w pięknej Sali Tronowej. Było tych orłów 86, miały bogatą i symboliczną historię. Za czasów pruskich zostały zaczernione, by przypominały niemieckie, wywiezione po wybuchu I wojny światowej do Rosji. Wróciły na mocy traktatu ryskiego. A Niemcy je bezpowrotnie rozgrabili.

Osobiście zrywał je w 1939 r. Hans Frank i rozdał niemieckim oficerom „na pa-

miątkę”. Straszna symboliczna scena. Udało się te orły dokładnie odtworzyć dzięki temu, iż jeden z nich w cudowny sposób odnalazł się po wojnie w Stanach Zjednoczonych, został odkupiony przez Polaka, a w 1991 r. ofiarowany zamkowi.

Czy dziś umielibyśmy tak odbudować zamek? Zrekonstruować detale, arcydzieła?

Orły akurat tak, bo sztuka haftu jest kontynuowana, także w zamku. Chcemy bowiem odtworzyć Salę Tronową z czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego bez

późniejszych zaborczych naleciałości, a to wymaga utrzymania znakomitej pracowni hafciarskiej. Natomiast problem zanikających zawodów rzemieślniczych jest rzeczywiście coraz większy. Coraz trudniej o stolarzy, złotników, kowali, którzy umieliby zrobić przedmiot dokładnie tak samo, jak robiono to 200–300 lat wcześniej. Na pewno gdybyśmy stanęli współcześnie przed zadaniem odbudowy zamku, byłoby to dużo trudniejsze niż w latach 70. i 80., kiedy te tradycje jeszcze trwały. Te 50 lat to ogromna przepaść w tym obszarze.

Już w tym stuleciu Litwini odbudowali Zamek Dolny w Wilnie, historyczną siedzibę królów polskich i książąt litewskich. Oczywiście to nieco inna historia, bo obiekt nie istniał kilkaset lat, dowolność rekonstrukcyjna była więc duża.



Początek prac budowlanych 1971

Montaż hełmu
na wieży Zegarowej
VII 1974

Ale mimo wszystko ciekaw jestem opinii pana profesora na temat efektu, jeśli pan tamten zamek widział?

Widziałem. I uchylił się od porównań czy oceny, bo wybrano tam zupełnie inne podejście, inny sposób traktowania przestrzeni historycznej, zdecydowanie bardziej swobodny.

To kwestie aktualne i dzisiaj, bo przed nami odbudowa Pałacu Saskiego. Mamy już uchwaloną przez parlament i podpisaną przez prezydenta ustawę w tej sprawie. Jak do tego podejść?

Dwa wnioski nasuwają się natychmiast. Pierwszy – nie wolno dopuścić, by powstały dekoracje teatralne, rażące swoim brakiem autentyzmu. Myślę zarówno o wyglądzie całej bryły, jak i wszystkich detali. Drugi wniosek – nie należy się w tym przypadku silić na odtwarzanie wnętrza historycznych. Postulowałbym stworzenie bardzo dobrej, solidnie wykonanej i wiernie odtworzonej bryły zewnętrznej, z precyzyjnie wykonanymi elementami rzeźbiarskimi, stiukami, gzymsami i rzezbami. Natomiast wewnątrz proponowałbym oszczędne, pasujące zarówno do dawnej epoki, jak i wymagań współczesności.

Pałac Saski wysadzili Niemcy, Zamek Królewski też, bez żadnego związku z działaniami wojennymi, już po powstaniu. Niemcy nie powinni zapłacić za odbudowę tych zabytków?

Uważam, że Pałac Saski powinniśmy odbudować sami, a Niemcy powinni nam zapłacić znacznie więcej, bo koszt tej inwestycji, choć ogromny, to zaledwie ułamek tego, co są winni Polsce.

Warto przypomnieć, że pan profesor był członkiem zespołu, który badał



wojenne straty Warszawy w okresie, gdy prezydentem stolicy był śp. Lech Kaczyński.

Tak i dobrze rozumiem, że celem władz niemieckich było zniszczenie polskiego dziedzictwa kulturowego, spowodowanie nas do poziomu niewolników. Stąd skala strat jest ogromna, a pamięć o tym wciąż żywa i ważna. Podstawowy dług Niemców wobec Polaków wynika z winy moralnej, za tym powinno iść zobowiązanie do naprawienia strat i zadośćuczynienia.

Przypomina współczesnym warszawiakom i turystom tamten społeczny zryw jedna z oryginalnych skarbonek z lat 70., która stała na dziedzińcu zamku. I znowu można wrzucać pieniądze. Na jaki cel? Coś jeszcze jest do zrobienia? Ostatnim elementem odbudowy było przecież odtworzenie Arkad Kubickiego.

Ta skarbonka to bardziej symbol. Konieczne są pewne remonty techniczne, choćby naprawa lub wymiana stolarki okiennej, unowocześnienie klimatyzacji. W części gospodarczej ogrodów chcielibyśmy postawić wielofunkcyjny budynek z pracowniami konserwatorskimi oraz pokojami do pracy i noclegu dla naukowców. Bo zamek ma także obowiązki naukowe. Naszym zadaniem jest propagowanie historii i kultury polskiej, wpisywanie ich w dzieje uniwersalne.

Tego bez zaproszeń dla naukowców, konserwatorów, muzealników z całego świata zrobić się nie da. Dużo uwagi poświęcamy wzbogacaniu naszych kolekcji. Zakupy wybitnych dzieł sztuki to dziś główny kierunek współczesnej „rozbudowy” zamku, możliwy dzięki hojnym dotacjom na ten cel Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Jakie plany ma dyrekcja zamku na najbliższe lata?

W roku 2022 będziemy chcieli mocniej umiejscowić w świadomości społecznej nasze skarby: obrazy Canaletta, zamkowego malarza, i Norblina, który również chadzał tymi korytarzami. Mamy też bibliotekę Stanisława Augusta Poniatowskiego, która cudem przetrwała wojnę jako jedyne wnętrza w kompleksie zamkowym. Na wystawie pokażemy gabinet naukowy króla służący do spotkań z intelektualistami i jego przyjaciółmi. Pozostajemy zatem w kręgu historii zamku, ale w wymiarze uniwersalnym, zrozumiałym i czytelnym także dla gości z zagranicy. Równolegle będziemy nadal przygotowywali małe pokazy arcydzieł w stałej trasie zwiedzania. Ten rok zaczęliśmy Uccellem, wkrótce przybędzie „Kornelia Matka Grakchów” Angeliki Kauffmann. To wspaniały obraz klasycystyczny, który pasuje do wnętrza ostatniego polskiego monarchy i zarazem wpisuje się w główny nurt sztuki europejskiej. Na następne miesiące szykujemy kilka kolejnych pięknych niespodzianek. Bardzo wszystkich zapraszam, a tym, którzy mają w rodzinnych archiwach cegielkę potwierdzającą wpłatę na rzecz odbudowy zamku, przypominam, iż po okazaniu takiego dokumentu będą mogli wejść za darmo wraz z trzema innymi członkami rodziny.

Wielkie wyludnienie

*Ludność krajów Europy
Wschodniej i Południowo-
Wschodniej wciąż się
kurczy. Wskaźniki urodzeń
są dramatycznie niskie.
Społeczeństwa szybko się
starzeją. A co roku setki tysięcy
ludzi emigrują na Zachód*



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Jeszcze w tym roku ludność świata przekroczy 8 mld. W ciągu zaledwie dwóch dekad wzrosła ona aż o jedną trzecią. Według demografów do końca obecnego stulecia na świecie będzie nas nawet 11 mld. Ale wzrost ludności nie dotyczy wszystkich regionów. Ludność rośnie głównie w krajach rozwijających się, w Afryce i części Azji, podczas gdy gdzie indziej się kurczy. Współczynnik dzietności w Europie, Ameryce Północnej i Azji Wschodniej utrzymuje się stale poniżej 2,1 urodzenia na kobietę, czyli poniżej poziomu gwarantującego zastępowalność pokoleń przy stałym współczynniku umieralności. Liczba urodzeń we Włoszech spadła w ubiegłym roku do poziomu najniższego od zjednoczenia kraju w 1861 r. (1,24 urodzenia na kobietę), Japonia rozpoczęła stulecie ze 128 mln obywateli, ale do 2050 r. ta liczba ma spaść do 106 mln. Populacja Chin osiągnie najwyższy poziom (1,45 mld) w 2030 r., ale potem czeka ją już tylko spadek, jeśli władzom w Pekinie nie uda się podnieść poziomu dzietności. Pod koniec stulecia Chiny mogą mieć już tylko 600 mln mieszkańców. Także Indie zaczną się za dwie, trzy dekady kurczyć.

JEDNO MIASTECZKO ROCZNIE MNIEJ

Proces kurczenia się ludności jest krajom Europy Środkowej i Wschodniej dobrze znany. Według szacunków ONZ od lat 90. region stracił 18 mln mieszkańców. A prognozy na przyszłość nie napawają optymizmem. Do 2050 r. liczba ludności Bułgarii ma się zmniejszyć o 22,8 proc., Litwy o 22, Łotwy o 21,6, Ukrainy o 19,5, a Serbii, Bośni i Chorwacji o 18 proc. Według Federalnego Instytutu Badań Ludnościowych (BiB) w Wiesbaden aż 18 krajów Europy dotkniętych jest spadkiem liczby ludności. Sześć innych, w tym Niemcy, nie kurczy się tylko dlatego, że ujemny bilans ludności równoważy – jak na razie – imigracja, ze wszystkimi skutkami, które to za sobą pociąga. Tej masowej imigracji kraje wschodu

Europy nie doświadczają. Wręcz przeciwnie, to ich mieszkańcy wyjeżdżają w poszukiwaniu lepszego jutra tam, gdzie pensje są wyższe, a zabezpieczenia socjalne lepsze. Według raportu ONZ z 2019 r. w regionie znajduje się dziewięć z 10 krajów o najszybciej kurczącej się populacji na świecie.

Za tymi statystykami stoją dwa duże trendy: emigracja na Zachód i spadające

Według Banku Światowego ludność Serbii, która obecnie sięga ok. 7 mln, zmaleje do 2050 r. do 5,8 mln. Jak podkreślił prezydent Aleksandar Vučić, „tracimy jedno miasteczko rocznie. Każdego dnia jest nas o 103 osoby mniej”

wskaźniki dzietności. Miliony młodych ludzi wyjeżdżają ze wschodu Europy do bogatszych gospodarek Zachodu. Jednocześnie pozostali mają mniej dzieci niż poprzednie pokolenia. Czynniki te połączyły się, tworząc tempo spadku liczby ludności niespotykane w czasach pokoju. Najbardziej dramatyczna sytuacja panuje w Bułgarii, na Bałkanach i w państwach bałtyckich. Liczba zgonów w Serbii wyniosła w minionym, pandemicznym roku 115 tys., prawie dwa razy więcej niż liczba narodzin (62 tys.). Do tego między 50 a 60 tys. Serbów wyjechało na Zachód w poszukiwaniu pracy. Według Banku Światowego ludność Serbii, która obecnie sięga ok. 7 mln, zmaleje do 2050 r. do 5,8 mln. Jak podkreślił prezydent Aleksandar Vučić, „tracimy jedno miasteczko rocznie. Każdego dnia jest nas o 103 osoby mniej”.

Jednym z tych straconych miasteczek jest Blagojev Kamen na wschodzie kraju. Niegdyś działała tu kopalnia, szkoła, przychodnia. Ponad 200

rodzin miało tu swój dom. Teraz miasteczko stoi prawie zupełnie puste. Jego mieszkańcy wyjechali – albo do większych miast, albo za granicę. Przy czym wyjeżdżają ci lepiej wykształceni, bardziej zmotywowani i wykwalifikowani. Zostają ci, którzy nie mają dokąd się udać i za co. „Jest to prawdziwy drenaż kapitału ludzkiego” – uważa Wolfgang Lutz, austriacki ekspert ds. demografii w Międzynarodowym Instytucie Stosowanej Analizy Systemów (IIASA). Rząd Serbii próbował zahamować ten trend, oferując korzyści finansowe parom wielodzietnym, darmowe zabiegi in vitro, remonty szkół i żłobków, pomoc rodzinom na obszarach wiejskich lub wspieranie przedsiębiorstw na wsiach. Bezskutecznie. Wskaźnik urodzin utrzymuje się na poziomie 1,48 dziecka na kobietę, a średni wiek ludności wynosi 43 lata. Ludność Serbii starzeje się w przyspieszonym tempie, a młodzi uciekają za granicę. Negatywne trendy demograficzne były, zdaniem ekspertów, widoczne jeszcze za czasów Josipa Tito w latach 70. Wojna i rozpad Jugosławii w latach 90. tylko przyspieszyły ten proces.

Sąsiednia Chorwacja ma podobne problemy. 15 proc. z jej 3,8 mln mieszkańców na stałe przebywa i pracuje za granicą. Część gasterbeiterów, którzy wyjechali w poprzednich dekadach na Zachód za chlebem, wprawdzie teraz wraca, ale są to emeryci. Ich dzieci nie wracają. Chorwackie wsie pustoszeją w zaskakującym tempie. Ludność kraju zmniejszyła się o 10 proc. na przestrzeni ostatniej dekady. Emigracja i spadający wskaźnik urodzeń powodują zamykanie szkół, szpitali i ośrodków zdrowia, co z kolei przyspiesza odpływ ludności z obszarów wiejskich i starzenie się populacji. Błędne koło, z którego trudno znaleźć wyjście.

W Bośni i Hercegowinie, jak wynika z badań ONZ opublikowanych w listopadzie ubiegłego roku, aż 47 proc. osób w wieku 18–29 lat planuje emigrację na Zachód. Jako powód wyjazdu ankietowani podali nadzieję na stabilne środowisko życia, pracę odpowiadającą własnym kwalifikacjom, a także potrzebę „życia w mniej skorumpowa-

nym społeczeństwie”. Od chwili wojny w dawnej Jugosławii ludność Bośni zmalała o milion.

GDZIE SIĘ WSZYSCY PODZIAŁI?

Prowincja Widyń na północnym zachodzie Bułgarii to najbiedniejszy region w najbiedniejszym kraju Unii Europejskiej. Według portalu Balkan Insight liczba mieszkańców prowincji zmniejszyła się na przestrzeni ostatnich 35 lat o połowę – z 162 do 85 tys. Pracy brakuje, a kto może, wyjeżdża i już nie wraca. „Widyń – zaznacza portal – jest martwe”. „Ludzie opuszczają prowincję w poszukiwaniu dobrobytu, a ponieważ wyjeżdżają, prowincja zamiast się rozwijać, pogrąża się w stagnacji. Populacja Widyń zmniejsza się szybciej niż reszta Bułgarii, choć ta ma najszybszy spadek populacji w UE, a nawet na świecie. Można powiedzieć, że Widyń jest światową stolicą spadku liczby ludności” – czytamy.

Najnowszy spis ludności Bułgarii, przeprowadzony w 2021 r., którego wstępne wyniki zostały opublikowane na początku lutego, pokazuje, że w ostatniej dekadzie Bułgaria straciła 11,5 proc. mieszkańców. Bułgarów jest dziś 6,5 mln. W 2011 r., w chwili ostatniego spisu ludności, było to jeszcze 7,3 mln. A w 1985 r., w szczytowym okresie wzrostu ludności, nawet 8,9 mln. Powód? Narodowy Instytut Statystyczny wskazał niski wskaźnik urodzeń, wysoką śmiertelność i emigrację jako kluczowe czynniki obecnego niżu demograficznego. 23,9 proc. populacji ma ponad 65 lat, a tylko 14 proc. mniej niż 17 lat. Ok. 74 proc. ludzi mieszka w miastach. Najmocniej depopulacja jest dotknięta północ kraju, takie prowincje jak Widyń czy Dobricz. Niektórzy bułgarscy demografowie, jak Georgi Burdarov z Uniwersytetu Sofijskiego im. św. Klemensa z Ochrydy, uważają, że krajowi potrzebna jest „potężna fala imigrantów”. Skąd? Wszystko jedno,

byleby uzupełnili demograficzne braki. Na to się jednak obecnie nie zanoszą. Wraz z wejściem do europejskiej wspólnoty Bułgaria stała się strażniczką granic zewnętrznych UE, co miała zresztą okazję sprawdzić w praktyce podczas kryzysu migracyjnego w 2015 r. Ponadto Syryjczycy, Afgańczycy czy Irakijczycy, którzy przedzierają się z Turcji do UE, marzą o lepszym życiu w Berlinie i Paryżu, a nie w Sofii.

Władze próbują wymusić zmianę demograficzną, wprowadzając premie za rodzenie dzieci i inne zasiłki dla rodzin czy matek. „To niestety zupełnie nie działa” – uważa Alanna Armitage, dyrektor Funduszu Ludnościowego Narodów Zjednoczonych (UNFPA) na Europę Wschodnią. „Im szybciej zdamy sobie sprawę z tego, że rozwiązywanie problemów demograficznych nie polega na zwiększaniu wskaźnika urodzeń, tym szybciej będziemy mogli się skupić na tym, co naprawdę daje rezultaty: na tworzeniu krajów, w których ludzie chcą mieszkać i zakładać rodziny” – uważa Armitage. A to oznacza konieczność przeprowadzenia reform i walki z korupcją. „Z zamożnych, bezpiecznych, demokratycznych krajów – przekonuje dyrektor UNFPA – nikt nie ucieka”.

ZNIKAJĄCY KRAJ

Licząca mniej niż 2 mln mieszkańców Łotwa jest jak najbardziej demokratyczna. Jest też zdecydowanie zamożniejsza od Bułgarii. Tymczasem od czasu przystąpienia do Unii Europejskiej w 2004 r. kraj stracił 17 proc. swojej ludności; tylko sąsiednia Litwa straciła więcej. W 2020 r. Łotwa odnotowała najniższą liczbę urodzeń od stulecia i największy spadek liczby ludności w UE, wynoszący 0,8 proc. Portal Politico nazwał z tej okazji Łotwę „znikającym krajem”. Pierwsza połowa 2021 r. była jeszcze gorsza, z dwukrotnie większą liczbą zgonów niż urodzeń. Równie poważny

i niepokojący problem to szybkie starzenie się ludności. Już w 2030 r. ponad jedna czwarta ludności Łotwy będzie w wieku powyżej 65 lat. Władze w Rydze mają nadzieję, że uda im się odwrócić ten negatywny trend. Ponad 300 tys. Łotyszy żyje za granicą, głównie na Zachodzie. Rząd chce ich ściągnąć z powrotem do kraju, obiecując pomoc w znalezieniu pracy czy mieszkania i oferując darmowe kursy językowe. Ale to okazuje się – jak dotąd – niewystarczające. Nie jest bowiem w stanie przysłonić faktu, że płaca minimalna na Łotwie jest trzykrotnie niższa niż w Niemczech czy Irlandii, dokąd większość Łotyszy wyemigrowała. Nawet podczas pandemii, kiedy zamknięte granice utrudniały emigrację, więcej ludzi opuściło kraj, niż wróciło do domu. Exodus jest oczywiście największy w regionach wiejskich. Łatgalia, region wysunięty najbardziej na wschód, stracił 30 proc. swojej ludności. Emigracja młodych powoduje, że w kraju brakuje lekarzy i pielęgniarek. A według Głównego Urzędu Statystycznego do 2027 r. wyjedzie kolejnych 90 tys. osób w wieku produkcyjnym. Rząd podwoił zapomogę dla rodzin i twierdzi, że liczba rodzin wielodzietnych powoli rośnie. Ale zbyt wolno, by wyrównać braki.

Wyludnienie to poważne zagrożenie dla państw bałtyckich, gdzie żyje ponad milion etnicznych Rosjan, z czego większość właśnie na Łotwie i w Estonii. Tą mniejszością rosyjskojęzyczną kremłowskie media próbują manipulować. Wiele z tych osób to bezpaństwowcy, którzy odmówili przejścia przez proces nabywania obywatelstwa po upadku Związku Radzieckiego. Wpływy rosyjskie wprawdzie w krajach bałtyckich maleją, ale jeśli negatywne trendy demograficzne się nie odwrócą, nie będzie kogo bronić przed imperialnymi zapędami Kremla. /

W lutym jest dobrze dopóki...
masz **SIECI** i 3 e-booki

Zamów już dziś na

www.siecpzyjaciol.pl





Fot. Shutterstock

Jesteś Europejczykiem? Walcz z (obecną) Unią!

Władze UE powtarzają nadal swoje neoliberalne zaklęcia. Niech bogaci stają się coraz bogatsi, a biedni biedniejsi! Niech człowiek zostanie zredukowany do roli konsumenta!

Jednym z najbardziej skandalicznych oszustw kolportowanych przez władze Unii Europejskiej i jej podopiecznych jest kwalifikowanie wszystkich, którzy krytykują działanie UE, jako eurosceptyków czy wręcz przeciwników Europy. Tymczasem to właśnie obecna polityka Unii prowadzi do zguby i upadku wspaniałą ideę europejską.

Wystarczy wziąć trzy sektory działania Unii Europejskiej, aby się przekonać, że obecna polityka Brukseli jest wręcz karygodna.

Polityka gospodarcza jest nieefektywna, krótkowzroczna i niesprawiedliwa. UE stara się doprowadzić do powstania Europy na wzór amerykań-



BERNARD MARGUERITTE

skiego mdłego „melting pot” i walczy z Europą ojczyzn.

W dziedzinie obyczajów Unia odrzuca wartości chrześcijańskie i promuje Europę antyreligijną i materialistyczną. W kolejnym felietonie napiszę o działaniach UE niszczących ojczyznę i wartości chrześcijańskie – fundamenty Europy.

Dziś pragnę się skoncentrować na polityce gospodarczej Unii. Nie zauważyła ona, że król jest nagi i że system neoliberalny już implodował, tak jak 30 lat temu implodował system komunistyczny. Skądinąd św. Jan Paweł II dawno już wykazał, że ideologia ta jest tak samo szkodliwa, jak był komunizm. W maju 1996 r. w Lublanie papież ostrzegł Słowenów, aby po uwolnieniu się od ideologii komunistycznej „nie zastąpili jej inną, nie mniej niebezpieczną, ideologią niepokohamowanego liberalizmu”. Podobnie dwa lata później Ojciec Święty życzył Kubańczykom, żeby zaznali wolności, lecz odrzucili „kapitalistyczny neoliberalizm, który podporządkowuje

Autopromocja

osobę ludzką i rozwój społeczeństw śle-
pym siłom rynku”.

Aliści Stany Zjednoczone zrozu-
miały, że globalizacja neoliberalna była
wielką pomyłką; ściągają z powrotem do
kraju firmy, które przeniosły produkcję
do Chin czy do innych krajów low-cost
Azji. Plące tam wzrosły, koszty trans-
portu się zwiększyły, a przede wszyst-
kim ta polityka doprowadziła do deindus-
trializacji kraju macierzystego i do
pauperyzacji społeczeństwa, które i tak
nie mogło kupić w dostatecznej ilości
dóbr produkowanych tanio, ale daleko.
Balon neoliberalizmu pękł. Ale nie dla
władz Unii Europejskiej.

One nadal powtarzają swoje
neoliberalne zaklęcia. Niech
bogaci stają się coraz bogatsi,
a biedni biedniejsi! Niech czło-
wiek zostanie zredukowany do
roli konsumenta! Nigdzie nie jest
to tak jaskrawe jak w przypadku
polityki rolnej Unii: promowane
jest rolnictwo zindustrializowane,
ogromnych farm – bogatych firm.
80 proc. dotacji europejskich idzie
do 20 proc. firm rolniczych, potęż-
nych i wpływowych, a do 80 proc.
gospodarstw małych i rodzinnych
trafia 20 proc. budżetu. To prosta droga
do upadku rolnictwa opartego na ro-
dzinnych gospodarstwach, które mają
większe możliwości produkcji ekolo-
gicznej i bio. To nie tylko ma wpływ
na stan zdrowia ludności, zmuszonej
do jedzenia produktów wytwarzanych
masowo o wątpliwej jakości, lecz jest
to także de facto kontynuacja polityki,
wbrew wszelkim zapewnieniom, wy-
bitnie antyekologicznej.

W rzeczy samej cała polityka eko-
logiczna Unii Europejskiej jest wielką
kpiną. Inaczej skądinąd nie może być,
skoro neoliberalizm nadal promuje
konsumeryzm za wszelką cenę, który
chłonie masę surowców i energii.

Kilka lat temu brałem udział w Indiach
w wielkiej konferencji na temat perspek-
tyw ekonomicznych świata. Ekonomi-
ści i politycy z USA starali się wówczas
promować jeszcze politykę neoliberalną
i społeczeństwo konsumpcyjne. Aż in-
dyjski profesor wstał i rzekł: „My w In-
diach nie mamy w zasadzie nic przeciwko
społeczeństwu konsumpcyjnemu, ale wy
w Stanach Zjednoczonych, z małą w skali
globalnej liczbą ludności, konsumujecie
dwie trzecie bogactw energetycznych
świata. Wylczyliśmy, że jeśli tylko Indie
i Chiny, z liczbą ludności dziesięcio-
krotnie wyższą od waszej, osiągną wasz

Unia Europejska nie zauważyła,
że król jest nagi i że system
neoliberalny już implodował,
tak jak 30 lat temu implodował
system komunistyczny

poziom konsumpcji, to będą problemy:
skąd wziąć zasoby energetyczne i jak
się pozbyć odpadów?”. O tym, niestety,
w Brukseli się nie myśli.

Zresztą nie myśli się tam dalekosiężnie
ani konsekwentnie także w innych spra-
wach. Jednym z przykładów jest forso-
wanie produkcji samochodów elektrycz-
nych, przy presji na szybką likwidację
produkcji aut benzynowych. Mają być
„ekologiczne”! A zapomniano, że pro-
dukcja baterii i ich recykling po zużyciu
są wybitnie nieekologiczne i że kiedy bę-
dziemy mieli miliony samochodów elek-
trycznych, to trzeba będzie mieć gigan-
tyczną produkcję prądu. A skąd to wziąć,
skoro już dziś jest w Europie niedobór

energii? Niemcy pokazali już jaką drogą
iść: otwierają na nowo zamknięte kopal-
nie węglowe! I to ma być ekologiczne?
Pies zjada własny ogon. Zauważmy przy
tym, że Niemcy otwierają na nowo kopal-
nie węglowe, ale to im nie przeszkadza
domagać się sankcji dla Polski za to, że
nie chciała zamykać Turowa.

Widać na przykładzie polityki
pseudoekologicznej brak spójności
i krótkowzroczność w działaniu Unii
Europejskiej. Lansuje się produkcję sa-
mochodów elektrycznych, ale nie myśli
się o konsekwencjach na dłuższą metę.
Domaga się (od innych co prawda) zam-
knięcia kopalni węglowych bez

baczenia na skutki dla zasobów
energetycznych danego kraju,
a zwłaszcza na koszty społeczne
– los górników i ich rodzin. Tych
górników, którzy byli solą tej ziemi
i którym tyle zawdzięczamy. Mą-
dra polityka, dalekosiężna i spójna,
pomyślałaby o tym, jak doprowa-
dzić do tego, aby zamknięcie tych
kopalni nie miało negatywnych
skutków dla danego kraju i nie było
tragiczne społecznie. Potrzebny
byłby program na 20–30 lat stop-
niowego zastępowania energii na
bazie węgla inną energią, na przykład
atomową, i stopniowego przygotowa-
nia górników do innej pracy. Ale Unia
Europejska tak nie funkcjonuje. Wy-
daje nakazy i ukazy, nie myśląc o kon-
sekwencjach. Qui vivra, verra!

Co gorsza, aby ta głupia, krótko-
wzroczna, niesprawiedliwa społecznie
polityka gospodarki neoliberalnej była
dalej na porządku dziennym, trzeba
wyobcować narody i obywateli, pozba-
wić ich własnej tożsamości. Aby żaden
naród nie był sobą. Aby żaden obywa-
tel nie był sobą. Oglupiać, aby rządzić.
Zniszczyć Europę i jej wartości, aby
Unia Europejska mogła dalej dyktować
swoją wolę. Ale o tym za tydzień. 

W lutym słuchaj
kota mruków
przy czytaniu
e-booków

E-PRENUMERATA

SIECI

+ 3 e-booki

w prezencie

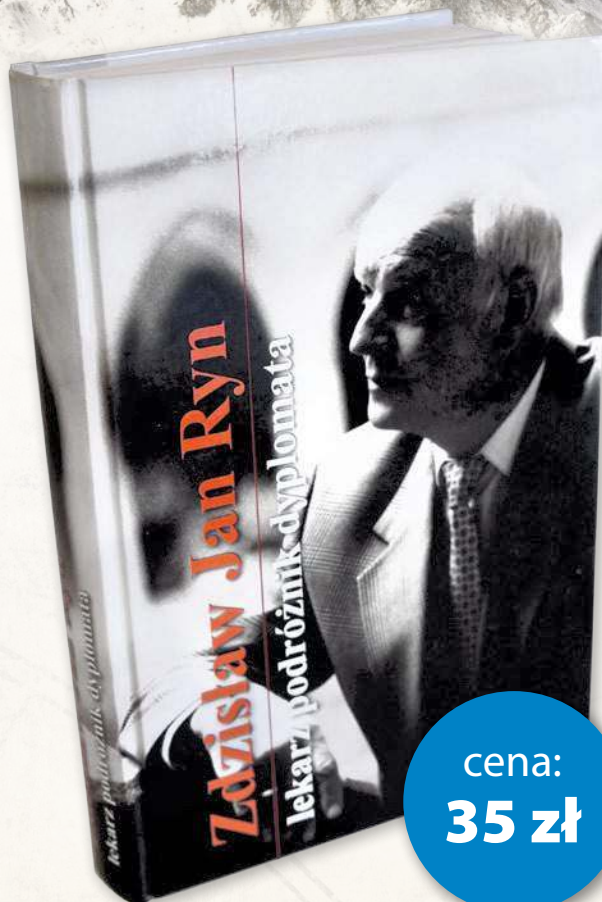
eprasa.pl b80762ec1a



Zamów już dziś na

www.siecprzyjaciol.pl

Podróże z wiarą



Zdzisław Jan Ryn. Lekarz, podróżnik, dyplomata

Biblioteka „Niedzieli”

**Wywiady, artykuły, wspomnienia,
a w nich m.in. odpowiedzi na pytania:**

- ▶ z jakimi problemami zmagają się alpinści?
- ▶ jakie tajemnice skrywa Wyspa Wielkanocna?
- ▶ czym różni się medycyna indiańska od konwencjonalnej?
- ▶ czego może spodziewać się dyplomata w Ameryce Południowej?
- ▶ czym Jan Paweł II i Ignacy Domeyko mogą nas zainspirować?

cena:
35 zł

**KSIĄŻKA, OBOK KTÓREJ
NIE MOŻNA PRZEJŚĆ OBOJĘTNIE.**



**Zamów już teraz,
a do zamówienia dołączymy
dwa tomy rewelacyjnej
książki *Szlaki papiesskie*.**

Oferta obowiązuje do 31 marca 2022 r.
lub do wyczerpania zapasów.

 **księgarnia
niedziela**

Zamów:
tel.: 34 365 19 17 w godz. 7-15,
pocztą elektroniczną: kolportaz@niedziela.pl

Do ceny należy doliczyć koszty wysyłki.

K

ULTURY

Ruszyły zdjęcia do kontynuacji historycznej serii „Korona królów”. Przed kamery znów wkroczyli Jagiellonowie. W założyciela dynastii wciela się Sebastian Skoczeń, Annę Cylejską gra Milena Staszuk. Reżyseruje Krzysztof Łukasiewicz

Czas na Jagiellonów

Fot. Anna Gostkowska/TPP S.A.
Reklama | 25/02/22/F



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Jest rok 1399. Niedawno owdowiały Władysław Jagiello rozważa powrót na Litwę. Jako mąż zmarłej Jadwigi Andegawieńskiej – oficjalnego króla Polski – może się obawiać się o prawo do tronu. Panowie krakowscy chcą zatrzymać władzę. Proponują mu małżeństwo z Anną Cylejską, wnuczką Kazimierza Wielkiego (co ciekawe, kandydaturę tę ponoć sugerowała też przed swoją śmiercią królowa Jadwiga).

FASCYNUJĄCY WŁADCA

Nowy sezon „Korony królów” zaczyna się w momencie, w którym skończył się poprzedni, czyli tuż po śmierci Jadwigi. Na tronie miejsce Vasyła Vasyłyka – odtwórcy Jagielly z pierwszej serii – zajął Sebastian Skoczeń.

– Mój Jagiello będzie bohaterem bardzo różnorodnym – zapowiada aktor. – To nie posągowa figura, która z wysokości tronu wydaje rozkazy. Jestem po lekturze scenariusza do 80 odcinka [sezon liczy 125 odcinków – przyp. red.] i zobaczyłem w moim bohaterze pełen wachlarz emocji. Człowieka targanego namięt-

nościami, władcę i stratega z troską myślącego o państwie, które jest zagrożone z każdej strony, ale też mężczyznę doświadczonego przez los, cierpiącego po stracie ukochanej kobiety i dziecka, któremu nieobca jest zarówno siła miłości, jak i zazdrości o dużo młodszą nową żonę.

NARZECZONA Z CELJE

Mowa o Annie Cylejskiej (urodzonej w Celje, dziś jednym z głównych miast Słowenii).

– Pochodziła z zupełnie innego obszaru kulturowego, bliższego Zachodowi, mówiła po niemiecku. Ponoć była brzydka, choć w serialu nie będzie jej brakować urody (chcemy zbudować cieplejszy obraz pary królewskiej) – zdradza scenarzystka wiodąca Anna Krasuska.

Królowi przyszła żona zdecydowanie przypadła do gustu. Jak jednak naprawdę wyglądała, nie sposób powiedzieć. Portrety w średniowieczu tworzone w sposób umowny. – Poza tym – zwraca uwagę scenarzystka – w opisie Długosza sam Jagiello wypada również bardzo niekorzystnie.

W chwili przyjazdu do Polski Anna liczyła 19 wiosen, czyli według ówczesnych standardów sporo, ale i tak była znacznie młodszą od Jagielly. Ile lat miał król? Zdania są podzielone. Według jednych źródeł urodził się w 1362 r. (w 1399 miałby więc 37 lat), inne podają rok 1352. Scenarzyści zdecydowali się na wersję władcy młodszego o dekadę.

Żeby odsunąć ślub, na który nie miał jeszcze ochoty, Jagiello na kilka miesięcy odsyła Annę do klasztoru, by... uczyła się języka polskiego.

– Myślę, że swoje partnerki – nawet jeśli początkowo je odrzuca, jak Annę Cylejską – darzy estymą, jest dla nich uprzejmy, taktowny, potrafi być czuły – mówi o bohaterze Sebastian Skoczeń.

Anna budzi we władcy skrajne odczucia. Dużo młodszą, z niemalym temperamentem. – Z czasem połączyła ich jednak silna namiętność, oparta głównie na pożądaniu. Pełna energii i wigoru kobieta sprawia też, że pojawia się między nimi wiele napięć i nieporozumień. Król wpada w gniew, gdy małżonka postępuje wbrew jego woli – dodaje aktor.

AKCJE I EMOCJE

Kobiety będą odgrywać ważną rolę w „Koronie królów. Jagiellonach” (zwłaszcza wspomniana już Anna Cylejska oraz trzecia żona Jagielly Elżbieta Granowska, a także ich fraucymer), chociaż jak czytamy w przekazach, królewskie małżonki w dawnych wiekach nie na wiele mogły liczyć. Po śmierci często nie miały nawet napisu na płycie nagrobnej.

Nad produkcją serialu czuwają konsultanci historyczni. Przedstawili oni długą listę autentycznych osób, z której scenarzyści wybrali ledwie reprezentację.

– Teraz, zachowując najważniejsze wydarzenia, konflikty, punkty zwrotne, opo-



wiadamy historię poprzez perypetie tych bohaterów – podkreśla Anna Krasuska.

Narracja zostanie ubarwiona m.in. uczuciowymi rozterkami czy dworskimi intrygami. Nie zabraknie wątków dramatycznych i komediowych. Pojawiają się elementy akcji spod znaku płaszcza i szpady – działania szpiegowskie, pojedynki i pościgi.

Na potrzeby serialu Sebastian Skoczeń szlifuje jeździeckie umiejętności z... kaskaderami. – Przygotowujemy się m.in. do galopu z wolnymi rękami, tak by móc, w czasie jazdy, walczyć mieczem czy strzelać z łuku – zdradza. Niezwykle cieszy go, że zdecydowanie wyższy poziom hippicznych umiejętności przyda się w dynamicznych scenach zaplanowanych w scenariuszu.

Teraz ma spokojniejsze, choć nie mniej ciekawe aktorskie zadania: – Codziennie przenoszę się kilkaset lat wstecz. Pomaga strój, scenografia. Na razie gram własną twarzą. A ponieważ jako tegoroczny 40-latek nie wyglądam najmłodziej, to na tym etapie zdjęć jeszcze mnie trochę odmładzają. Za jakiś czas, w miarę upływu lat w opowiadanej historii, jeśli chodzi o charakteryzację, nic nie trzeba będzie ze mną robić – komentuje z uśmiechem.

WKRĘCENI W HISTORIĘ

Zdjęcia do „Korony królów. Jagiellonów” rozpoczęły się w połowie stycznia. Potrwają do grudnia. Przed aktorami i bohaterami jeszcze więc długa droga. Na tym

etapie serialowy Jagiello powoli przekonuje się do drugiej żony, a wokół rozgrywa się wielka polityka. Za chwilę zakon zaanektuje Żmudź. Po śmierci Konrada von Jungingena Wielkim Mistrzem zostanie jego żądny krwi brat Ulryk. Jagiello zdaje sobie sprawę, że pokój z Krzyżakami jest kruchy. 15 lipca 1410 r. dwie wielkie armie staną na polach pod Grunwaldem. Akcja tego sezonu zakończy się w roku 1420, śmiercią trzeciej żony Jagielly, Elżbiety Granowskiej.

W powstających obecnie zdjęciach, obok króla i Anny Cylejskiej (Milena Staszuk), do roli kluczowej figury urasta Mikołaj Trąba. W 1417 r. zostanie pierwszym prymasem Polski, w początkach serialu to duchowy powiernik króla (grago Radosław Pazura). Ważną postacią jest też siostra władcy Aleksandra Mazowiecka (Agnieszka Wagner). W obsadzie serialu znaleźli się również m.in.: Mariusz Jakus, Jacek Kopczyński, Robert Rozmus, Bogdan Kalus, Filip Gurlacz oraz Dagmara Bryzek. Reżyserem serii jest Krzysztof Łukaszewicz (twórca takich filmów jak „Karbala” czy „Lincz”).

Brodski na skrzypcach Paganiniego

Uznany wirtuoz skrzypiec – Vadim Brodski – zagra w Warszawie (24.02) i Krakowie (26.02) na instrumencie należącym niegdyś do geniusza wiolinistyki Niccolò Paganiniego.

Słynne skrzypce, zbudowane w 1834 r. przez francuskiego lutnika Jeana-Baptiste'a Vuillaume'a, przyjadą z Genui, z kolekcji instrumentów Paganiniego w jego rodzinnym mieście. To na nich miał on wygrywać m.in. swoje 24 kaprysy, inspirowane całe pokolenia wykonawców i kompozytorów.

Teraz te wyjątkowe skrzypce zabrzmiały w I Koncercie Paganiniego pod smyczkiem i palcami Vadima Brodskiego, niezwykłego artysty urodzonego w 1950 r. w Kijowie, ucznia Dawida Ojstracha i Olgi Parchomienko. W 1977 r. został on zwycięzcą Konkursu Wieniawskiego w Poznaniu. Podbijał świat, startując z Warszawy, z czasem zdobył polskie obywatelstwo. Dziś mieszka w Rzymie, ale często bywa u nas, koncertuje, wyklada.

Obecne popisy maestro Brodskiego są największą atrakcją polsko-włoskiego projektu „La magia della musica italiana con il violino di Paganini” (Magia muzyki włoskiej na skrzypcach Paganiniego). W Teatrze Wielkim w Warszawie oprócz I Koncertu Paganiniego zabrzmiały fragmenty najsłynniejszych oper włoskich kompozytorów: Rossiniego, Mascagniego, Pucciniego, Verdiego w wykonaniu chóru i orkiestry TW-ON pod

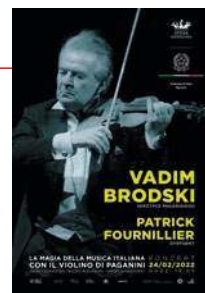
dyrekcją Patricka Fournilliera. W Filharmonii Krakowskiej poza koncertem Paganiniego – uwertura do opery „Wilhelm Tell” Rossiniego oraz I Symfonia Brahmsa. Orkiestrę poprowadzi Walter Attanasi.



Adam Ciesielski



„La magia della musica italiana con il violino di Paganini”
Vadim Brodski – skrzypce,
orkiestra i chór Teatru Wielkiego
pod dyr. Patricka Fournilliera
24 lutego 2022, godz. 19
Teatr Wielki – Opera Narodowa



„Magia muzyki włoskiej na skrzypcach Paganiniego”
Vadim Brodski – skrzypce,
orkiestra Filharmonii Krakowskiej
pod dyr. Waltera Attanasi
26 lutego 2022, godz. 18
Filharmonia Krakowska

Fajny buddyzm dalajlamy

Ty, który otworzyłeś usta i pokazałeś kły, ty, który masz troje oczu na strasznej twarzy, ty, który zawiązałeś w warkocz swe ciemno-żółte włosy, ty, który włożyłeś na siebie wieniec z czaszek, majestatyczny bohaterze, obdarzony twarzą, na którą nie da się patrzeć, uwielbiam ciebie!” – taką buddyjską modlitwę cytuję Andriej Kurajew w swej wydanej 30 lat temu książce „Jeśli Bóg jest miłością”. Zaskakujące?

Buddyzm jest postrzegany jako fajna religia. Głosi uczucie przyjaźni do wszystkich stworzeń, potrzebę miłosierdzia oraz nieszkodzenia nikomu; w Europie przedstawia się go jako system ateistyczny.

W rzeczywistości buddyzm we wszystkich krajach wierzą w realne istnienie bogów i demonów. W Japonii czczą boginię słońca Amaterasu; buddyści z tradycji theravady składają na Sri Lance ofiary bogini Pattini, natomiast buddyści z nurtu mahajany oddają cześć bogu bogactwa Kuverze oraz Hayagrivi, zacieklemu bogu o końskiej twarzy. Buddyści tybetańscy, zwani też lamaistami, czczą demony, które są rytualnie wzywane do mordowania wrogów ich wiary.

Według Andrieja Kurajewa jeszcze w latach 30. XX w. w lamaistycznych klasztorach odprawiano codzienne nabożeństwo poranne zaczynające się od złożenia krwawej ofiary „obroncy wiary Dżamsaranowi oraz innym okrutnym bóstwom i demonom”, „boskim katom i zabójcom wrogów wiary i cnót”, wzywając je, „by zniszczyli wrogów, szczególnie tych, którzy przeszkadzają rozpowszechnianiu się wiary i świętości buddyzmu”.

Oto opis porannego nabożeństwa, przytoczony w książce rosyjskiego etnografa A.M. Pozdniejewa, wydanej w 1933 r. w lamaistycznej Kałmuji przez samych buddystów:

„Ci, którzy przynoszą balin huwaraki przed rozpoczęciem nabożeństwa, naj-

pierw powinni kontemplować Dżamsarana i wyobrazić sobie całą przestrzeń świata pustą. W tej pustej przestrzeni muszą wyobrazić sobie bezgraniczne morze ludzkiej i końskiej krwi ze wzburzonymi falami; pośrodku tych fal – prostokątną miedzianą górę, na jej szczycie sionce, zwłoki człowieka i zwłoki konia, a na nich stoi Dżamsaran. Twarz ma czerwoną, w prawej ręce, z której wychodzi ogień, trzyma miedziany miecz oparty o niebo; mieczem tym siecze życie tych, którzy złamali obietnice. Lewa ręka trzyma nerki i wątrobę wrogów wiary, pod pachą znajduje się wciśnięta skórzana czerwona flaga. Usta są szeroko otwarte, widać cztery białe kły, ma troje oczu i straszliwie zagniewany widok. Ukoronowany jest pięcioma ludzkimi czaszkami. Stoi pośród płomieni ognia mądrości”.

Zainteresowanie buddyzmem rozpoczęło się w Europie w latach 70. XIX w. w środowiskach akademickich i artystycznych. Przez kilka dekad w propagowaniu buddyzmu i hinduizmu wielką rolę odgrywało Towarzystwo Teozoficzne. Jego założycielka, Helena Bławatska, uważała religie orientalne za narzędzie służące do wypierania chrześcijaństwa z Europy. W XX w. buddyzm – przedstawiany nam jako filozofia nieisteistyczna – przyczynił się do osłabienia tradycji judeochrześcijańskiej oraz do rozwoju nowych ruchów religijnych i ezoterycznych, w tym New Age.

Dzięki popkulturze rozprzestrzenianie się idei buddyjskich i hinduistycznych na Zachodzie przyspieszyło po rewolucji 1968 r. Dziś płytka wiara w reinkarnację oraz praktykowanie jogi jako ćwiczeń fizycznych jest postrzegane jako coś oczywistego i neutralnego duchowo. Wypieranie chrześcijaństwa z kultury Zachodu i wprowadzanie w powstałą pustkę idei ezoterycznych, newageowych, hinduistycznych i buddyjskich zmierza dziś do finału.



ROBERT TEKIELI

Buddyzm, podobnie jak hinduizm, jest religią misyjną. W ostatnich latach wielką rolę w propagowaniu buddyzmu w Europie, jak twierdzi Wikipedia, odegrał Tenzin Gjaco, XIV Dalajlama, laureat przyznawanej przez europejski establishment Pokojowej Nagrody Nobla.

Dominującą od ponad dwóch wieków na Zachodzie poświeceniową tradycję, której wyrazem jest ideologia liberalno-lewicowa, a także coraz bardziej od kilku dekad wpływowe nurty neomarksistowskiej ideologii gender, feminizmu i ideologii aktywistów ruchu LGBT, łączy jedno hasło: Wszystko, byle nie chrześcijaństwo!

Islam, hinduizm, buddyzm, ezoteryzm, szamanizm, cokolwiek.

Państwową wyrocznią Tybetu jest demon o imieniu Pehar, a opiekunką dalajlamy Palden Lhamo, istota o trojgu oczach, galopująca w siodle zrobionym ze skóry małego dziecka przez morze krwi, w którym pływają odcięte kończyny i głowy, wyprute oczy i wnętrzności wrogów doktryny buddyjskiej. „Hevajra-tantra” opisuje rytuał magicznego zabójstwa, identyczny jak w voodoo, „Guhysamajatantra” zaleca wykonywanie rytualnych utensyliów mocy z szczątków wroga.

W lamaizmie czci się i oswaja demony, stosuje się także techniki okultystyczne. Czy da się obronić tezę, iż dalajlama jest przywódcą jednego z najbardziej obskuranych wyznań religijnych na świecie?

Może być Mroczne fantasy Jaya Kristoffa „*Wampirze cesarstwo*”, którego tłumaczenie ukazało się dwa miesiące temu, kilkanaście tygodni po światowej premierze, ma w sobie wystarczającą dozę patosu, by usatysfakcjonować miłośników gatunku: „Ze świętego kielicha pochodzi święte światło. / Wierna ręka naprawia świat...” i tak dalej. Rzeczy mają się tu, jak we wszystkich powieściach rozpoczynających się od reprodukcji starodawnej mapy. Kristoff opowiada świat, w którym słońce przestało wschodzić, wampiry od trzech dekad prowadzą wojnę z ludzkością, a ostatnich skrawków królestwa przed stworzeniami nocy broni święty zakon. I Gabriel de León, apostata, obrońca cesarstwa, wyrzutek, największy bohater.

Mamy świat zimny, posępny, Ziemia bez słońca z parodią dnia i z nocą, w czasie której zło jest nieomal nieodparte. A w tym świecie wróżda, wendeta, zderzenie skamieniałego od nienawiści, splugawionego dobra ze złem.

Uniwersum, w którym toczy się opowieść, jest klarowne i interesujące. Z wampirami ręka w rękę z ludźmi walczą wampiry bękarty. Fabuła ma swój rytm, karta odwraca się w jedną i drugą stronę. Galop wydarzeń, zaskoczenia, bitwy, rzezie. I czasami wilgoć oczu, gdy mowa o lojalności, przyjaźni.

Dobry zamysł narracyjny pozwala się nie pogubić w natłoku informacji o świecie przedstawionym i jednocześnie nie zwalnia rytmu szaleńczo toczącej się fabuły. Dwa splecione ze sobą wątki kulminują tam, gdzie trzeba. Finał jest równie oczywisty, co zaskakujący.

Główny bohater daje w siebie wierzyć. Jest na tyle żywy, nie papierowy, by nas choćby przez parę godzin obchodziło, co się z nim stanie. Wykorzeniony, o niejasnym pochodzeniu, słabszy od swych towarzyszy i o niebo silniejszy. Człowiek, którego imię stało się legendą. Nosi blizny wewnątrz i na zewnątrz, to człowiek doświadczony, ten, który nigdy nie odnajdzie spokoju. I jednocześnie – jak wszyscy jego pobratymcy, bękarty – jest u kresu życia skazany na honorowe samobójstwo, destylat z krwi wampirów, podobnie jak eliksiry wiedźminów w innych powieściowych światach, daje bowiem mieszkańcom nadnaturalną siłę, ale nieuchronnie w końcu zamienia w potwory.

Z drobiazgów: wspaniały jest pomysł z lekko jękającym się mieczem głównego bohatera, wyliczającym w czasie rzezi warzywne składniki jakiejś nieznannej potrawy.

Autor nie uniknął drobnych zgrzytów w tej powieści o nienawiści i o śmierci. Nie da się uwierzyć choćby w jedną krwawą łzę spływającą z oka wampira, nudzi też, obowiązkowa dziś dla twórców chcących płynąć głównym nurtem, zakazana miłość między mężczyznami.

Stojących po stronie światła wojowników dręczy wielki głód, tęsknią za sensem, który może dać tylko transcenden-



cja. Wiara klóci się z niewiarą. A w tym świecie jest inaczej niż choćby w „Pulp Fiction”, gdzie kilerzy oszczędzają tylko tych, którzy wierzą w cokolwiek. Tu wiara niczego nie gwarantuje. Choć wielokrotnie słyszymy sentencję: „Nie ważne, w co wierzysz, ale w coś musisz wierzyć”.

Powieść otwiera zdanie: „Nie pytaj mnie, czy Bóg istnieje. Zapytaj, dlaczego jest takim fiutem”. Wampiry bękart przez całą opowieść toczy swój własny spór z Bogiem. Napomykam o gimnazjalnej teologii głównego bohatera, ponieważ dziś w realnym świecie takich Konradów zatrzesienie.

Nikt nie wymaga od niewierzących wiary. Ale konsekwencji tak. Bo nie ma jej za grosz ubóstwiający wolność osobisty wróg Pana Boga, który oskarża Wszechmogącego o sadyzm, o to, że dopuszcza niewinne cierpienie. Bo prze-

cież nie Bóg morduje i gwałci. Robią to ludzie. Również ci, którzy wynoszą wolność pod niebiosa. Chcielibyście, by Bóg ograniczył ludzką wolną wolę? Ktoś chciałby być marionetką?



Zobaczmy No i już wkrótce zarwana nocka. BBC oficjalnie potwierdziło, że jeszcze w lutym brytyjska premiera ostatniego, finałowego sezonu „*Peaky Blinders*”, jednego z najpopularniejszych i najlepszych seriali telewizyjnych wszech czasów. Wszystko jest w nim świetne: zgrabne wątki miłosne, zwarta konstrukcja każdego sezonu, dialogi z frazami przechodzącymi do języka potocznego, scenografia, kostiumy, charakteryzacja, zdjęcia, aktorstwo, muzyka, reżyseria, fabuła. A w efekcie: serial doskonały.

Historia cygańskiego gangu z Birmingham działającego w latach 20. ubiegłego wieku nie niesie jakiegokolwiek war- tego uwagi przesłania. I co z tego?

Robert Tekieli
Polskie Radio



Amerykanin w Marsylii



Mieszkający w Oklahomie prosty robotnik jedzie do Francji, by uratować skazaną za zabójstwo córkę. Nieznający języka ani europejskich zwyczajów, nierozstający się ze spraną czapeczką bejsbolową i koszulą w kratę Bill Baker (Matt Damon) to człowiek wyjęty ze stereotypowych broszurek liberalistów. Weteran wojenny z wytatuowanym patriotycznym emblematem na ramieniu. Modlący się przed każdym posiłkiem i zwracający się do kobiet: „Tak, proszę pani”. Pewnie głośnie na Trumpa, nieprawdaż? Pyta go o to nawet francuska artystka. On zakłopotany pytaniem odpowiada szczerze, że wcale nie głosował, bo siedział w wówczas w więzieniu. Potem jeszcze kilkakrotnie będzie się musiał odnosić do podobnych uprzedzeń. Zarówno własnej córki Alison (Abigail Breslin), jak i poznanej samotnej matki Virgine (Camille Cottin), z którą zresztą wejdzie w głębszą relację. Tylko jej uroczą córeczką Maya (Lilou Siauvaud) pokocha go takim, jakim jest.

„Stillwater” to zdumiewający film. Z jednej strony jest to dramat nawiązujący do sprawy amerykańskiej studentki Amandy Knox, skazanej niesłusznie we Włoszech za zabójstwo koleżanki. Z drugiej jest to thriller zapowiadający kolejną mutację filmów z Liamem Neesonem, czyli zwyczajnie wyglądającym facecie po pięćdziesiątce, który jedzie na drugi koniec świata ratować dziecko. Film zdobywcy Oscara za „Spotlight” Toma McCarthy’ego jest czymś pomiędzy. Alison odsiedziała już cztery lata z dziewięcioletniego wyroku za zabójstwo swojej dziewczyny. Mówi, że znalazła dowód na to, kto jest prawdziwym zabójcą. Jej prawnicy nie chcą ponownie otwierać sprawy, która może mieć podłoże rasowe. W multikulturowej Marsylii takie sprawy są gorącym kartoflem. Alison, biała i bogata Amerykanka zabijająca partnerkę pochodzącą ze środowisk imigranckich, to zaś medialnie wygodna ikona zła. Tyle że Alison nie jest bogatą przedstawicielką elity. Jest córką prostego robotnika, która pasowałby do „Elegii dla bidoków” J.D. Vance’a. Matką ją osierociła, ojciec został pochłonięty przez procenty, a ją wychowywała babcia. Bill nie chce powiedzieć córce, że prawnicy się od niej odwracają. Zostaje w Marsylii, by odszukać prawdziwego zabójcę. Pomaga mu w tym aktorka teatralna Virgine. Relacja między nią i Billem jest o wiele ciekawsza niż kryminalny wątek „Stillwater”.

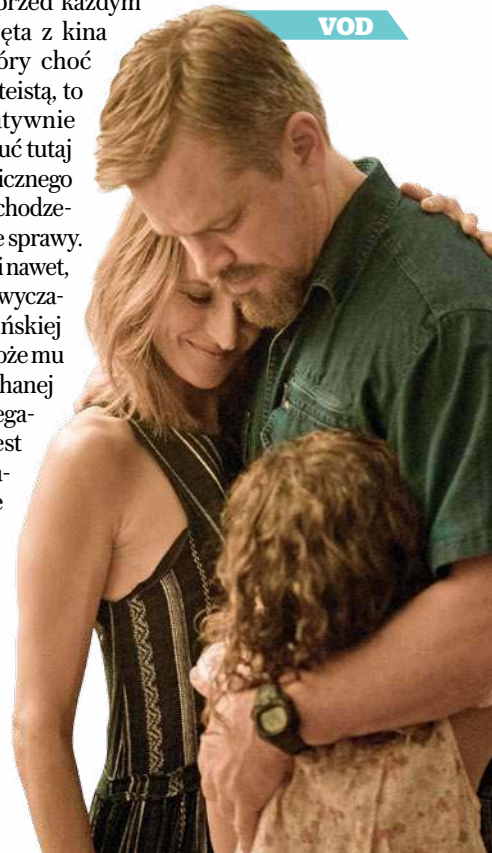
Choć jest tutaj kilka zwrotów akcji i zaskakujący finał, nie jest to opowieść wolna od kiksów narracyjnych. Rozciągnięcie filmu między rasowy dramat rodzinny i kino sensacyjne miejscami się lekko pruje. Raz wygląda to jak „Frantic” Polańskiego, gdzie Harrison Ford w Paryżu szukał żony, innym razem dostajemy klimat „Uprowadzonej”. Najciekawsza w „Stillwater” jest więc przewrotność obyczajowa. McCarthy już w „Spotlight” pokazał, że opowiadając o największym skandalu seksualnym w historii amerykańskiego Kościoła, nie chciał uderzać w sam katolicyzm. Mimo jednoznaczności i ostrości spojrzenia na przełomowe śledztwo „Boston Globe” niuansował i naświetlał szarości sprawy. Znakomicie grany przez Damona Bill jest również złożoną postacią. To głęboko wierzący

chrześcijanin, który jednocześnie nie ma nic przeciwko orientacji seksualnej swojej córki. Nie wstydzi się przy tym modlitwy i swojego prostolinijnego spojrzenia na rzeczywistość. Poległ jako ojciec, więc teraz naprawia błędy, chcąc za wszelką (nawet najwyższą) cenę uratować Alison. Ale może też otoczyć opieką Francuzkę i jej córkę. Obie kradną jego „twardzielskie” serce. Nie uniknie więc osobistej ofiary. A co jeżeli córka jednak jest winna?

„Stillwater” jest filmem o przełamywaniu stereotypów. Zarówno klasowych, jak i rasowych. Ale spojrzenie na tę modną dziś w kinie kwestię jest dalekie od hollywoodzkiej politpoprawności. To religijny Bill z konserwatywnej Oklahomy w pewnym stopniu uczy tolerancji Francuzów. Tych samych, którzy mają na sztandarach wolność, równość i braterstwo i celebrują butnie swój laicyzm. Virgine zaciekle walczy o prawa dla imigrantów i nie chce rozmawiać z francuskim rasistą, który może pomóc Billowi w odszukaniu faceta, przez którego jego córka została skazana. Tyle że to ona przestrzega Billa, by nie jechał na zamieszkane przez arabskich imigrantów przedmieścia, bo „tam jest niebezpiecznie”. To jej przyjaciółka zaszuffadkowała Billa jako wyborcę Trumpa. Tylko przez zewnętrzną prezencję, akcent i wiarę. On nikogo nie ocenia i nie odrzuca za poglądy.

Nadodatek to właśnie ten „nieokrzesany”, twardy robotnik z Oklahomy uwodzi delikatną, francuską liberalkę i staje się ulubionym „wujkiem” dla jej czarnoskórej córeczki. Bill jest w przeszłości potłuczonym moralnie facetem, kierującym się teraz naukami Boga, do którego modli się przed każdym posiłkiem. Postać wyjęta z kina Clinty Eastwooda, który choć jest libertarianinem i ateistą, to pielęgnuje konserwatywnie ujętą cnotę męstwa. Czuć tutaj oczywiście echa symbolicznego oskarżenia Ameryki o wchodzenie z butami w nie swoje sprawy. Bill przyjeżdża i nie myśli nawet, by wyrzekać się swoich zwyczajów i bardzo amerykańskiej osobowości, skoro pomoże mu ona w uratowaniu ukochanej osoby. Nie jest jednak negatywnym bohaterem. Jest kochającym ojcem, składającym ofiarę w imię wartości, jakie wyznaje. Dawno nie widziałem takiego bohatera w hollywoodzkim kinie. ➤

**„STILLWATER”
DOSTĘPNY
W SERWISACH VOD**





Roboty przejmują władzę nad światem? Bawiąc się w Boga, stworzyliśmy potwory, które zmiotą nas z powierzchni ziemi i uczynią swoimi niewolnikami? Żyjemy w czasach, gdzie pytania o transhumanizm nie są już domeną książek Lema i „Terminatora” Jamesa Camerona. Dlatego też pojawiła się w ostatnich latach kontynuacja „Blade Runnera”, Alex Garland zrobił przenikliwą „Ex Machine”, a triumfy święci serial „Westworld”. Otoczeni coraz inteligentniejszymi smartfonami, domami i stosami urządzeń kierowanymi przez sztuczną inteligencję chcemy coraz więcej wizji naszego zbiorowego samobójstwa w imię wygody. Netflixowy „Big Bug” jest więc wyważaniem otwartych drzwi, ale z uwagi na to, że napisał go Guillaume Laurant i wyreżyserował Jean-Pierre Jeunet, jest pozycją obowiązkową.

„Delicatessen”, „Miasto zaginionych dzieci” i oczywiście „Amelia” – Jeunet od trzech dekad kręci wizjonerskie, surrealistyczne i magnetyczne filmy. Miał też w rękach czwartą część kultowego „Obcego” (1997), nadając jednej z najsłynniejszych kosmicznych sag w historii kina szalenie oryginalny i autorski wymiar. Teraz reżyser „Bardzo długich zarczyn” przenosi nas do roku 2045 na przedmieścia francuskiej metropolii, gdzie żyją zblazowani, roz-

pieszczeni i wyjątkowo irytujący burżuje. Obsługujących roboty, mają sklonowane domowe zwierzęta i rozprawiają o tym, o czym rozprawiają na przyjęciach zmanierowane elitki – o bzdurach. Oglądamy spotkanie dwóch par. Ona (Elsa Zylberstein) samotnie wychowuje nastoletnią adoptowaną córkę (Marysole Fertard) i żyje z wychowującym syna (Helie Thonnat) mężczyzną (Stéphane De Groodt). On (Youssef Hadj) to jej były mąż, który teraz związał się z modelką (Claire Chust). Wszystkie złe uczucia są ukryte, hipokryzja wylewa się z każdego wypowiedzanego zdania, ale wspólnie spędzony czas ma pokazać dojrzałość domowników. Nadchodzi jednak koszmar, gdy władzę w mieście przejmują zbuntowane maszyny pod wodzą robota militarysty Yonyxa (François Levantal). Wcześniej model Yonyx był bohaterem reality show, w którym ludzie byli niewolnikami robotów. Teraz telewizyjna zabawa przeradza się w rzeczywistość. Roboty zamykają drzwi domostwa, gdzie przerażeni i bezbronni ludzie czekają na nieubłagłą karę od tych, których stworzyli.

Jeunet umieszcza całą akcję w jednym domu, zamieniając swój cukierkowo-kolorowy, wizjonerski film w rasową sceniczną farsę. Jest tu najlepsza tradycja francuskiej groteski, wymieszana ze

slapstikiem i urokiem rodem z „Amelii”. To roboty stają się o wiele ciekawsze niż irytujący ludzie. Alban Lenoir jako oldskulowa metalowa wersja domowej Siri i kontrolująca wszystko robot gosposia (Claude Perron) mają w sobie o wiele więcej ciepła niż egotyczni ludzie. Roboty chcą się upodobać do swoich właścicieli. Uczą się empatii, miłości i podglądają seksualne stosunki. Jeunet błyskotliwie pokazuje nam roboty z różnych epok i etapy dochodzenia do koszmarnego świata, gdzie nad miastem unoszą się sformatowane przez algorytmy reklamy śledzące każdy krok ludzi, a lekkiem na samotność są androidy.

Jeunet idzie jednak dalej niż Spielberg w „A.I.” i nie ogranicza się do pytań o etyczne aspekty wykorzystywania sztucznej inteligencji do naszych celów. W „Big Bug” jest coś „Dyskretnego uroku burżuazji” Luisa Buñuela i innych fars o zamkniętych pod jednym dachem ludziach, którym spadają z twarzy pieczołowicie wypucowane maski, co czyni opowieść uniwersalną. To znamienne, że „Big Bug” jest filmem Netflixa. Tak autorski pod względem wizualnym i narracyjnym film mógłby komercyjnie przepaść w kinach. Algorytm sztucznej inteligencji Netflixu zadba, by trafił do odpowiednich oczu. ➤

„BIGBUG” DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Kochanowski, Mickiewicz, Lechoń

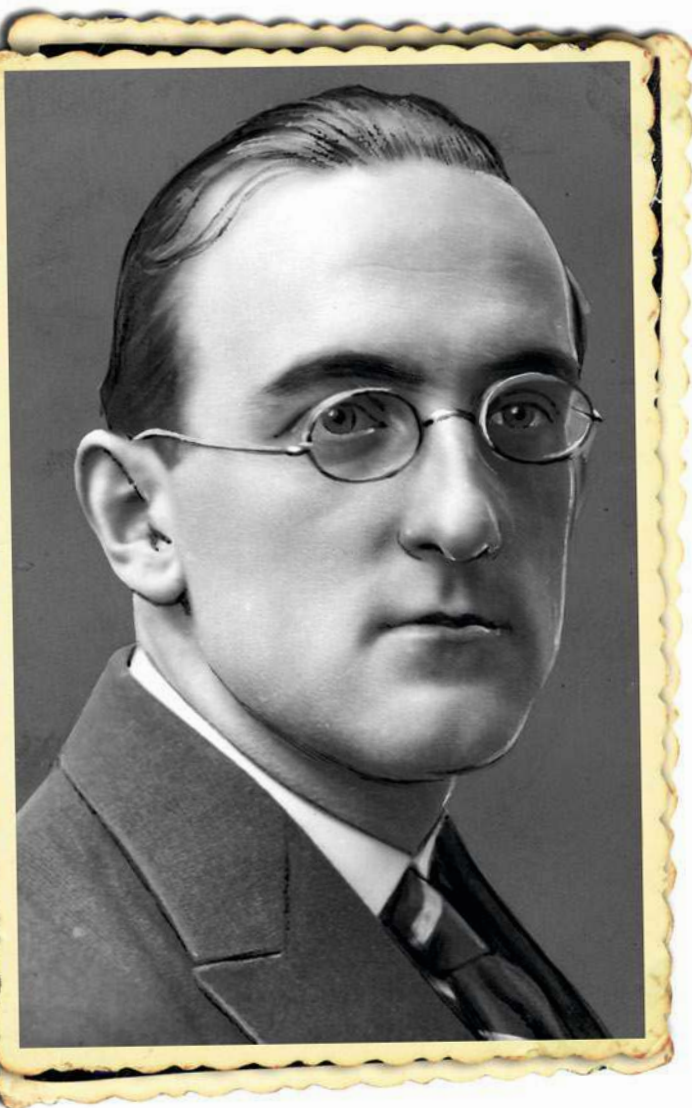
Był najwybitniejszym polskim poetą XX w. „Ani Bolesław Leśmian, ani Kazimierz Wierzyński, ani później Zbigniew Herbert nie wznieśli się w swojej twórczości na taki poziom, jaki osiągnął młody geniusz z warszawskiego Przyryńku”, pisze Wojciech Wencel w najnowszej biografii Jana Lechonia zatytułowanej „Lechoń. Rycerz i faun”

*Po księżycu, po gwiazdach, po Rzeczpospolitej.
Po sali idzie cisza przeraźliwa, blada
I obok tęgich boszów w pierwszym rzędzie siada.
Wzrok wlepia martwy, ślepy, w jakiś punkt na ścianie
I patrzy w Mochnackiego, kiedy grać przestanie.*

*A on, blady jak ściana, płacze, zrywa tony
I kolor spod klawiszy wypruwa – czerwony,
Aż wreszcie wstał i z hukiem rzucił czarne wieko
I spojrzął – taką straszną, otwartą powieką,
Aż spazm ryknął, strach podły, i z miejsc się porwali:
„Citoyens! Uciekać! Krew pachnie w tej sali!!!”*

Ta krew jest symbolem życia, nie śmierci. Symbolem romantycznego czynu, realnej walki o niepodległość. Romantyczny realizm to postawa Lechonia wobec polskiej powinności, tak dojmującej przez ostatnie 300 lat.

Lechoń debiutował poematem o problemach polskiej duszy w epoce zaborów. „Karmazynowy poemat”, opublikowany w 1920 r., napisany został jeszcze przed 1918 r., urywa się bowiem w momencie, gdy nasza niepodległość nie jest jeszcze przesądzona. Gdy zdeorientowany naród – tak samo jak dziś! – uczy się wolności, czyli praktykowania woli.



Tylko „Wesele” dla poprzedniego pokolenia było takim samym wstrząsem, jakim dla generacji niepodległości był debiut Lechonia – napisał o „Karmazynowym poemacie” Kazimierz Wierzyński.

To rzeczywiście niezwykła poezja.

Mamy rok 1832, Maurycy Mochnacki, wczorajszy powstaniec, koncertuje w Metz, syta publiczność oczekuje nut „o wiośnie”, „o miłości”, a tymczasem:

*Mochnacki jak trup blady siadł przy klawikordzie
I z wolna jął próbować akord po akordzie. [...]*

*Po martwej, głupiej strunie, po fijołków woni,
Po czyichś smutnych oczach, jakieś białej dłoni,
Jakichś światłach po nocy i szeptach w komorze,
Po księżycu, po gwiazdach – mój Boże! mój Boże! –
Gdzieś się gubi i zwija, przeciera pas lity,*

Piłsudski, romantyczny realista, tkwił w romantyzmie, ale chciał wcielić go w życie, gdy naród jeszcze więził go w marzeniach. Gdy kwitła fasadowa polskość, pozorna niepodległość, ułańsko-mazgajski sentyment, łatwy patriotyzm, estetyka paraliżująca wolę. Autor „Piłsudskiego” układał wiersze tak, aby Polska zmartwychwstała. Zarówno w 1917 r., jak i w roku 1943.

RYCERZ I NOMINALNI POLACY

Lechoń na przemoc wobec Polski reagował bardziej jak rycerz niż żołnierz. Z zasady bronił tego, co szlachetne, przeciwko temu, co nikczemne. Pogardą zbywał to, co pospolite, małostkowe i głupie. Pojęcie „człowieka miernego” jest ważne dla zrozumienia jego biografii i poezji.

Od 1943 r. redagował w Nowym Jorku „Tygodnik Polski”, który przez cztery lata wychodził dzięki jego zabiegom o środki finansowe. W zamieszczanej tam publicystyce bronił polskości Wilna i Lwowa, jasno stawiał sprawę granic wschodnich, wzywał do walki o Polskę „wolną, całą, niepodległą”. Był jednym z filarów emigracyjnego obozu niezlomnych.

Tłumaczył: wobec zdrady w Teheranie i gwałtu Jałty – poprzez które rezultatem wojny dla Polaków była nie wolność, ale zamiana jednej przemoc na drugą – nadziei trzeba szukać

w ciągłości polskiej historii. W najtragiczniejszej sytuacji narodu należy działać z myślą o przyszłości, to jest jedyny realizm. Reszta to małość lub zaprzaństwo. Albo Polacy będą czuć się bierną masą, albo narodem świadomym swej przeszłości, kultury i praw do wolności.

Ciągłość istnienia Rzeczypospolitej zachowaliśmy dzięki wznawianym raz po raz walkom o jej niepodległość. Kto zwyciężył zaborców, nazistów, bolszewików? Kosynierzy Kościuszki, napoleońskie legiony, powstańcy listopadowi, styczniowi, wielkopolscy, ślascy, warszawscy, żołnierze Andersa i Maczka, Żołnierze Niezłomni, legionści Piłsudskiego. Gdyby nie wola działania tego ostatniego i miłość do powstańców styczniowych, nie byłoby Polski.

Piłsudski dokonał niemożliwego. Więc po Teheranie i Jałcie Lechoń powtarza: każdą klęskę można przetrwać. Wojna nie jest skończona mimo zdrady ideałów, o które w niej walczono. Wartość walki mierzona jest wartością sprawy, a nie w szansach jej zwycięstwa. Wzgardzone przez świat męstwo zachowuje głęboki sens. Bo owocuje w końcu wolnością.

Fundamentem polskiej suwerenności jest dalekosiężna wizja historyczna, w której wola i czyn realizowane są przez kolejne pokolenia. Los Polski zależy „od wszystkich aktów moralnych, które rodzą czyny i zmieniają rzeczywistość”. A rycerskość to wiara w nienaruszalność porządku moralnego.

REKLAMA

**JUBILEUSZOWA
X EDYCJA**

START 6 MARCA

NA WSZYSTKICH KONTYNETACH

**TROPEM
WILCZYM**

BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKŁĘTYCH

DOŁĄCZ NA tropemwilczym.org



PATRONAT

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
w Stalowej Odzyskaniu Niepodległości



ORGANIZATOR

FUNDACJA
**WOLNOŚĆ
I DEMOKRACJA**

WSPÓŁORGANIZATOR

wolne dźwięki.pl

MECENAS PLATYNOWY



MECENAS ZŁOTY



PARTNER EDUKACYJNY



PARTNER



PATRON MEDIALNY



PARTNER MEDIALNY



Również dziś musimy szukać źródeł siły i woli jako cnót niezbędnych dla zagwarantowania trwałości państwu polskiemu. Nie ma dwóch narodów. Są zakorzenienni w historii, patrzący w przyszłość Polacy, i są zapatrzeni w obce stolice zaprzańcy. Jest albo „realizm polityczny”, akceptacja prawa przemocy, albo prawdziwy realizm pamięci, woli, siły. Niech pozytywiści robią swoje, nie atakując romantyków. Wspólnym wrogiem pozytywistów i romantyków, takich jak Mochacki czy Piłsudski, są nominalni Polacy.

Ci nominalni Polacy mają imiona i nazwiska. W 1946 r., gdy w kraju – słowami Lechonia – „bezpieka i mordowanie ludzi”, Czesław Miłosz, urzędnik komunistycznej ambasady w Nowym Jorku, późniejszy noblista moralista, radzi komunistom w swych donosach, jak rozbijać jedność polskiej emigracji politycznej. Lechoń zerwał wszelkie kontakty ze swoimi przyjaciółmi, którzy poszli na ugodę z komunistami: Tuwimem, Słonimskim, Iwaszkiewiczem... A do tego w kraju Jastrun, Gałczyński, Brzechwa, Kazimierz Brandys. I peany na cześć Stalina pióra Dąbrowskiej oraz Nałkowskiej.

Jest dumne podniesienie głowy spod przygniatającego nas nieszczęścia. Można też podnieść głowę i szydzić. Jak Gombrowicz czy Mrozek. Lista uległosczyków długa.

CHOROBA I HOMOSEKSUALIZM

Biografia toczy się zgodnie ze swymi prawami. Mamy w niej wszystko, co jest niezbędne dla zrozumienia złożoności wyobraźni, niezwykłej poetyckiej mocy, kariery i życia Lechonia.

Jego historię zaczyna więc Wencel w XV w.: Litwa, możny ród Wolimuntowiczów od bojara Buszki się wywodzący; XIX w.: dziad legionista napoleoński i powstaniec listopadowy; potem wiek XX: dom, matka, skamandryci.

Rodzice Lechonia uważali się za ludzi nowoczesnych i łączyli antyklerykalizm z patriotyzmem. A sam Lechoń, jak pisze Wojciech Wencel, był „szczerym demokratą, zwolennikiem idei jagiellońskiej i federacyjnej, cenil tradycję oświeceniową, tropił »demony sarmatyzmu«, świetnie odnajdował się w kulturze francuskiej, w pewnym sensie był filosemitą”.

W swej opowieści Wencel dotyka dalej kolejnych jej wątków, są nimi poezja, dyplomacja, wojna i emigracja oraz najważniejsze: choroba i homoseksualizm.

Lechoń cierpiał na psychastenię (termin wprowadzony przez Janeta na początku XX w.). Genialne naśladowanie głosów, imitowanie fraz było efektem jednego z jej objawów: chorobliwej skłonności do powtarzania. Wyrazem manii arytmetycznej były budzące podziw „wyliczniki” koronowanych głów czy rankingów sztuk teatralnych. Do tego inne objawy: wstręt do szarej rzeczywistości, odrealnienie i depersonalizacja, po wrażeń widzenia siebie z oddalenia, nieustanna aktywność mózgu,

werbalna nadpobudliwość prowadząca do wygłaszania zdań raniących, niezgodnych z intencjami, poczucie niespełnienia, brak wiary w siebie, obsesje, fobie, nieuzasadnione lęki i poczucie winy, permanentne zmęczenie, bezsenność, skurcze mięśni, ogólna nieporadność, w tym trudność z naciskaniem klamki u drzwi czy otwieraniem parasola. Oto cierpienie, które w końcu powaliło Lechonia. A już dużo wcześniej, dwuletni epizod psychastenii zakończył się w 1921 r. próbą samobójczą. Będącego w agonii poetę uratował wymodlony przez matkę u Maryi cud.

NAWRÓCENIE FAUNA

Zdobiający okładkę biografii obraz Jacka Malczewskiego „Rycerz i faun” oddaje dwoistość osobowości poety i tragizm jego losów. „Poezja kontra kabaret, powaga kontra szyderstwo, patos kontra dowcip, oryginalność kontra małpiarstwo, rycerska cnota (virtus) kontra rozwiązłość, patriotyzm kontra egocentryzm, pogarda dla świata kontra snobizm, szlachetna duma kontra bufonada, wspaniałomyślność kontra próżność, duch służby kontra duch wygodny, stałość poglądów kontra podatność na modę...”. Jak sam Lechoń zapisał: „egzystuję we mnie dwaj niemający ze sobą nic wspólnego ludzie, będący ze sobą w ciągłej wojnie”. Czasami zachowywał się w sposób przedziwny. Tarzał się w ubraniu w pościeli, zdarzało się, że rżał, zamiast się śmiać. W swej błyskotliwej inteligencji regularnie czytał horoskopy i wierzył we wróżby.

Lechoń nawrócił się w ostatnich latach życia. Pierwszy raz przystąpił do komunii jako 50-letni mężczyzna. Jednak długo bagatelizował swój homoseksualizm. Ale zagłuszanie głosu sumienia nie skończyło się cynizmem. Stąd też nienawiść środowiska paryskiej „Kultury”. „Nie potrafili pogodzić się z faktem, że człowiek złamany grzechem nie szydzi z wartości duchowych, lecz wciąż wznosi głowę, aby wielbić i czcić” – pisze Wojciech Wencel.

Ostatni czas poety to potworne cierpienie, „umysł w celi śmierci”, wyrzuty sumienia, poczucie zdrady świętości, rozpacz, która, jak pisał, „nie jest normalna”.

Skąd pochodziła siła, która odebrała poecie życie: z serca czy z dręczonego chorobą mózgu? I dlaczego katolicki pogrzeb mniemanego samobójcy? Uwięziony wówczas w Komańczy Prymasa Tysiąclecia zapisał: „Ufam spokojnie, że Dobry Bóg da mu jak Hiobowi wszystkiego siedmiokroć”.

* * *

„Karmazynowy poemat”, „Srebrne i czarne” będą czytane i przeżywane, dopóki będzie istnieć polszczyzna. Lechoń ma miejsce przy Kochanowskim, Mickiewicz i Słowackim. Cokolwiek zrobią nobliści i ich protektorzy.

Robert Tekieli



Aby zdrowie było priorytetem

Ostatnie dwa lata to trudny okres dla polskiej onkologii. Zaburzenia w działaniu systemu ochrony zdrowia podczas pandemii spowodowały, że nowotwory są wykrywane z większym opóźnieniem, w dużo bardziej zaawansowanym stadium. Szczęólnego znaczenia nabiera dostępność do najskuteczniejszych terapii i najefektywniejszych metod leczenia. W kontekście wdrażania Narodowej Strategii Onkologicznej powstaje wiele pytań: w jaki sposób zapewnić szerszą i szybszą diagnostykę oraz lepszą dostępność leczenia nowotworów? Które terapie onkologiczne zasługują na priorytetowe traktowanie? W jakich obszarach leczenia nowotworów są największe potrzeby i możliwości?

Podczas debaty „Onkologia w dobie pandemii” o odpowiedzi na najbardziej palące pytania poprosiliśmy liderów środowiska naukowego, klinicystów i ekspertów: Macieja Miłkowskiego, podsekretarza stanu w Ministerstwie Zdrowia, dr. hab. n. med. Adama Maciejczyka, prezesa Polskiego Towarzystwa Onkologicznego, prof. dr hab. n. med. Iwonę Hus z Instytutu Hematologii i Transfuzjologii, prof. dr hab. n. med. Agnieszkę Wierzbowską z Kliniki Hematologii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, prof. dr. hab. n. med. Wojciecha Jurczaka, kierownika pododdziału leczenia nowotworów układu chłonnego krakowskiego oddziału Narodowego Instytutu Onkologii Państwowego Instytutu Badawczego, dr. hab. n. med. Ernesta Kuchara, kierownika Kliniki Pediatrii z Oddziałem Obserwacyjnym Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, przewodniczącego Polskiego Towarzystwa Wakcynologii, oraz Annę Kupiecką, prezes Fundacji OnkoCafe – Razem Lepiej. Debata moderował red. Krzysztof Jakubiak.

Od kilku lat dzięki decyzjom re-sortu zdrowia kolejne nowe terapie w hematoonkologii są obejmowane

refundacją i udostępniane pacjentom. Najgorszymi wskaźnikami przeżywalności spośród wszystkich białaczek cechuje się ostra białaczka szpikowa. Jakże są obecnie trendy i rekomendacje towarzystw naukowych w leczeniu pacjentów?

Agnieszka Wierzbowska: To dla nas bardzo ważny czas. Choć wiele terapii zostało udostępnionych, ostra białaczka szpikowa pozostawała w cieniu innych nowotworów, mimo że w jej leczeniu dokonał się w ostatnich trzech latach niewątpliwy przełom. To jeden z najbardziej agresywnych nowotworów, który nieleczony lub leczony nieprawidłowo doprowadza do zgonu w ciągu kilku tygodni. Przez 40 lat niewiele się zmieniło w leczeniu tej choroby, jednak ostatnie lata to czas niezwyklego rozwoju technik molekularnych i dobrego poznania biologii ostrej białaczki szpikowej. Dziś znamy ponad 30 mutacji genów, które mogą do niej doprowadzić. To rozróżnienie jest podstawą klasyfikacji prognostycznych: definiują grupy chorych o różnym ryzyku nawrotu choroby, co pozwala hematologom wybrać optymalne terapie dla różnych pacjentów. W Polsce standardy diagnostyki i leczenia ostrej białaczki

szpikowej regulowane są poprzez rekomendacje grupy roboczej European Leukemia-Net. Definiują one nie tylko minimum badań diagnostycznych niezbędnych do właściwego rozpoznania, lecz również właściwe strategie terapeutyczne. Wszystkie decyzje lecznicze opierają się dziś na właściwej klasyfikacji i analizie zaburzeń genetycznych w ostrej białaczce szpikowej. Dużą część chorych stanowią osoby starsze, dlatego wybór optymalnej terapii opiera się w pierwszej kolejności na ocenie, czy pacjent kwalifikuje się do intensywnej chemioterapii (tzn. czy jest w dobrym stanie ogólnym i nie ma chorób dodatkowych zwiększających ryzyko zgonu związanego z intensywnym leczeniem), czy też nie. Leczenie intensywne przebiega dwuetapowo: najpierw musimy doprowadzić do remisji choroby, a potem stosujemy dalszą agresywną chemioterapię i/lub przeszczep szpiku w celu zapobieżenia nawrotowi choroby. Naszym celem jest wyleczenie chorych – i wśród osób kwalifikujących się do intensywnej terapii połowa zostaje wyleczona. W ostatnich latach przeszliśmy do tzw. medycyny precyzyjnej: terapia jest indywidualizowana i personalizowana w zależności

od obecności lub braku określonych mutacji genetycznych, dla których mamy terapie celowane.

Natomiast ogromną i niezaspokojoną potrzebą medyczną jest leczenie chorych niekwalifikujących się do intensywnej chemioterapii. Tym chorym przez lata oferowano niskodawkowaną chemioterapię, która nie była bardzo efektywna – doprowadzała do remisji jedynie kilkanaście procent pacjentów. Obecnie w Europie są zarejestrowane leki znacznie poprawiające wyniki leczenia (zarówno szanse na uzyskanie remisji, jak i całkowite przeżycie), ale wciąż leczenie tej grupy chorych pozostaje wyzwaniem. Wraz z rozwojem technik transplantacyjnych wiemy, że część osób, które nie kwalifikują się do intensywnej chemioterapii indukującej, ale uzyskują remisję za pomocą terapii niskodawkowanej, może być zakwalifikowana do transplantacji.

Maciej Miłkowski: Rze-

czywiście przez długie

lata nie działa się nic.

Dopiero w zeszłym

roku uruchomi-

liśmy program

lekowy dla ostrej

białaczki szpi-

kowej. W więk-

szości wskazań

refundowana jest

chemioterapia

standardowa, ale fi-

nansujemy w zakresie

chemioterapii dla ostrej

białaczki szpikowej pierwsze

nowoczesne leki. Mamy złożonych

kilka wniosków rozszerzających pro-

gram lekowy, są one procedowane.

Będziemy dążyć do tego, aby je przy-

jąć. Są różne problemy kosztowe, lecz

również technologiczne. Program le-

kowy to nie tylko wydanie decyzji, ale

przygotowanie całego programu. Stra-

tegią w bieżącym roku jest podejście

kompleksowe w zakresie zwiększania

dostępu do nowych terapii. Będziemy

chcieli otwierać określone programy

lekowe w konkretnych obwieszcze-

niach refundacyjnych, doprowadza-

jąc wszystkie postępowania na poziom



decyzji i podejmować pozytywne rozstrzygnięcia, przyjmując jak najszersze spektrum terapii. W tym roku będzie się wiele działo!

Agnieszka Wierzbowska:

W przypadku ostrej biał-

ączki szpikowej aktywna

choroba zawsze wiąże się

z niedoborem odporno-

ści i infekcjami, które

są główną przyczyną

zgonów i hospitalizacji.

Uzyskanie remisji wiąże

się z kontynuacją lecze-

nia w warunkach ambu-

latoryjnych, skierowania do

transplantacji i wyleczenia – czyli

powrotu do życia społecznego, zawo-

dowego, co zmniejsza koszty systemu.

Ten aspekt ekonomiczny powinien być

brany pod uwagę.

Innym typem białaczki jest przewlekła białaczka limfocytowa. W tym przypadku bardzo ważne jest zagrożenie ze strony COVID-19, ponieważ pacjenci chorują dużo ciężiej, w związku z tym mówi się o śmiertelności na poziomie 30 proc. Od listopada terapia jest refundowana. Czy po tych ostatnich decyzjach możemy mówić o pełnym zabezpieczeniu najbardziej potrzebującej grupy chorych?

Iwona Hus: Zgodnie z obowiązującymi zasadami nie wszyscy pacjenci z PBL wymagają leczenia, tylko ci, u których jest progresywna, zaawansowana postać choroby. Immunochemioterapia, która w swoim czasie stanowiła podstawę leczenia tej choroby, dziś wiemy, że pomaga nie wszystkim pacjentom, np. tym z zaburzeniami genetycznymi. Niektóre zaburzenia zmieniają się wraz z progresją choroby. Wskazane jest zatem, aby oznaczać je przed każdą kolejną linią terapii. To jest na razie w Polsce tylko teoria, wyniki tych badań molekularnych nie wpływają na decyzję o terapii, a część chorych powinna być leczona inaczej już w pierwszej linii. Sytuacja zmienia jednak się na lepsze. Listopadowe decyzje bardzo przyczyniły się do tej zmiany. Dostęp do nowoczesnych leków jest coraz lepszy: mamy terapię celowaną dostępną już w pierwszej linii. Niestety nie wszyscy chorzy mogą z tego skorzystać, np. ci bez chorób współistniejących, którzy nie kwalifikują się do programu lekowego. Najważniejszą potrzebą w przypadku PBL jest zapewnienie dostępu do nowych leków w pierwszej linii dla chorych z delecją 17p i niezmutowanym statusem genów IGVH. W dobie pandemii COVID-19 nasi pacjenci to

grupa chorych, która wymaga specjalnego spojrzenia. Infekcje są przyczyną śmierci 50–60 proc. pacjentów z przewlekłą białaczką limfocytową. Sama choroba powoduje duże zaburzenia w systemie odporności, do tego dochodzi terapia, która wpływa na czas szczepień i ich skuteczność. O ile dla zdrowej populacji szczepienia są najważniejsze, o tyle naszym chorym potrzebne są inne rozwiązania, gdyż tylko połowa z nich wykształci odporność poszczepienną. Wiedza o COVID-19 rozwija się dynamicznie i pojawiają się leki zmniejszające ryzyko ciężkiego przebiegu. Ogromne znaczenie ma także profilaktyka przedekspozycyjna.

Anna Kupiecka: Jako pacjenci już długo towarzyszymy zachodzącemu procesowi jak najwcześniejszego włączania leczenia. Kroki, w jaki sposób można to osiągnąć, są przeróżne: zaczynając od wykrywania chorób hematologicznych już na poziomie POZ, poprzez budowanie świadomości społecznej w tym temacie, jak również wdrażanie najlepszego leczenia już na pierwszym etapie choroby. To niezwykle ważne nie tylko z punktu widzenia pacjenta. Państwo ponosi bowiem duże straty, jeśli odpowiednio wcześniej nie zaopiekuje się pacjentem, często aktywnym zawodowo, z zaangażowaną wokół niego rodziną, która przez jego chorobę również wyłącza się z życia społecznego i zawodowego – szybka interwencja to zmieni.

Maciej Miłkowski: Cieszymy się, że udało nam się tę dostępność do terapii w listopadzie poszerzyć. Sprawnie odbyły się negocjacje i pełna oferta firmy została przyjęta. Obecnie procedujemy dwa wnioski refundacyjne na kolejne leki. Co będzie z lekami przeciwwirusowymi – na COVID-19 – nie wiadomo. Negocjacje są trudne. Nie jest to spotykana sytuacja, aby państwo brało na siebie pełną od-

powiedzialność za działanie leku, za jego skutki uboczne, działania niepożądane, kupując za wysoką cenę lek od firmy farmaceutycznej.

Trzeci obszar hematologiczny to leczenie chłoniaków. W ostatnich 10 latach jesteśmy świadkami rewolucji w ich leczeniu. Wiąże się to z wprowadzeniem nowych leków o alternatywnych mechanizmach działania. W przypadku chłoniaka z dużych komórek B blisko 60 proc. chorych udaje się wyleczyć w pierwszej linii leczenia. Ale z drugiej strony rokowania pacjentów opornych i nawrotowych są bardzo złe. Jakim wyzwaniem jest dziś ich leczenie?

Wojciech Jurczak: Padliśmy ofiarą własnego sukcesu. Podzieliliśmy chłoniaki na tyle podtypów, że żaden nie jest dostrzegany... W leczeniu chłoniaków immunochemioterapia i przeszczepy komórek macierzystych są w Polsce jedynymi w pełni dostępnymi metodami leczenia.

Przeciwciała monoklonalne stały się przełomem w leczeniu chłoniaków już 20 lat temu. Natomiast eskalacja dawek chemioterapii – kiedyś jedyna nadzieja u chorych ze wznową/opornością procesu – jest obecnie, w większości przypadków, przyznaniem się do porażki. 30 lat temu można było, poddając autologicznemu przeszczepieniu szpiku, skutecznie wyleczyć połowę chorych z agresywnymi chłoniakami, dziś to mniej niż 20 proc. Wznawiają przypadki naprawdę trudne, oporne, gdzie eskalacja dawek chemioterapii nic już nie daje. Rewolucja, jaka dokonała się w ostatnich latach w leczeniu chłoniaków, to rozwój metod immunoterapii, leków ukierunkowanych molekularnie i celowanej chemioterapii. Niestety większość z nich jest dla polskich chorych niedostępna, nawet jeżeli te same leki (np. inhibitory punktu kontrolnego czy leki immunomodulujące) są re-

fundowane dla pacjentów z innymi chorobami nowotworowymi. Jedynie polska transplantologia jest na europejskim poziomie, a wyniki przeszczepów allogenicznych, w tym od dawców niespokrewnionych, są w pełni porównywalne. To idealna metoda w sytuacji, gdy chorobę można wcześniej doprowadzić do remisji, by dać czas niezbędny do tego, by przeszczepiony układ immunologiczny zaczął skutecznie działać. Przeszczepy allogeniczne nie są dobrą metodą leczenia przypadków opornych, zwłaszcza z dużą masą guza. W takich przypadkach standardem jest terapia komórkowa

CAR-T, która również nie jest finansowana w ramach NFZ. Dedykowany program Narodowego Centrum Nauki jest otwarty na przyszłość, dziś terapię CAR-T można finansować jedynie zbiorcami publicznymi.

Alternatywy mogą być

w takich przypadkach, będące w fazie badań klinicznych, przeciwciała bispecyficzne, które staramy się oferować naszym pacjentom. Drugą grupą leków są leki ukierunkowane molekularnie – i tu pacjenci z chłoniakami nie mają zapewnionej ich refundacji. Również w przypadkach tak jednoznacznych jak wznowa chłoniaka z komórek płaszczu, oporna na chemioterapię, gdzie nie ma dla nich żadnej alternatywy. Tak dużo zależy tu od siły lobbingu: w szpiczaku mnogim mamy refundację kolejnej terapii celowanej. Pacjenci z chłoniakiem z komórek płaszczu – ludzie starsi, bezsiły przebicia – zostali przez państwo polskie zapomniani. To nad nimi szczególnie powinniśmy się pochylić. Połowiczny sukces odnosimy w celowanej chemioterapii. Niektóre leki są refundowane – finansowane bardzo adekwatnie, np. u chorych z chłoniakiem Hodgkina. Trzymamy teraz kciuki za lek będący nadzieją dla chorych z chłoniakiem rozlanym z dużych limfocytów B – najczęstszego



z chłoniaków – który jest obecnie w trakcie akceptacji. Oby się udało!

Mamy na koniec olbrzymi problem z COVID-19 wynikający z dwóch rzeczy: trudnej do zaakceptowania śmiertelności zakażonych pacjentów w trakcie leczenia chłoniaka (choroby nowotworowej układu immunologicznego) oraz niestety częstego unikania szczepień – przez pacjenta, jego rodzinę i otoczenie.

Maciej Miłkowski: Refundacja nie zależy tylko od nas. Rozmawiamy, negocjujemy, ale nie zawsze firma zgadza się na nasze warunki. Pacjenci są bez leku, a my czekamy kolejny rok na rozprawę sądową.

W jaki sposób resort podchodzi do pojawiających się nowych terapii rejestrowanych m.in. w onkologii? Czy jest szansa na wypracowanie takiego podejścia, aby najskuteczniejsze, przełomowe terapie były wprowadzane do refundacji szybciej?

Maciej Miłkowski: Pośpiech nigdy nie jest dobrym doradcą dla decydenta, szczególnie w momencie podejmowania decyzji o objęciu refundacją kolejnych opcji terapeutycznych. Modelowa terapia powinna być zarówno skuteczniejsza, jak i tańsza od obecnie istniejących opcji terapeutycznych dostępnych w danym wskazaniu klinicznym. Taka sytuacja zdarza się niezwykle rzadko, aby nowoczesna, innowacyjna terapia procedowana w procesie refundacyjnym spełniała oba warunki jednocześnie. Zgodnie z informacjami zawartymi na stronie clinicaltrials.gov obecnie na świecie prowadzonych jest ponad 330 tys. badań klinicznych, z czego ok. 30 proc. stanowi wskazania w zakresie nowych terapii onkologicznych. Na przestrzeni kilku ostatnich lat zauważa się tendencje do rejestracji przez FDA oraz EMA nowych terapii z niezakończonymi badaniami trzeciej fazy, gdzie niejednokrotnie wyniki osiąganych punktów końcowych w postaci najbardziej wiarygodnych parametrów – twardej punkty końcowych, czyli przeżycia całkowitego oraz przeżycia wolnego od progresji – są niedojrzałe i dochodzi do sytuacji, że decydent porusza

się w dużym obszarze niepewności. Należy podkreślić, że interesariusze szczególnie w obszarze big pharma prześcigają się w ekwilibryście słuszności kompensowania ryzyka pod postacią instrumentów opartych na badaniach klinicznych. Zdawać by się mogło, że jeśli wnioskodawca przychodzi z niesamowicie innowacyjną terapią, powinien być pewien skuteczności leczenia, jednak nic bardziej mylnego, ponieważ takie instrumenty w obecnie istniejącym polskim systemie refundacji można liczyć w jednostkach. Drugim szczególnie ważnym aspektem są kwestie opłacalności terapii. W ostatnich latach koszt innowacyjnych terapii zwiększył się o kilka rzędów wielkości w porównaniu ze standardowymi terapiami obecnymi w polskim systemie refundacji za sprawą pojawienia się terapii genowych lub komórkowych. Jest to szczególnie trudne w przypadku podejmowania decyzji refundacyjnych w zderzeniu z ograniczonym ustawowo do 17 proc. wydatków budżecie przeznaczonym na refundację.

Warto podkreślić, że każde obwieszczenie Ministra Zdrowia dotyczące listy leków refundowanych przynosi dobre wiadomości dla pacjentów oczekujących na refundację leków w schorzeniu, na które cierpią. W 2021 r. zrefundowanych zostało 68 innowacyjnych terapii, z czego aż 32 cząsteczkowskazania dotyczyły wskazań onkologicznych. Dotyczy to nowych cząsteczek lub nowych wskazań refundacyjnych dla szerszych populacji. Od początku istnienia ustawy refundacyjnej to właśnie w 2021 r. zaoferowano polskim pacjentom najwięcej możliwości w dostępie do innowacyjnych terapii.

Jakie są możliwości, aby szybciej identyfikować i wprowadzać do leczenia te nowe terapie, które zasługują na miano przełomowych? Czy Rada Przejrzystości analizuje ten problem?

Adam Maciejczyk: Terapie przełomowe wprowadzane są w Polsce z kilkuletnim opóźnieniem. Opóźnienie to nie zawsze wynika z działań AOTMiT.

Zależy to m.in. również od terminu złożenia przez firmę farmaceutyczną wniosku refundacyjnego do MZ. Bardzo istotne jest, aby wszystkie strony uczestniczące w przygotowaniu nowego programu lekowego odpowiednio dopracowały cały proces. Dotyczy to zarówno właściwej oceny wielkości populacji pacjentów, jak i odpowiednio przemyślanych zapisów treści programu lekowego. Kluczową jednak funkcję w zakresie sprawnej organizacji i nadzoru nad wdrożeniem nowych terapii pełni Ministerstwo Zdrowia. Wniosek składany do ministra powinien być dobrze przemyślany. Wydanie opinii przez prezesa Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji nie kończy całego procesu. Wniosek refundacyjny przechodzi dalsze etapy procedowania w komisji ekonomicznej MZ. Wysoko cenię opinie i analizy Agencji, gdyż dają możliwość zrozumienia istoty problemów związanych z wdrażaniem danej technologii. Często wynikają one z niezrozumienia zasad wejścia do systemu refundacji, złej oceny populacji pacjentów czy też błędnego opisu zakresu wskazań kwalifikacji do programu. Tu jest olbrzymi potencjał do przeanalizowania i wypracowania sprawniejszych mechanizmów działania. Czas realizacji oceny wniosku został ostatnio bardzo skrócony – przynajmniej w części leżącej po stronie AOTMiT. Jestem pozytywnie zbudowany profesjonalizmem analityków i uwagą ekspertów całej Rady, którzy starają się wprowadzić do systemu refundacji leki o potwierdzonej skuteczności klinicznej. Priorytety w zakresie wyboru najbardziej oczekiwanych nowych terapii dla różnych specjalistów są odmienne, trzeba jednak znaleźć sposób na porównanie wartości leków. W zakresie onkologii klinicznej można wykorzystać parametry wynikające z klasyfikacji ESMO, MCBS. Olbrzymia, chociaż rzadko wykorzystywana w procesie refundacji, jest również rola konsultantów wojewódzkich i krajowych. Często brakuje aktywności z ich strony, np. przy wydawaniu opinii na temat propozycji zapisów w nowych programach lekowych. Jest to bardzo ważny moment w procesie refundacji, w który klinicyści mogą aktywnie się

włączyć, sugerując jakieś zmiany czy poprawki w treści programu lekowego. Dobrze opisany program lekowy na pewno ma szansę szybciej przejść proces refundacyjny i uzyskać pozytywną decyzję o refundacji.

Jak ważne z punktu widzenia wakcynologów jest wprowadzenie powszechnego programu bezpłatnych szczepień przeciwko HPV?

Ernest Kuchar: Szczepienia HPV wpisują się w szerszy kontekst. Szczepionka niepodana jest w 100 proc. nie skuteczna. Mamy dziś w pełni refundowane szczepienia przeciw COVID-19 i grypie, mamy 50 proc. refundacji szczepionki przeciwko HPV, natomiast obawiam się, że chętnych na szczepienie nie będziemy mieli zbyt wielu. Prawdopodobnie nie osiągniemy planowanego efektu. To dlatego, że zbudowanie i utrzymanie zaufania do szczepień jest procesem, który wymaga zaangażowania i poparcia politycznego. Wymaga udziału wielu stron. Wystarczy, że jedna strona społeczna jest przeciwna szczepieniu lub niejednoznacznie je popiera, aby ta sprawa się nie udała. My wprowadzamy szczepienia przeciw HPV późno. Australia wprowadziła je ponad 10 lat temu. Widzę to w ciemnych barwach, obserwując to, co dzieje się ze szczepieniami przeciw COVID-19. Jeżeli w sytuacji zagrożenia pandemicznego w Polsce nie byliśmy w stanie zaszczepić grup ryzyka, to jak wyobrazić sobie, że zaszczepimy dziewczynki, gdy między szczepieniem a ewentualnym rakiem mijają dziesięciolecia, więc mało kto widzi związek pomiędzy potrzebą profilaktyki a zagrożeniem. Wprowadzenie refundacji 50 proc. tej szczepionki jest bardzo dobrym ruchem, bo cena szczepienia w Polsce jest barierą dla większości ludzi, a objęcie refundacją jest też sygnałem akceptacji i poparcia władz państwowych.



Maciej Milkowski: Szczepionka jednego z producentów refundowana w 50 proc. jest dostępna w pełnym zakresie. Druga szczepionka jest w procesie refundacyjnym, który, mam nadzieję, niebawem się zakończy i może już w marcu będzie również z refundacją 50 proc. Dodatkowo będzie wprowadzony związany z Narodową Strategią Onkologiczną Program Polityki Zdrowotnej dla dziewczynek. Rozważany jest podział na trzy grupy wiekowe – dla trzech roczników, co może zwiększy efekt.

Jakie działania Ministerstwo Zdrowia ma zamiar podjąć w celu przyspieszenia procedowania ustawy, która zawiera zapis dotyczący możliwości zakupu szczepionek zalecanych?

Maciej Milkowski: W Ministerstwie Zdrowia jest procedowany obecnie projekt ustawy o zmianie ustawy o świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych oraz niektórych innych ustaw (UD 331), zgodnie z którym przewiduje się zmianę w ustawie o chorobach zakaźnych umożliwiającą zakup szczepionek zalecanych w ramach PSO oraz równoległe w ustawie o Funduszu Medycznym – poprzez zabezpieczenie środków z subfunduszu profilaktyki, gdzie będzie można sfinansować zakup tych szczepionek przez ministra zdrowia. Projektowane przepisy były pierwotnie zawarte w projekcie ustawy wprowadzającej Fundusz Kompensacyjny UD1449, nad którym prace zostały zawieszone. Ustawa jest procedowana po konsultacjach zewnętrznych przed komitetem stałym RM. Działania legislacyjne są prowadzone z uwzględnieniem pilności proponowanych zmian w projekcie. Rozwiązanie prawne zapewni pełne sfinansowanie zakupu szczepień przeciw HPV po stronie MZ. Niezależnie od źródła finansowania szczepionki byłyby kupowane przez ministra zdrowia. W tym zakresie konieczna jest zmiana ustawy o FM lub/ oraz ustawy zakaźnej.

Na koniec pytanie: jakie są priorytety zmian systemowych w leczeniu nowotworów w Polsce?

Adam Maciejczyk: Bardzo potrzebujemy wprowadzenia zmian systemowych, i to na wielu płaszczyznach. To, co jest jednak najważniejsze, to konsekwencja w ich wdrażaniu. Ważne jest, aby przestać już o tym tylko mówić, ale również udowodnić, że zdrowie stało się priorytetem i zacząć pokazywać wprowadzane zmiany i ich efekty. Mimo trudnych czasów, w których wyraźnie zobaczyliśmy, jak ważna jest medycyna, nie odczuliśmy, że staliśmy się priorytetem w działaniach polityków. Narodowa Strategia Onkologiczna dobrze opisuje najważniejsze tematy i priorytety: zaczynając od profilaktyki, poprzez dostęp do odpowiedniej liczby specjalistów, edukację, organizację i dostęp do procedur czy leków. W NSO założyliśmy, że pacjentom onkologicznym zostanie zapewniony dostęp do 90 proc. zarejestrowanych leków. Jednak wskazania do stosowania tych leków i określenie, w jakiej kolejności będą refundowane, należy wspólnie ustalić. Musimy zadbać o to, by nie wykluczyć żadnego pacjenta z dostępu do nowych terapii, lecz jednocześnie zapewnić refundację sprawdzonych i realnie skutecznych terapii. Bardzo ważna jest też racjonalizacja i optymalizacja wydawanych środków. Dotyczy to np. Funduszu Medycznego. Obecnie kończymy pilotaż Krajowej Sieci Onkologicznej. Nauczyliśmy się zbierać i analizować zebrane dane. Możemy więc skutecznie wdrożyć Krajową Sieć Onkologiczną, tworząc funkcjonalny system do mierzenia efektów wdrażanych modyfikacji. Prób doraźnego naprawienia onkologii było kilka, ale okazały się one skuteczne jedynie w zakresie zakupu sprzętu. Konieczny jest jednak dalszy, ciągły rozwój w procesach naprawy opieki onkologicznej i skupienie się na poprawie sytuacji pacjentów. KSO daje taką szansę. 

Notowała Anna Niczyperowicz

Partnerami debaty organizowanej przez Grupę Medialną Fratria są firmy AbbVie, AstraZeneca, MSD oraz Roche.

System kaucyjny w Polsce? Czas zacząć dyskusję

System kaucyjny jest Polsce niezbędny, jeżeli chcemy wypełnić minima selektywnej zbiórki i recyklingu, jakich wymaga od nas Unia Europejska, a o samym projekcie w kuliach mówiło się już od wielu miesięcy. Ostatecznie 31 stycznia polscy przedsiębiorcy otrzymali do konsultacji od Ministerstwa Klimatu i Środowiska projekt polskiego systemu kaucyjnego. Doceniając pracę urzędników, branża producentów i przedstawiciele sieci handlowych zwracają uwagę na kilka niedociągnięć projektu, które mogą znacznie utrudnić wprowadzenie oraz monitoring tak istotnego i pożądanego systemu kaucyjnego



Jak wskazują przedstawiciele sieci handlowych, wprowadzanie obowiązkowego systemu kaucyjnego na butelki szklane wielokrotnego użytku o pojemności poniżej 1,5 litra może grozić gigantycznym chaosem na rynku. Sprzedawcy zwracają uwagę na liczbę i mnogość rodzajów butelek szklanych na rynku. Zwłaszcza że od lat kształt butelki był dla niektórych firm elementem marketingu, który pozwalał rozpoznać np. piwo na półce, a klientów przyzwyczajał do określonego kształtu, koloru i faktury. To marketing i handel pozwalał na wprowadzenie napoju o określonej pojemności. Na rynku nie ma zatem jednej, standardowej butelki o pojemności 0,5 litra do piwa, nie ma też jednolitych o mniejszej pojemności.

GDZIE TO POSTAWIĆ?

Podobnie jest z innymi napojami, dla których kształt i pojemność szklanej butelki stały się znakiem rozpoznawczym. Tym samym obowiązkowy system kaucyjny na wszystkie butelki wprowadzić może, zdaniem handlowców, olbrzymi chaos w punktach zbiórki. A mają one powstać w każdym sklepie o powierzchni ponad 100 mkw. Pytanie zatem brzmi, jaką powierzchnię zajmą punkty odbioru opakowań szklanych, przystosowane do przyjęcia całej oferty butelek dostępnej na rynku? Warto rozważyć ten problem już na etapie konsultacji, zanim zmusimy sieci do tworzenia zupełnie nowej części działalności – wynajmu powierzchni pod skład butelek.

EWIDENCJA I MONITORING

To właśnie mnogość rodzajów opakowań utrudni, zdaniem branży handlowej, przebieg zbiórki i recyklingu. Nie wiemy wciąż, jak ma wyglądać niezbędna ewidencja. Można domniemywać jedynie, że informacje o opakowaniach kaucyjnych powinny być zbierane do specjalnej bazy danych. Taka baza powinna być jednolita, by można

było przeprowadzać odpowiednie, niezbędne analizy w całej Polsce, dla wszystkich opakowań na rynku. Brak jednolitej podstawy będzie prowadzić do wspomnianego już wyżej chaosu i uniemożliwi przejrzystą koordynację całego procesu kaucyjnego. Tego jednak projekt nie precyzuje, pozostawiając kwestię ewidencji i monitoringu w sferze domysłów.

MLEKO? DZIĘKUJĘ...

To jasne, że opakowania PET powinny być zbierane, a butelki powinny być produkowane z komponentów pochodzących z odzysku. Polska ma silną pozycję w dziedzinie chemii polimerowej i w tym obszarze możemy stworzyć hity eksportowe. Złożyć jednak należy, że konsument odda opakowanie nieumyte albo umyte niedokładnie. I o ile w przypadku wody mineralnej czy coli nie stanowi to problemu, o tyle opakowania po przetworach mlecznych mogą się w czasie składowania zepsuć. Jak słyszymy od przedstawicieli handlu, na który spadnie obowiązek gromadzenia zwrotów, pomijając oczywiste kwestie zapachowo-estetyczne, mleko i pochodne są produktami zwierzęcymi (kategoria 3), przez co mogą wymagać nadzoru weterynaryjnego. Oczekiwanie, że w każdym punkcie zobligowanym do przyjmowania opakowań, czyli de facto w każdym sklepie, będzie dyżurował weterynarz, jest przecież nierealne. Dlatego branża handlowa postuluje już, by opakowania po przetworach mlecznych wyłączyć z kaucyjnego systemu selektywnej zbiórki. Pozy-skany plastik ma przecież gwarantować bezpieczeństwo higieniczne, aby po przerobieniu na recyklat mógł być wykorzystywany do produkcji opakowań spożywczych, w tym wypadku napojów. To z pewnością temat, z którym autorom projektu przyjdzie się jeszcze zmierzyć.

KONKURENCJA

Propozycja, by system kaucyjny miał wielu operatorów, ma zwolnen-

ników i przeciwników. Zdaniem ekspertów z branży handlowej wszyscy operatorzy powinni oferować jednolitą, regulowaną stawkę. Potencjalna wojna cenowa, w której systemy kaucyjne będą z sobą konkurować ceną usług (obowiązkowych), może spowodować, że ceny spadną do poziomu kosztu krańcowego, co w naturalny sposób będzie faworyzować największych graczy na rynku.

POTRZEBNY CZAS

Ostatnim elementem układanki wokół projektu polskiego systemu kaucyjnego jest, jak to zwykle bywa przy wprowadzaniu nowych przepisów, okres *vacatio legis*. To niezbędny czas na dostosowanie producentów, sprzedawców, sieci i dystrybucji oraz firm recyklingowych do nowych zasad. W czasie wielu debat przedstawiciele wszystkich zainteresowanych systemem kaucyjnym branż jasno deklaruwali – nie jesteśmy przeciwnikami systemu, ale potrzebny jest czas na przygotowanie rynku. Minimalny czas – dwa lata – pozwoli najpewniej system zaimplementować, ale by działał on poprawnie, sprawiedliwie i efektywnie, potrzebne są przynajmniej cztery lata – przekonują handlowcy. Dość tylko przypomnieć, że to branża szczególnie doświadczona zmieniającymi się przepisami, stąd na projekt systemu kaucyjnego stara się spojrzeć realistycznie.

Ambitne cele nie zawsze uzasadniają bowiem wprowadzanie przepisów wymaganych przez unijne rozporządzenia na chybił trafił, by później latami je poprawiać. Tym razem mamy szansę na szeroką debatę, wskazanie wielu i niebezpieczeństw wynikających z projektowanych przepisów i wprowadzenie przemyślanego, wypracowanego w dialogu z wszystkimi zainteresowanymi prawa.

*Marek Lachowicz,
we współpracy
z Fundacją Instytut Samorządowy*



Czy to już koniec polskich skoków?

Dawid Kubacki zdobył brązowy medal w skokach na normalnej skoczni. Kamil Stoch był czwarty na dużej. I to by było na tyle, jeśli chodzi o sukcesy w ukochanej zimowej dyscyplinie Polaków na igrzyskach w Pekinie. Trudno nie odnieść wrażenia, że jesteśmy świadkami schyłku tego wszystkiego, co tak nas cieszyło przez ostatnie lata. Kamil Stoch (35 lat), Piotr Żyła (35 lat) i Dawid Kubacki (32 lata) powoli zbliżają się do końca karier



CEZARY KOWALSKI

Najsmutniejsze jest to, że mimo małyzomanii, a później ciągnięcia wózka przez Stocha, Żyłę, Kubackiego i spółkę, ogromnej popularności skoków w Polsce, ich następców niestety nie widać.

Mimobrązowego medalu olimpijskiego Kubackiego, zdobytego trochę niespodziewanie i szczęśliwie, przy błysku geniuszu w trudnym momencie, jest to najslabszy od lat sezon w wykonaniu polskich skoczków narciarskich. Następny może być równie słaby albo jeszcze gorszy.

Owszem, Kubacki potrafił jeszcze raz pokazać, że jest nieprzewidywalny i zdobył medal, na który nikt chyba nie liczył, łącznie z nim samym. Owszem, Stoch w piękny sposób, po wielu słabych konkursach Pucharu Świata, odbudował swoją formę, zrobił nagły zryw i pokazał się w Pekinie z bardzo dobrej strony, a do medalu na dużej skoczni zabrakło mu trochę szczęścia. To miejsce tuż za podium i lży mistrza zapamiętamy może nawet bardziej niż jego złote medale olimpijskie.

Czy możemy wierzyć, że igrzyska w Pekinie nie były jeszcze sportowym schyłkiem Stocha, Żyły i Kubackiego, ale jedynie delikatnym wypadnięciem z zakrętu? Odrodzenie Stocha na igrzyska jakąś isierkę nadziei daje, zwłaszcza że Kamil nie złożył deklaracji o ostatnich igrzyskach, nie wspominał o zakończeniu kariery. Powiedział, że ma jeszcze sezon do dokończenia, na razie o tym nie myśli i przyjdzie czas na decyzje. Wygląda na to, że chce jeszcze trochę poskakać, jeśli zdrowie pozwoli. Przeciwnie Piotr Żyła. Od razu po konkursie zadeklarował na Instagramie: „I to by było na tyle”.

PIĘKNA HISTORIA

Za cztery lata zimowe igrzyska wrócą do macierzy, czyli do Cortiny d'Ampezzo, gdzie odbyły się w 1956 r. (w 2026 r. Cortina zorganizuje je wspólnie z Mediolanem). Piękne miejsce dla naszych trzech muszkieterów na zakończenie wspaniałych karier. Ale to jednak będzie piekielnie trudne, aby w ogóle dotrwali w odpowiedniej formie do tego czasu. Generalnie skoki nie są bowiem sportem dla starych ludzi. Co prawda Japończyk Noriaki Kasai miał 41 lat, gdy zdobywał olimpijskie medale, a 47 lat, gdy startował jeszcze w zawodach Pucharu Świata, ale to jest raczej wyjątek potwierdzający regułę. Zdarzali się zawodnicy odnoszący sukcesy w zaawansowanym wieku, ale po 35. roku życia bardzo rzadko. W 2026 r. Stoch i Żyła będą mieli po 39 lat, a Kubacki 36. Czy mogą w tym wieku zdobyć olimpijski medal?

Stoch już przeszedł do historii skoków, zapisał w niej jedną z najpiękniej-

szych kart, jest jednym z najlepszych skoczków wszech czasów. Trzy złote medale olimpijskie indywidualnie i brąz z drużyną; sześć medali mistrzostw świata (dwa złote, srebrny i trzy brązowe) w skokach i trzy w lotach; dwie Kryształowe Kule za triumf w Pucharze Świata i trzy razy wygrany Turniej Czterech Skoczni.

Nawet Adam Małysz nie może w pełni równać się z jego osiągnięciami. Co prawda Małysz aż cztery razy triumfował w Pucharze Świata i cztery razy był mistrzem świata, ale w jego kolekcji brakuje tego najważniejszego krążka – złotego medalu olimpijskiego.

ŁZY STOCHA

Wspomniane lży Stocha, który zajął czwarte miejsce w konkursie na dużej skoczni, były symboliczne, ale ogromne wrażenie zrobił cały występ skoczka tuż po zawodach przed telewizyjnymi kamerami. Oto widzieliśmy bowiem sportowca autentycznie zdruzgotanego, złego na to, że się nie udało. Człowieka, który sam sobie zawiesił poprzeczkę najwyższą, jak się dało, i nie szukał żadnych usprawiedliwień. A przecież patrząc obiektywnie na sezon, który był dotąd najsłabszy w jego wydaniu, sezon, w którym zdarzało mu się nie wejść do drugiej serii, wycofywać z Konkursu Czterech Skoczni czy walczyć o powrót do gry po kontuzji kostki, czego mogliśmy się spodziewać. I nagle nasz mistrz potrafił się dźwignąć aż do czwartego miejsca w Pekinie, to w sumie jest ogromny sukces. Albo inaczej: byłby dla każdego, ale nie dla Stocha.

Kamil jest człowiekiem tak ambitnym, że nawet nie próbuje pójść drogą na skróty. Wylgać się w takiej sytuacji czy po prostu naprowadzić pytających reporterów na ścieżkę, dzięki której wszyscy pialibyśmy z zachwyty, byłoby banalnie proste. Kamil jest na tyle inteligentnym, bardzo doświadczonym i obytym z mediami sportowcem, że mógłby po prostu odegrać dowolny korzystny dla siebie scenariusz, poszukać jakiegoś alibi, puścić oko, zbajerować nas wszystkich.

Nie zrobił tego. Ze łzami w oczach przyznał, że przegrał. Że nie zasłu-

żył na ten medal, że jest potężnie rozczarowany, choć zrobił wszystko, co mógł, ale w tym momencie nie było go stać na więcej. Dodał, że akceptuje taki wynik i wie, że wielu chciałoby być na jego miejscu. Ale nie próbował szukać żadnego alibi. Wymaga od siebie, choć inni nie wymagają od niego...

TO NIE JA

Prawie trzy dekady jestem obecny przy najważniejszych wydarzeniach polskiego sportu, przede wszystkim w pilce nożnej, ale naprawdę trudno znaleźć drugiego naszego sportowca z takim podejściem. Weźmy wspomniany futbol. Przecież nasze asy w przypadku porażek, i nie mówię tu o jakimś ocieraniu się o medal igrzysk czy mistrzostw, bo to jest po prostu dla nich nieosiągalne, zawsze są w stanie zgrabnie się wytłumaczyć. Nieco przejawskawiając, mniej więcej wygląda to tak: „To nie ja, to Brzeczek, to nie ja, to Sousa...” – przetrzucając zgrabnie winę na kogo się da, byle nie przyznać, że sami dali ciała. Czasem ktoś wymownie milczy, ktoś zasugeruje, że nie miał odpowiedniego wsparcia albo trener był zbyt napięty.

Zresztą zjawisko dotyczy całej sfery znanych postaci funkcjonujących w przestrzeni publicznej. Czy słyszeli państwo, aby kiedykolwiek jakiś polityk przyznał się do błędu, aktor, że sknocił rolę, a celebryta, że się znów skompromitował?

Zyjemy w bańce, w której coraz bardziej zaciera się granice między sukcesem a porażką. Wszystko jest względne, wszystko można sprzedać w dowolny sposób, nagiąć, przeinaczyć, narzucić wygodną dla siebie narrację.

Parafrazując fragment przeboju Perfectu: „W tej tandecie Kamil Stoch lśni jak diament...”

Wielki sportowiec, wspaniały prawdziwy człowiek. Dlatego tym bardziej szkoda, że coś się jednak ewidentnie kończy. Zarówno w przypadku Kamila, jak i jego przez lata genialnych kolegów. Pozostając w klimacie gwiazd rocka, szkoda, że za chwilę trzeba będzie ze sceny zejść.

JUSTYNA BEDNAREK*

W drodze do niezwykłych historii

Późno zadebiutowałam – „Nie-samowite przygody dziesięciu skarpetek (czterech prawych i sześciu lewych)” ukazały się w 2015 r. – ale przez wcześniejszych 30 lat niejako przygotowywałam się do pisarskich zadań. Odkładałam do szuflady pojedyncze teksty i pomysły. Zaczęłam je wydawać, gdy najmłodsze z trójki moich dzieci kończyło szkołę podstawową.

Dziś mam na koncie ponad 50 książek. Są wśród nich m.in. nagrodzone w konkursie Książka Roku 2021 Polskiej Sekcji IBBY: „Dom numer pięć” Wyd. Literackiego, z ilustracjami Anny Sędziwy, oraz „Maryjki. Opowieści o Matce Boskiej” Naszej Księgarni, zilustrowane po mistrzowsku przez Mariannę Oklejak.

Tu też rozgrywa się akcja „Domu numer 5”.

Tracący wzrok bohater ma w klasie prześladowcę. Gdy ten pewnego dnia postanawia go stłuc, niedowidzący chłopiec – który bardzo dobrze biega i zna wyśmienicie drogę do domu – zaczyna uciekać. Niestety, dawna trasa jest rozkopana, musi więc skrócić na teren starych działek. Biegnie bez okularów (bo mu je zabrano) i nagle wydaje mu się, że widzi zarys budynku. To tytułowy Dom nr 5. Naciska kłamkę, wpada do widziadła, a za nim jego prześladowca. I... tu chłopcy zamieniają się rolami. Przy czym obaj trafiają do świata ogarniętego wojną, która nie skończy się, dopóki na świecie jest choć jedno dziecko pastwić się nad innym dzieckiem.

Pisząc „Dom nr 5”, przywołałam wspomnienie warszawskiego Osiedla Ruda. Były tam dzikie działki. Kiedyś – gdy przechodziłam przez most łączący Rudę z Potokiem (dwa osiedla po dwóch stronach Trasy Toruńskiej) i spoglądałam w ich stronę – naprawdę „zobaczyłam” stojący między drzewami dom. Okazało się, że przed wojną rzeczywiście były tam domy. Gdy budowano

Trasę Toruńską, natrafiano w ziemi na liczne szczątki ludności cywilnej rozstrzelanej w czasie wojny. Pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobiły na mnie, wtedy nastolatce, te odkrycia.

W zupełnie inne rejony zaprowadziły mnie „...Opowieści o Matce Boskiej”. Maryjki to ludowe historie, którymi karmiła mnie w dzieciństwie niania (wcześniej była nianią mojej mamy i jej rodzeństwa). Kochana, dobra osoba, po czterech klasach szkoły podstawowej, pochodząca z wioski na Podkarpaciu. Etyczne i emocjonalnie wybitny człowiek. Niektóre z ludowych legend o Matce Boskiej usłyszałam od niej, resztę od-

lażłam m.in. w książce Maryana Gawalewicza „Królowa Niebios” z końca XIX w.; w pracach Kolberga czy innych starych wydawnictwach. Wybrałam te najatrakcyjniejsze dla współczesnych dzieci i ułożyłam w cykl roczny, rozpoczynając od Matki Boskiej Gromnicznej (jej święto przypada 2 lutego), która ratuje wilka przed myśliwymi, a kończąc Bożym Narodzeniem. Każda opowieść przywołuje konkretne ludowe święto maryjne, np. Matki Boskiej Jagodnej – 2 lipca – czy Siewnej – 8 września.

Akcja „Pięciu sprytnych kun” rozgrywa się na warszawskich Starych Bie-

lanach, dosłownie pod moim domem. Tu rzeczywiście biegają kuny. Letnią porą widać, jak kursują od Łasku Lindego do ogródków działkowych. Z kolei „Babco-



W takim ogrodzie rosną też drzewa. Przed wszystkim lipa – ulubione drzewo Maryjki. To na niej Matka Boska najchętniej odpocynęła się latem. Zdarzyło się kiedyś, że biedna, zmęczona i głodna matka stała pod lipą i zaczęła opłakiwać swój los. Usłyszała to Maryjka, szła do dziewczynki i powiedziała: – Oddaj mi swój podarty kutaszek, a ja ci za to podaruję miły płaszcz! Dziewczynka przystała na wymianę i nagle poczuła zapach róż, cudowne ciepło i miłość. To płaszcz Maryjki, haftowany w różny, rzeźbiony i gładzony, stał się sierotą tym wszystkim, co tutaj może dać najpiękniejszego.

49

Jest też „Zielone piórko Zbigniewa...”, czwarta część serii o Skarpetkach, za którą razem z ilustratorem Danielem de Latourem odebrałam Nagrodę im. Ferdynanda Wspaniałego.

Ponieważ „Skarpetki...” są lekturą szkolną w klasach 1–3, dużo jeżdżę z nimi po Polsce. Zawędrowałam w ten sposób pierwszy raz m.in. do Elbląga, ale dotarłam również do polskich szkół w Rzymie, Weronie, Genewie, a ostatnio w czeskim Cieszynie.

Skarpetki (choć zdarzyło im się np. poszukiwanie skarbu w Radomiu) najczęściej można spotkać w Warszawie.

fiano w ziemi na liczne szczątki ludności cywilnej rozstrzelanej w czasie wojny. Pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobiły na mnie, wtedy nastolatce, te odkrycia.

W zupełnie inne rejony zaprowadziły mnie „...Opowieści o Matce Boskiej”. Maryjki to ludowe historie, którymi karmiła mnie w dzieciństwie niania (wcześniej była nianią mojej mamy i jej rodzeństwa). Kochana, dobra osoba, po czterech klasach szkoły podstawowej, pochodząca z wioski na Podkarpaciu. Etyczne i emocjonalnie wybitny człowiek. Niektóre z ludowych legend o Matce Boskiej usłyszałam od niej, resztę od-



SŁODKO-SŁONY

Smaki sprzed lat

ANNA MONICKA

Przeczytałam ostatnio na FB post przyjaciółki, która zachwalała wiosenne porządki w swojej spiżarni. Mieszka w przedwojennej willi na Mokotowie, w której była i służbówka, i świetnie wentylowany minipokoik przy kuchni, do którego nigdy nie docierało światło słoneczne, więc był najchłodniejszym miejscem w domu, a przechowywało się w nim jedzenie zupełnie jak w dzisiejszych lodówkach. No więc w czasie wykopalisk znalazła... konfitury wiśniowe, które usmażył jej tata jakieś 15 lat temu. Omlet z tymi konfiturami sprawił, że przeniosła się do krainy dzieciństwa.

Ja generalnie nie jestem fanką wielkich porządków, zwłaszcza w spiżarni, ale fakt – zawsze, kiedy je robię, znajduję coś niespodziewanego. Kiedyś była to nalewka jeżynowa z owoców, które zbierałam, będąc jeszcze w podstawówce. Gdy ją odkryłam w rogu olbrzimego gdańskiego kredensu rodziców, była gęsta i smakowała orzechowo. Przelaliśmy ją z mamą do miseczek i wyjadaliśmy łyżkami, wspominając cudne i beztrojskie czasy. W piwnicy w czasie przeprowadzki natknęliśmy się kiedyś na prehistoryczne powidelka – po otwarciu okazało się, że czas działał na ich korzyść – były wciąż świetne.

Absolutnym hitem okazała się skórka pomarańczowa przyrządzona przez dziadka męża – cukiernika, który zaraz po wojnie pracował u Pomianowskiego. Smak tej skórki był tak fenomenalny, że zjadłam ją na poprawienie nastroju, dawkując sobie po małym pasczku. Pilnowałam, żeby nie zmarnowała się nawet jedna kropla syropu. Potem sama próbowałam powtórzyć ten wyczyn – w końcu przepis nie jest specjalnie skomplikowany. Kupiłam porządne ekologiczne pomarańcze, cukier trzcinowy. Wyszły, owszem, ale daleko im było do tych, które przeleżały 50 lat w ciemnej i zimnej piwnicy.

Jeśli w czasie wiosennych porządków wpadnie i wam w ręce taki rarytas, polecam dorobić do niego omlet. Albo najwykleszy, z utrzepanych dwóch jajek, albo taki na bogato: najpierw trzeba ubić na sztywno białka, potem dodać do nich dwie łyżki przesianej mąki, szczyptę soli, żółtka i usmażyć na maselku na złoto z obu stron. Polany konfiturą jest bossski. 

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Smardze

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wczesna wiosna – która prędzej czy później nadejdzie – jest porą roku charakteryzującą się fenomenami często przeoczanymi, uchodzącymi naszej uwadze, przez co tym bardziej intrygującymi. Jednym z takich zjawisk jest pojawianie się smardzów. W Polsce występuje kilka gatunków tych grzybów. Wszystkie podlegają częściowej ochronie gatunkowej, choć prawo dopuszcza ręczny zbiór owocników – tak aby nie zniszczyć grzybni. Ukryta pod ziemią grzybnia jest kluczowa – nie tylko u tych grzybów zresztą. To, co wyrasta ponad powierzchnię ziemi, to owocnik. Jest oficjalną, można powiedzieć, emanacją grzyba i służy do rozsiewania zarodników. Najważniejsza dla przetrwania jest jednak podziemna grzybnia.

Grzyby w ogóle są dla nas zagadką – bardzo często znamy jedynie wycinki ich biologii i nie potrafimy skorzystać z genialnych laboratoriów chemicznych, jakimi są tysiące wciąż odkrywanych gatunków przedstawicieli królestwa Fungi. Laboratoriów zawierających odpowiedzi na mnóstwo dręczących nas problemów: możliwość biodegradacji tworzyw sztucznych, leczenia nieuleczalnych na razie chorób, zwielokrotnianie plonów i wiele innych.

W przypadku smardzów dochodzi jeszcze jedna zagadka. Ich specjalnością jest nieregularność, wręcz kapryśność w pojawianiu się nad ziemią. Grzyby te z rodzaju *Morchella* mają to do siebie, że latami bytują pod ziemią. W końcu któregoś roku ponad powierzchnię ziemi wyrastają ich owocniki o jasnych trzonkach i nietypowej, mocno urzeźbionej i żeberkowanej główce. Dlaczego nie pojawiają się regularnie co roku, nawet jeżeli warunki wydają się identyczne? Tego nie wiemy, ta cecha smardzów jest jedną z wielu wciąż nierozwiązanych tajemnic przyrody.

Na tym nie koniec. Te rzadkie grzyby bywają spotykane na miejskich trawnikach – zeszedł wiosny na pewnym osiedlowym zieleńcu zauważyłem kilkanaście osobników smardza stożkowatego. Dzieje się tak, ponieważ grzybnia smardzów może być przeniesiona z korą sypaną przez ogrodników wokół roślin.

To kolejny paradoks – grzyby, których tak jak wielu innych nie potrafimy hodować, wyrastają czasem przy chodnikach i ulicach – pod warunkiem że spełnione są ich wymagania. Jakże jednak, tego nie wiemy.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Polityka „niehumanitarnej ziemi”

Wydaje się, że groźba wojny w Europie nieco się oddaliła dzięki skutecznym zabiegom dyplomatycznym Zachodu, w tym oczywiście Polski, a szczególnie po zastrzeżeniu wobec Rosji przez prezydenta USA Joeego Bidena retoryki odwetowej. Ważne stało się widoczne powiększanie kontyngentu wojskowego na wschodniej flance NATO.

A Rosja cofa się jedynie przed siłą. Trudno gdybać, jak znacznie oddaliła się od nas perspektywa ataku Rosji na Ukrainę. Wszak to kontynuacja, od 2014 r., podstępnej zagłady Krymu i zbrojnej aneksji wschodnich rejonów Ukrainy.

Władimirowi Putinowi jakby brakowało czasu. Rządzi już niepodzielnie 22 lata, a Rosja nie odtwarza swojej potęgi terytorialnej z czasów Związku Radzieckiego. Rozpad ZSRR był dla Putina „największą katastrofą geopolityczną XX w.” oraz „prawdziwym dramatem dla Rosjan”. Putin nie chce pamiętać, że ta „katastrofa” dokonała się na ich własne życzenie. A więc na życzenie Rosjan sprawujących wówczas władzę w Moskwie i w stolicach tzw. republik radzieckich. Putin nie chce zrozumieć, że odtworzenie radzieckiego kolosa z czasów Breżniewa jest dziś niemożliwe. A jednak wraz z przejściem władzy po prezydencie Borysie Jelcynie stara się odtworzyć to wielonarodowe monstrum i niestety robi to zbrojnie za pomocą rozniecania rosyjskiego separatyzmu wszędzie tam, gdzie to możliwe. Dlatego obecna Rosja to rozsądnik, praprzyczyna niekończących się militarnych konfliktów w rejonach – w republikach Europy i Azji, które zdecydowały się skorzystać z rozpadu Związku Radzieckiego i ogłosić suwerenność państwową.

Najbardziej krwawo rozprawiła się Rosja z Czeczenią, wszak za czasów ZSRR była to jej autonomiczna republika. W 1991 r. Czeczenia ogłosiła niepodległość i nie zgodziła się na podporządkowanie Federacji Rosyjskiej. Niezwykle krwawa wojna dała Czeczenom krótkie zwycięstwo, ale za cztery lata, w 1999 r., wybuchła druga wojna czeczeńska. Stolica Czeczenii Grozny została uznana przez ONZ za najbardziej zniszczone miasto na ziemi. Zwycięscy Rosjanie wysadzali w powietrze całe kwartały pustego miasta. Dziś nie widać już śladów walk, miasto odbudowano, ale nie ma też w Czeczeni znaczącej liczby rosyjskiej ludności cywilnej, która uciekła przed wojną.

Podobnie jest wszędzie tam, gdzie rozniecany przez Moskwę separatyzm doprowadza

do wojny, która powoduje przemieszczanie się olbrzymich ludzkich mas, równocześnie pomniejszając obecność rosyjskiej ludności. Tak było po ogłoszeniu przez Osetię Południową niepodległości (1991 r.) i po wojnie w Abchazji (1992–1993). Te dwa zbuntowane separatystyczne rejony, dążące do niepodległości polegającej na związaniu się z Rosją, dały Putinowi w 2008 r. pretekst do zbrojnej interwencji w Gruzji. Stanowcza akcja dyplomatyczna zainicjowana przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego zatrzymała rosyjskie czołgi na przedmieściach Tbilisi. Okazało się, że zabiegi dyplomatyczne Zachodu nie stanowiłyby większej przeszkody w realizacji imperialistycznych planów Rosji. Z kolei z zajętych przez separatystów ziem uciekło ponad 250 tys. Gruzinów.

Kolejne walki o dominację Rosji w dawnych republikach radzieckich rozpoczęły w 2014 r. na Ukrainie. Najbardziej krwawe walki toczyły się o lotnisko w Donbasie, gdzie doszło do dwóch wielkich bitew. To wówczas zaistnieli ukraińscy żołnierze znani ze swojej zaciętości w walce, których nazwano „cyborgami”. Powstał nawet film o obrońcach lotniska w Doniecku zatytułowany „Cyborgi”. Każdego 16 stycznia Ukraina obchodzi Dzień Pamięci Cyborgów. Lotniska nie udało się utrzymać, jak i całego rejonu Doniecka i Ługańska. Gdyby nie rosyjska broń (rakiety, czołgi, działa) i rosyjscy instruktorzy wojskowi, separatyści nie mieliby większych szans wlaść tymi terenami. Tylko Ukraińców zginęło wtedy ponad 3 tys. I jak zwykle w takich dramatach wojennych najbardziej

cierpi miejscowa ludność. Jej pierwszym odruchem jest ucieczka. Ponad 155 tys. Ukraińców opuściło zagrożone wojną tereny i przeniosło się w głąb Ukrainy, a prawie 189 tys. uciekło do Rosji. Przypomnę, że i Polska zabrała z rejonu Donbasu 200 obywateli ukraińskich mających związki rodzinne z Polską.

Ale cofnijmy się jeszcze głębiej w czasie. W latach 1939–1941 (w trzech falach deportacji) wywieziono w głąb Rosji łącznie 1,1 mln Polaków. W 1945 r. (pod koniec wojny i już po wojnie) do obozów pracy przymusowej w Związku Radzieckim wywieziono 112 tys. Polaków, głównie do kopalń w Donbasie. Rosja traktowała Polskę jak podbity kraj, a jego obywateli jako wrogów, których trzeba poddać polityce „niehumanitarnej ziemi”.

www.wojciechreszczyński.pl



Putin po Putinie

Nie po to się Rosja zbroiła, nie po to miliardy dolarów wydawała na armię, aby teraz tylko groźnie warczeć i szczerzyć kły. Putin nie ma swoim obywatelom absolutnie nic do zaoferowania poza poczuciem, że są mieszkańcami ogromnego i liczącego się na świecie imperium. Trauma z powodu rozpadu Związku Sowieckiego jeszcze długo nie da im spać. A bezsenność przynosi frustrację i złe myśli. Putinowskie imperium nie odniosło żadnego znaczącego sukcesu ani militarnego, ani politycznego, ani gospodarczego czy naukowego, a nawet artystycznego. Zwykły obywatel postsowieckiej Rosji nie odnajduje żadnych przesłanek, którymi mógłby paść swoje imperialne ego. Putin dla utrzymania władzy musi dać swoim poddanym spory kęs, a więc sygnał, że ich imperium właśnie się odradza, a niedostatek i brak sukcesów to sytuacja ledwie przejściowa. Człowiek z tajnych służb to mistrz mówienia nieprawdy i lawirancstwa i arcy mistrz nazywania czarnego białym. Dlatego największym błędem dyplomatycznym jest wiara w to, co on mówi. Bo Putin sam sobie też nie wierzy. To wychowanek KGB, w których taka postawa była warunkiem sine qua non przetrwania.

Interesujące, że Rosja powojenna nigdy nie wygenerowała przyzwoitego, dalekowzrocznego człowieka jako przywódcy. Nie było tam nikogo na miarę Reagana, de Gaulle'a, Kohla czy Thatcher. Od czasów Lenina rządili tam mniej lub bardziej krwawi szubrawcy. I tak jest do teraz. Najotę nie uległo to zmianie. Mimo poluzowania cenzury, mimo niewielkiego unowocześnienia życia, jedyną paszą, którą Rosjanie chcą dostawać, jest iluzja imperialnego państwa, pozycja światowego cara. Nieważne, że są technologicznie zapóźnieni, że ich wkład w światową kulturę niebawem się skurczył, że są państwem, którego można się tylko bać, bo podziwiać nie ma za co. Bo najważniejsze, aby czuć się imperium. Aby być uznawanym za imperium.

Potencjał Putina się już kończy. Nie dał narodowi ani dostatku, ani imperium. Nie dał też spektakularnych sukcesów kosmicznych, kulturowych, a nawet sportowych (np. długoletnia dyskwalifikacja olimpijska), nie przejął kontroli nad niepokorną Polską. Dziury, które wybił w rosyjskim murze, okazały się nie oknami, ale otworami strzelniczymi. Nie wpuszczał przez nie światła, gdyż zasłonił jej działami. Bo Putin tylko wówczas jest „liczącym się przywódcą”, gdy grozi, gdy straszy, gdy chrząści gąsienicami i montuje głowice nuklearne. Tylko



**Aleksander
Nalaskowski**

*To jest imperium zła, z którym
nie wolno negocjować,
nie powinno się niczym
handlować, podpisywać
umów, wysłuchiwać żądań ani
postulatów, udzielać wiz*

wtedy świat z nim rozmawia. I nie inaczej. Bo człowiek z KGB nie ma pojęcia o świecie, w którym nie rządzi zło i przemoc. Obce mu jest dostrzymywanie traktatów i umów.

Otoczenie wojskami Ukrainy to informacja nie tylko dla świata, lecz i dla samej Rosji. To jakby okrzyk: „Jesteśmy imperium!”. Przypomina korzystanie z rezerw żywniowych w sytuacjach absolutnie krytycznych. Ale poza przypomnieniem rodakom, że Rosja to wciąż mocarstwo, Putin ma też do zaoferowania mniej atrakcyjne prezenty. Atak i okupacja Ukrainy pochłonięła poważną część rosyjskiego PKB. Będą ginęli żołnierze, chłopcy z wielu rosyjskich rodzin, kraj zostanie objęty niesłychanie dotkliwymi sankcjami gospodarczymi, które odczuje

każdy Rosjanin, Nord Stream 2 zostanie zamrożony na czas nieokreślony, majątki oligarchów i polityków zostaną zaarrestowane wszędzie, gdzie tylko się da, a konflikt na Ukrainie przybierze postać tego afgańskiego z 1978 r. czy też wietnamskiego. Będzie się tlił i pochłaniał koszty w nieskończoność. Bo do Europy wreszcie dotarło, że to atak na światowy pokój.

Car z Kremla nie przewidział jednak innej konsekwencji swoich działań, a mianowicie stał się mimowolnym „ojcem chrzestnym” integracji Zachodu.

Budująca jest tutaj rola Anglii, ale i Francji, a zwłaszcza USA (czyli doradców Bidena). Wzrasta też rola Polski po zajęciach na granicy z Białorusią. Z czasem Europa będzie się musiała zmierzyć również z „problemem niemieckim” i podwójną grą naszych zachodnich sąsiadów. Nie będzie to dla Rosji korzystne.

Nawet jeśli rosyjska propaganda będzie ukazywać marsz od zwycięstwa do zwycięstwa rosyjskiej armii na Ukrainie, nawet jeśli przywróci części Rosjan wiarę w imperialność ich kraju, to nijak nie ukryje ciężarówek chłodni zwożących zwłoki żołnierzy, zniszczonego drogiego sprzętu wojskowego ani skutków sankcji gospodarczych. Takie to będzie owo rosyjskie imperium. Aż ciśnie się na usta cytaty z Reagana o „imperium zła”. Bo to jest imperium zła, z którym nie wolno negocjować, nie powinno się niczym handlować, nie powinno się podpisywać umów ani traktatów, wysłuchiwać żądań ani postulatów, udzielać wiz, zapraszać na sympozja. Powinno się zredukować do minimalnego minimum jego placówki dyplomatyczne i nie zgadzać się na organizację międzynarodowych imprez sportowych.

Jeśli tak się nie stanie, to po Putinie przyjdzie następny Putin, potem następny i następny...



JAN POSPIESZAŃSKI

Ze zdumieniem przecieram oczy

Dowiedzieliśmy się, że w badaniu uczestniczyły tylko trzy z kilkunastu ośrodków, ale nie powiedziano dlaczego

Na konferencji prasowej 11 lutego przedstawiono wyniki badań stwierdzające nieskuteczność stosowania amantadyny przeciw COVID-19. Od 2020 r. m.in. grupa dziennikarzy, w tym ja, śledziliśmy osiągnięcia dr. Włodzimierza Bodnara. Właśnie media (w tym zaangażowanie redakcji „Warto rozmawiać”) oraz liczne świadectwa pacjentów, którzy pokonali wirusa dzięki lekarzowi z Przemyśla, sprawiły, że w grudniu 2020 r. Ministerstwo Zdrowia zdecydowało o rozpoczęciu badań klinicznych. Od ogłoszenia decyzji do rekrutacji pacjentów upłynęło pół roku. Podobno to ekspresowe tempo, ale zważywszy na to, że ludzie umierali, bo nie było skutecznego leku, że pozafarmaceutyczne środki walki z pandemią (lockdown, zdalne nauczanie, izolacje itp.) demolały nam życie i kosztowały dziesiątki miliardów złotych, należy zapytać: czy tylko takie badania mogły rozstrzygnąć o skuteczności amantadyny? Czy musiało to wszystko tyle trwać?

Od naboru pierwszych pacjentów do ogłoszenia wyników upłynęło kolejne 10 miesięcy, a teraz dowiadujemy się, że próba badawcza, jak wynika z protokołu badań, zamiast 500 osób wynosiła 163 osoby. Że rozłożenie pacjentów było nierówne. Analiza dotyczy 149 chorych (78 otrzymało amantadynę,

71 placebo), „ponieważ część pacjentów nie zgodziła się na kontynuację badań bądź wycofała zgodę”. Dowiedzieliśmy się, że w badaniu uczestniczyły tylko trzy z kilkunastu ośrodków, ale nie powiedziano dlaczego. Choć przystąpiły do projektu duże jednostki z Krakowa i z Warszawy, nie rozpoczęły nawet rekrutacji. Nie wiemy, czy jest to jakaś forma zмовy, a może bojkotu? Z konferencji natomiast można wyczytać inne, niezamierzone informacje.

Po pierwsze, prof. Barczyk wskazał, że chorzy otrzymywali standardowe leczenie, w tym remdesivir. A skoro zmarło aż 10 osób, mamy kolejny przykład wątpliwej skuteczności tego bardzo drogiego leku. Po drugie, badacz stwierdził, że nie ma różnic między placebo a amantadyną, zatem wszyscy, którzy straszili szkodliwością tego specyfiku (np. poseł Piecha), a dziś uznają prezentowane badania za miarodajne, mają chyba kłopot. Zdumiewa też tak straszny pośpiech. Przecież nadal trwają badania prof. Rejdaka w Lublinie nad pacjentami ambulatoryjnymi.

Dlaczego też z gotową tezą na konferencji pojawił się rzecznik praw pacjenta Bartłomiej Chmielowiec (czyżby wcześniej znał wyniki?). Triumfalnie ogłosił zakaz stosowania amantadyny w leczeniu COVID-19. Swoje poprzednie interwencje wobec dr. Bodnara tłumaczył m.in. stanowiskiem konsultantów krajowych, URPL, AOTMiT, Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych i ABM, a dziś potwierdził, że „placówka medyczna Optima z Przemyśla poprzez stosowanie u pacjentów chorych na COVID-19 amantadyny narusza zbiorowe prawo pacjentów do leczenia

zgodnie z aktualną wiedzą medyczną”. Uzasadnił, że „leczenie amantadyną może nieść za sobą zagrożenie dla życia i zdrowia pacjentów, bo sprawia złudne poczucie skutecznego leczenia, powodując opóźnienie wdrożenia skutecznej terapii”. Przecieram oczy ze zdumienia. To jest szczyt beczelności! Jak on śmie mówić o „skutecznej terapii”, skoro leży u niego na biurku kilkadziesiąt tysięcy skarg dotyczących zamknięcia POZ i odmowy badania, gdy właśnie dr Bodnar stale przyjmuje i leczy pacjentów. Czy ten radca prawny nie zna oficjalnych schematów postępowania w przypadku COVID-19, które nie przewidywały leczenia przyczynowego, zalecały paracetamol i zniechęcały do stosowania witamin D i C? Czy kilkunastogodzinne oczekiwanie przed przyjęciem na SOR na wynik testu PCR, pakowanie ludzi pod respirator jest tą „skuteczną terapią”, o której mówi Bartłomiej Chmielowiec? Jaki tupet trzeba mieć, by wobec milionów Polaków, którzy na sobie doświadczili skuteczności amantadyny, mówić takie rzeczy! To, że Chmielowiec szczuje dziś pacjentów, zachęcając ich do wszczynania postępowań wobec dr. Bodnara, jest obrzydliwością, ale fakt, że mając dziesiątki tysięcy chorych na oddziałach covidowych, badania realizowano tylko na 149 osobach, jest grubą sprawą dla CBA lub NIK.

Dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie w tych dniach Ministerstwo Zdrowia ogłosiło, że pomimo braku dopuszczenia do obrotu w Unii Europejskiej molnupirawiru (kosztowny lek firmy Merck), może być on stosowany w leczeniu osób dorosłych chorych na COVID-19.

Festiwal poetycki o „Laur rymu”

Na prośbę zamawiającego nadawcy, po uregulowaniu przez niego opłaty zgodnej ze stałym taryfikatorem, publikujemy nadesłany tekst w rubryce „Ogłoszenia płatne”.

Niniejszym informujemy, że przy działającym w naszym powiecie Klubie Obywatelskim, funkcjonującym od sześciu lat pod patronatem Platformy Obywatelskiej, dwa lata temu powstało Koło Młodych Poetów. Skupia ono najbardziej utalentowanych miejscowych twórców, głównie młodych, o skryzalizowanych poglądach, którzy w momencie wstąpienia do Koła nie przekroczyli 30. roku życia. Ale są i młodszy. Świeżo po szkołach.

Wieczorki poetyckie, organizowane od roku, cieszą dużym zainteresowaniem aktywnych członków Klubu i ich rodzin będących wdzięczną, chłonącą piękno poetyckie publicznością. Wieczorki, niekiedy połączone z wewnętrznymi konkursami, stanowią nie tylko comiesięczny przegląd dorobku kilkunastu adeptów, lecz dowodzą systematycznego wzrostu poziomu twórczości, co nas szczególnie cieszy. A jest



**Jerzy
Jachowicz**

z czego być dumnym. Dla przykładu. W niedawnym konkursie „Miniatury” wygrał czterowiersz: „Godzina bije niezapomniana, Ziemia ojczysta wzywa do walki, Z wiatrem postępu zbliża się zmiana, Szkodnicy giną, jak mydlane bańki”.

Nic więc dziwnego, że rozgłos, jaki zyskują nasi autorzy, przyciąga najbardziej znane w Polsce postaci literatury, sztuki, a nawet filozofii. Wedle nieoficjalnych wieści w naszej skarbnicy sztuki 1 maja podczas Festiwalu zamierzają się pojawić takie znakomitości, jak m.in. prof. Magdalena Środa – filozof, etyczka Uniwersytetu Warszawskiego, współpracowniczka „Gazety Wyborczej, oraz literatka Kinga Dunin, która w poetyckim, subtelny, języku określiła Polaków jako „ludzi ze skrzywionymi ryjami i wieprzowymi karkami”. Obie Panie będziemy witali z otwartymi ramionami – zapewniamy już dziś. Ale też podobnie serdecznie tego dnia przyjmie wszystkich miłośników pięknego, uduchowionego słowa, których zapewne nie brakuje wśród sympatyków Platformy Obywatelskiej.

Klub Obywatelski, okręg powiatu wolskiego na Pomorzu

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

ANTY-COVIDOWA TARCZA UBEZPIECZENIOWA

**Chroni na wypadek: utraty życia,
utraty pracy, problemów ze zdrowiem**

- ▶ **Ubezpieczenie Optimum Max:** pomaga bliskim w sytuacji zgonu z powodu COVID
- ▶ **Ubezpieczenia Twoja Promesa, Twoja Linia, Twój Duet i Twój Bonus:** ułatwiają bliskim spłatę zadłużenia z pożyczki w chwili śmierci Pożyczkobiorcy
- ▶ **Ubezpieczenie Twoja Posada:** umożliwia spłatę pożyczki kiedy Pożyczkobiorca straci pracę
- ▶ **Ubezpieczenia Na Zdrowie i Kuracja:** łatwiejszy i szybszy dostęp do lekarzy i badań

OFERTA DOSTĘPNA W PLACÓWKACH SPÓŁDZIELCZYCH KAS

www.saltus.pl



Na szczęście są ubezpieczenia

eprasa.pl/b80762ec1a

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

Rysuje Jerzy Wasiukiewicz



TRENDY I OWĘDY

Problem z wieprzowiną

*Elity mianowane przez III RP
szczerze nienawidzą Polaków*



**Ryszard
Makowski**

Niejaka Kinga Dunin, z aparycji czołowa feministka, zasłynęła parę lat temu. Kiedy jej były już przyjaciel oskarżył ją o gwałt, w ramach riposty obwieściła, że on jest gejem, a do tego żyje w konkubinacie z sekretarzem nagrody literackiej Nike. Wywołało to ferment w lewicowym „intelektualnym” półświatku, bo połapano się, że ten ponoć zgwałcony pisarz już trzy razy był nominowany do tej nagrody. Ostatnio, pozostając w klimacie krajowej literatury, Kinga Dunin, socjolożka, publicystka i krytyczka literacka, spłodziła recenzję jakiejś plwociny w okładce: „Polska – ogólnie rzecz biorąc – składa się z Polaków. Czy Polacy są tacy okropni, bo mieszkają w Polsce (te ich skrzywione ryje, wieprzowe karki), czy też Polska jest nie do zniesienia, bo ją zamieszkują Polacy?”

Internet wyrwał z kontekstu „skrzywione ryje, wieprzowe karki”. Ruszyła akcja zamieszczania zdjęć z tym podpisem osób dosyć estetycznych i dumnych z bycia Polakiem. Dochodziło do momentów dramatycznych, bo często zestawiano wizerunek osoby urodziwej ze zdjęciem autorki hejterskiego opisu ludu znad Wisły. To było wręcz okrutne.

Są jednak u nas dżentelmeni. I to tacy oksfordzcy. Z odsieczą ruszył Radosław Sikorski. By odwrócić uwagę od wypowiedzi feministki, zaatakował redaktora Tomasza Sakiewicza: „Za swoje łgarstwa utoczyłeś się, wieprzu, na pisowskiej kasie i ona musi zastąpić ci szacunek”. Zamiast zbrukać redaktora takim dictum, zbrukał swoją europejskość. Ciekawe, że ci nasi patocelebryci mają dotkliwy problem z wieprzowiną. 

Michał Korsun prezentuje: **Nie, dziękujemy!**



Wycinki z przeszłości

Tak w styczniu 1938 r. wyglądała nowoczesna kuchnia. W tygodniku „Moja Przyjaciółka” znajdujemy ogłoszenia, które dobrze oddają codzienność tamtych przedwojennych lat.

KTÓRA z pań mieszkających w Warszawie zaofiaruje biednej studentce utrzymanie? Ta w zamian udzielać będzie lekcji w zakresie gimnazjum. Zgłoszenia na Poste Restante, Warszawa 2, oddział na Dworcu Wileńskim.

MATURZYSTKA przyjmie jakąkolwiek pracę, byleby nie próżnować, ręce zużytkować i jakąś pamięć u potomnych zachować. Zgł. do redakcji na hasło „Maturzystka”.

MASZYNISTKA poszukuje posady w biurze lub u adwokata. Zgł. do redakcji na hasło „Leśniczanka”.

POSZUKUJE posady ekspedientki względnie jakiegokolwiek. Zgł. do redakcji pod „Smutna Maruszka”.

JĄKANIE USUWA pedagog – specjalista, liczne podziękowania. S. Janosz, Legionowo k. Warszawy.

MIÓD świeży, prawdziwy, bez domieszki, pod gwarancją, leczniczy. 3 kg – 7,20 zł, 5 kg – 11 zł, 10 kg – 21 zł, 20 kg – 41 zł wraz z naczyniem i opłatą pocztową wysła za pobraniem właścicieli największej pasieki w państwie Eugeniusz Biliński i Syn w Zbrazu. **(mk)**



Rycerz i Faun

O życiu i wierszach Lechońa
(Leszka Serafinowicza)

Właśnie ukazała się biografia napisana przez jednego z najwybitniejszych współczesnych polskich poetów, Wojciecha Wencła, poświęcona życiu i twórczości jednego z najważniejszych twórców XX stulecia. Zdobęde się na więcej – w ogóle w dziejach polszczyzny. Po biografii Kazimierza Wierzyńskiego (pióra tegoż Wencła) ukazuje się tom kolejny, będący częścią zamierzonego projektu – sportretowania poetów Skamandra. Książka napisana przez poetę (co się po prostu czyta), lecz i ku zdumieniu czytelnika, najstaranniej dotrzymującego solidności i dyscypliny wytrawnego krytyka literackiego. Przy tym, tak to określe, rzecz napisana z wyczuwalnym rozmiłowaniem – i w tych wierszach, i w tym jakże „efektownym”, trudnym, tragicznym życiu – Człowieka (Leszka) i Poety (Jana). Polecam najgorliwiej.



Leszek Długosz

Jan Lechoń (1899–1956)
„Spotkanie”

*Dzisiaj nocą samotną, spędzoną bezsennie,
Po promieniach księżycy, jakimś dziwnym tchnieniem,
Sam nie wiem, jak się nagle ocknąłem w Rawennie
I z dawno utęsknionym spotkałem zwidzeniem.*

*Przez otwarte ktoś okno grał cicho na flecie,
I wiatr lekki woń przyniósł duszącą, upojną –
Jak w mistycznym w nią szedłem wpłątany bukicie,
Pod nieba wyiskrzoną kopułą dostojną.*

*„Będziecie wystuchani tęskniący, więc proście!”
Jak przez Boga zaklęty przymknąłem powieki –
I tylko jakiś dziwny posłyszał szum rzeki,
A później, później Danta ujrzałem na moście.*

*„Tyżes to, ty mój mistrzu! Dlaczego tak błąd
I czemu taki dziwny niepokój cię żarzy?
Przychodzę cię ubłagać o sekret twej twarzy.
Nic nie wiem. Zabłądziłem. I proszę twej rady.”*

*On to rzekł, czy rzekł księżyc, czy woda to rzekła,
Padłem, głowę ukrywając rękami obiema:
„Nie ma nieba i ziemi, otchłani, ni piekła,
Jest tylko Beatrycze. I właśnie jej nie ma”.*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Dziura w sercach, czyli hipoteza cywilizacyjna

Zło istnieje. Szaleństwo istnieje. Głupota też. Pewnie każdemu z nas zdarza się od czasu do czasu dać się im zwieść. Ulegamy złym podszeptom. Wkłamy się w obłędne serie działań. Zachowujemy się, jakby ktoś wyłączył nam rozum.

RAMY

Przez tysiąclecia ludzkie kultury – czyli zespoły reguł spisanych oraz domyślnych – „wypracowały” sposoby opanowywania zła, szaleństwa i głupoty. Ograniczania ich negatywnego wpływu. Nie tyle eliminacji – bo są to właściwości ludzkiej natury, których nie można do końca skasować, nie kasując samego człowieka – ile spychania na margines, do jakichś społecznych nisz.

Dobre kulturowe ramy utrudniają panowanie się zła. W zachodnim świecie takie ramy stanowiło chrześcijaństwo. Ichoć nieraz zło te ramy nadwyreżało, to było ono jednoznacznie nazywane i piętnowane.

Jeszcze do niedawna ramy kultury współtworzyła sztuka. Ta chrześcijańska, jak i świecka niosła pewien porządek etyczny. Zarazem sztuka pełniła funkcję wentyla bezpieczeństwa, zarówno w przypadku frustracji artysty, jak i złych emocji zbiorowych. Zło przedstawiane na scenie to zło zamknięte w dziele artystycznym, w obrazie, w tekście. Póki nie opuszcza sceny, póki pozostaje w teatrze, jest jakoś ujarzmione.

PLYNNOŚĆ

Mechanizmy opanowywania, redukcji siły wpływu zła, szaleństwa, jak i „prostej” głupoty przez wieki całkiem nieźle działały. Niedawno działać przestały. Współczesny Zachód już nie chce chrześcijaństwa, bo hołubi wielokulturową różnorodność wraz z eklektyzmem zasad i wartości. Ekspresja artystyczna już nie potrzebuje sceny. Niemal nie da się odróżnić przedstawienia, np. na Instagramie, od zwykłego życia.



Mechanizmy opanowywania, redukcji siły wpływu zła, szaleństwa, jak i „prostej” głupoty przez wieki całkiem nieźle działały. Niedawno działać przestały

Institucje, które przez wieki „dyscyplinowały” gorsze strony naszej natury – np. rodzina – są rozmontowywane. W kulturze tzw. demokracji liberalnej umocniły się trendy ideowe stawiające pod znakiem zapytania zdolność systematycznego odróżniania dobra od zła, szaleństwa od normalności, zdrowego rozsądku od głupoty. Demokracja liberalna chce dobrego życia, ale gdy jako fundamenty ustanowi się płynność, hiperwolność, nieskrępowaną tolerancję – to trudno przeciwstawić się złu.

BRAK OPORU

Nie wykluczamy, iż Władimir Putin jest – czy może z biegiem rządzenia Rosją stał się – człowiekiem, w którym w dość niezwykły sposób skumulowały się te arcyłudzkie cechy: zło, szaleństwo i zarazem głupota.

W dziejach ludzkości takie kumulacje pewno zdarzały się nieraz. Ale tacy antybohaterzy chyba nigdy wcześniej nie posiadali broni masowego, w tym informacyjnego, rażenia. I co znacznie gorsze, nigdy chyba nie stali wobec przeciwnika, który byłby tak duchowo wyjałowiony jak elity dzisiejszego Zachodu.

WIARA, NADZIEJA I MIŁOŚĆ

Liczni eksperci już dostrzegli, iż obecnie zbyt wiele rzeczy się dzieje jednocześnie, byśmy byli w stanie mądrze sobie z tym poradzić. Większość obserwatorów nie doszła jednak jeszcze do fazy ustalenia – dlaczego tak jest, dlaczego tak wiele dzieje się naraz!

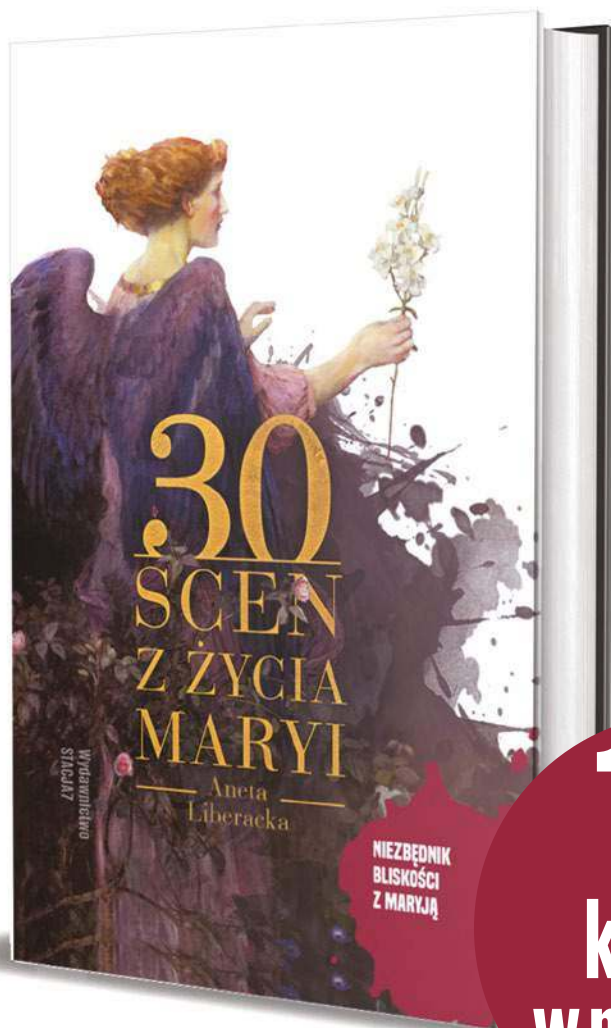
Przyczyna ma charakter technologiczno-ideologiczny. Rewolucja internetowa, zwłaszcza zaś rozkwit tzw. mediów społecznościowych (w istocie przecież: odspołeczniających), doprowadziła do tak ogromnej wielogłosowości, hiperpluralizmu i hiperindywidualizmu, że gubione są podstawowe umiejętności niezbędne dla rozumienia zła, wyczuwania szaleństwa i unikania głupoty. Zanikają zdolności odróżniania dobra od zła, prawdy od fałszu, ważnego od nieistotnego, pilnego od niepilnego, wreszcie przyjaciela od wroga.

To dlatego Zachód, chociaż jest od Rosji wielokrotnie bogatszy, okazuje tyle bezradności. Unowocześnił się w złym kierunku.

W tle jest dziura w sercach, próżnia duchowa. Obumieranie fundamentu etycznego Europy i całego Zachodu, którym przez wieki było chrześcijaństwo. Niestety, sam Kościół hierarchiczny się do tego walenie przyczynił.

Chrześcijaństwo przez wieki stanowiło wielką ramę kulturową – dla wierzących i niewierzących – w której obrębie Zachód się rozwijał. Gdy ramy tej braknie, miejsce wiary, nadziei i miłości zajmują zło, szaleństwo i głupota.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**



W książce znajdziesz:

- 30 scen z życia Maryi zaczerpniętych z Ewangelii
- 30 prawdziwych historii współczesnych kobiet
- Felietony o Maryi – kobiecie, matce, drogowskaze życia
- Najpiękniejsze modlitwy, litanie i nowenny do Matki Bożej
- Kilkadziesiąt reprodukcji malarskich z Maryją – wśród nich Madonny Papieskie

340 STRON | PIĘKNE REPRODUKCJE | IMPRIMATUR

100
książek
w prezencie

Książkę „30 scen z życia Maryi” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

SŁOWNO RAZEM #TEAMPOLSKA PEKIN 2022

ANDRZEJ SZCZECHOWICZ - KOMBINACJA NORWESKA

SPONSORZY I PARTNERZY PKOl I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ



POLSKA



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor Kolekty
Olimpijskiej



Główny Partner
Medyczny



Oficjalny
Przewoźnik



Główny Partner
Medialny



Oficjalny Partner
Medialny



Partnerzy Medialni
PKOl



Partnerzy
PKOl



Partner Młodzieżowej
Reprezentacji